

BEST  SELLERS



HEATHER GRAHAM

POCĄŁUNEK CIEMNOŚCI



HEATHER GRAHAM



***POCAŁUNEK
CIEMNOŚCI***

Tytuł oryginału: Kiss of Darkness

PROLOG

Kraj spływał krwią po latach wyniszczających walk, których końca nie było widać.

Na wzgórzu stali jeźdźcy - król i rycerz u jego boku, a za nimi odmawiający po łacinie modlitwy ojciec Gregore, mnich-wojownik, często towarzyszący nowemu królowi podczas wypraw mających na celu objęcie oraz utrzymanie prawowicie odziedziczonego królestwa.

Patrzyli na wojska sunące doliną. Król cichym głosem rzucił przekleństwo.

- Niech ich piekło pochłonie! Jest ich tak wielu. - Odwrócił się do towarzyszącego mu rycerza. - Po tych wszystkich latach nieudany syn nagle zapragnął udowodnić, że dorównuje ojcu. Słodki Jezu, jak długo jeszcze przyjdzie nam walczyć? Jeśli hordy najeźdźcy dotrą do wioski, ujrzymy okrucieństwa, jakich jeszcze nie widziały nasze oczy. Ojciec bywał srogi, by pokazać swoją siłę, lecz syn okaże się po wielekroć sroższy, bo musi ukryć swoją słabość.

Wiatr zmienił kierunek, zaczął wiać w ich kierunku, zimny, przejmujący do szpiku kości. Rycerz podniósł wzrok, spojrzął w niebo. Tego dnia, zgodnie z zapowiedzią ojca Gregore'a, zmrok miał zapaść wcześniej, gdyż nadeszła Czarcia Pełnia. Zakonnik znakomicie znał się na astrologii oraz na uzdrawianiu, zaś na polu walki wykazywał się ogromnym męstwem, któremu wielu ludzi zawdzięczało życie. Doprawdy,

interesujący był to człowiek. Nauki pobierał w Rzymie, tam też został wyświęcony na kapłana, za ojca miał szkockiego górala, zresztą legata na dworze papieskim, a za matkę - jeśli wierzyć krążącym legendom - czarownicę.

Przez cały ten dzień ojciec Gregore zachowywał się dziwnie, na przemian kłął i mruczał coś pod nosem, zaś w tym momencie, gdy przyglądali się wojskom nieprzyjaciela i szacowali ich liczebność, zaczął się zachowywać jeszcze dziwniej, mianowicie z jego ust wyrwały się tajemnicze inkantacje w języku niepodobnym do któregokolwiek z języków, jakie rycerz dotąd słyszał. Darzył zakonnika szacunkiem, niemniej dreszcz przeleciał mu po krzyżu, co nigdy mu się nie zdarzało, chociaż nieustannie musiał stawiać czoła wrogom i chociaż często widział, jak jego przyjaciele i towarzysze broni padali pod ciosami. Nie bał się niczego, odkąd stanął po stronie prawowitego króla, gdyż od tamtej pory patrzył tylko przed siebie, a za jedyną przewodniczkę miał umiłowanie wolności. W jego życiu nie było miejsca na strach.

- Wziął do pomocy pachółka samego diabła! - wybuchnął gniewnie ojciec Gregore.

Rycerz starał się go nie słuchać, musiał skupić się na tym, co działo się przed jego oczami. Wskazał na wawóz, płynącą przezeń rzekę oraz na wznoszące się za nimi skaliste wzgórze.

- Tam. Tam musimy stawić im czoła i powstrzymać ich.

- Zapewne zaatakują o świcie - rzekł król.

- Zapewne. Nie sądzę wszakże, byśmy odważyli się polegać na naszych przewidywaniach - odparł rycerz.

Król milczał przez chwilę.

- W tym wąwozie leży moje domostwo. Rycerz wiedział o tym, podobnie jak wiedział

o wielu królewskich dzieciach z nieprawego łoża. Król poślubił swoją wybrankę z miłości, jego ukochana naraziła się na gniew własnej rodziny, biorąc go za męża, jednak z powodu ciągłych walk często byli rozdzieleni, i to na długo.

Jedna z córek króla niedawno osiągnęła odpowiedni wiek i została przyjęta na dwór, gdzie posługiwała samej królowej, która w swej wielkoduszności traktowała młodą dworkę dobrze, nie mając jej za złe pochodzenia. Podobnie jak ojciec, dziewczyna była nieustraszona wobec wrogów, lojalna wobec przyjaciół, dumna wobec wszystkich, nieokiełznana przez nikogo. Podobnie jak matka, nieżyjąca już mieszkanka Isle of Skye, była piękna.

Wspaniale szyla z łuku, umysł miała równie lotny jak strzały, śmiała się głośno, budziła podziw brawurą, wydając się rycerzowi wcieleniem wszystkiego,

o co walczyli - wolnego, nieujarzmionego ducha tego kraju. Zawładnęła zarówno jego myślami, jak

i sercem. Czasem, gdy wieczorem kładł się do snu na twardym gruncie, zapominał o wojnie, przestawał czuć mdłą woń krwi ciągnącą od pola bitwy i oddawał się marzeniom, na nowo pozwalając, by córka króla go uwiodła, czuł zapach jej skóry i dotyk jej ciała.

Zwrócił się ku królowi.

- Nie zaczekają do świtu. - Wskazał na księżyc wznoszący się po wschodniej stronie nieba. - To Czarcia Pełnia przepowiedziana przez ojca Gregorem. Wystarczy im jego światło, choć czerwone i niewyraźne.

Król drgnął gwałtownie i chwycił rycerza za ramię, wbijając spojrzenie w dno jaru. Rycerz podążył za wzrokiem swego władcy i nagle jemu również zaparło dech w piersiach. Rozległ się hałaśliwy wybuch śmiechu, witający triumfalny powrót kilku jeźdźców, którzy widać pojechali na przespiegi. Kopyta tętniły głośno, a jeźdźcy krzyczeli jeszcze głośniejsze, jakby chcieli, by przeciwnik ich usłyszał.

- Mamy zdobyć! Mamy zdobyć godną naszego wielkiego króla!

Igrainia, ukochana rycerza, posiniaczona i powalana błotem, a mimo to nadal dumnie wyprostowana, siedziała na siodle przed jednym z jeźdźców, który podjechał do swego pana i rzucił dziewczynę na ziemię u jego stóp.

Podniosła się szybko, dzielnie uniosła głowę i spojrzała wrogowi prosto w oczy. Wrogi król popatrzył na nią, a potem na zwiadowców.

- Gdzie pozostali?

- Nie żyją. - Jeździec splunął. - Ona ich zabiła.

- A królowa?

- Uciekła, kiedy ta rozprawiała się z naszymi ludźmi.

- A ten tak zwany król tej bandy nędznych rzezimieszków?

- Nigdzie go nie ma.

Najeźdźca nie miał w sobie odwagi, za to chytryści aż nadto, podobnie jak okrucieństwem nadrabiał brak siły. Krzyknął więc głośno:

- Dziewka umrze śmiercią zdrajcy! - Echo zdwajało jego słowa, które niosły się dziwnie daleko tej nocy, gdy niesamowita czerwona poświata powoli przybierała na sile. - Nim księżyc zajdzie najwyżej na niebie, dziewczyna umrze!

Król ujrzał, że rycerz już spina konia.

- Stój! - Przytrzymał go za ramię.
- Pojadę sam - oświadczył rycerz, czując, jak krew w nim się burzy.
- Czarcia Pełnia - powtórzył za nimi ojciec Gregore. - Ona już jest stracona.

Rycerz nie słuchał go.

- Nie dam jej umrzeć bez walki. To twoje ciało i krew, panie. Zbyt wiele razy ryzykowała życie, by ocalić innych. Nie pozwolę, by umarła bez walki - powtórzył z determinacją.

- A ja nie pozwolę, byś zginął na darmo. Wróg wie, że jesteśmy blisko i słyszeliśmy te słowa. Nie możemy działać nierozważnie, potrzebny nam plan, inaczej wszyscy znajdziemy się w pułapce. Rycerz przeniósł spojrzenie na króla.

- Tu istnieje droga ucieczki. - Wskazał za rzekę, która niedaleko miała źródło, więc w tej okolicy była jeszcze górskim strumieniem, łatwym do przekroczenia. Za nią wznosiło się skaliste wzgórze o poszarpanych zboczach, po jego północno-zachodniej stronie znajdowały się kamienne kopce, które wyznaczają im miejsce spotkania w przypadku doznania porażki, do kopców zaś da się dotrzeć labiryntem, o którym wróg nie mógł wiedzieć.

Król przywołał gestem pozostałych rycerzy, by wszyscy mogli wysłuchać planu, potem podjął decyzję i nakazał zajęcie pozycji do ataku.

- Bądźcie czujni - zażądał nagle ojciec Gregore. Król spojrzął na zakonnika, jego czoło przecięła

pionowa zmarszczka, potem podjechał do krawędzi urwiska. Rycerz podążył za nim jak cień, czując, jakby żelazna dłoń ścisnęła mu żołądek.

W wąwozie mężczyźni zabawiali się, rzucając sobie Igrainię z rąk do rąk,

co zносиła w całkowitym milczeniu. Jeden chwycił ją i przyciągnął do siebie, rozochocony, lecz zaraz zawył i puścił, gdyż ugryzła go w wargę, a kolanem kopnęła w krocze.

- Na Boga, zabiję ją! - Wyszarpnął miecz z pochwy.

Wrogi król wybuchnął śmiechem.

- Już? Nie tak szybko. Nie jesteś godnym jej przeciwnikiem, ale dziś w nocy mamy towarzysza, który się dla niej nada.

- Zaraz pojawi się to czarcie nasienie – odezwał się ojciec Gregore. - Ale ty musisz się powstrzymać - ostrzegł rycerza.

Spomiędzy konnych i pieszych zgromadzonych na dnie wąwozu wyróżnił się mężczyzna - wyższy od pozostałych, jego postać okrywał czarny płaszcz, twarz chowała się pod pomalowanym na czarno hełmem. Szedł śmiałym, pewnym krokiem, kierując się prosto ku brance.

Rycerzowi zawrzała krew w żyłach. Zaciął wargi, rozpaczliwie starając się zachować panowanie nad sobą, jak nakazał mu zakonnik. Znał tamtego, nie raz spotkali się w bitwie, zaś ostatnim razem rycerz zdołał go pokonać. Wymierzył mu cios prosto w gardło, widział tryskającą krew, widział, jak tamten umiera ze słowami klątwy na ustach, poprzysięgając okrutną zemstę.

Ale powiadano później, że wcale nie skonał, że wezwał na pomoc samego szatana, a ten wysłał jedną ze swoich kochanek, która pocałowała umierającego, tym samym przypieczętowując jego pakt z diabelskimi mocami. Podobno nie tylko ozdrowiał, ale stał się niepokonany, o czym z równą zgrozą szeptali zarówno jego przeciwnicy, jak i sprzymierzeńcy. Od tej pory nazywano go Władcą.

I ta oto ohydna istota miała w swej mocy córkę króla!

Rycerz wiedział, że ona będzie walczyć i czuł się tak, jakby sam umierał, nie mógł nawet modlić się o to, by zginąć w jej obronie, gdyż żadna modlitwa nie przeniosłaby go cudem na dno jaru, nie miał szans zdążyć.

Igrainia nie walczyła jednak, stała bez ruchu, wpatrując się w nadchodzącego. Uniósł przyłbicę, lecz czerwony księżyc nie oświetlał jego twarzy, raczej wydawał się rzucać na nią cień. Mocne ramię chwyciło córkę króla i wciągnęło ją pod osłonę czarnego płaszcza.

Nagle dziewczyna odzyskała utraconą zdolność ruchów, zaczęła rzucać się i krzyczeć, jakimś cudem zdołała wyrwać się wrogowi, odskoczyła od niego, przyciskając dłoń do szyi. Z zadziwiającą szybkością wyrwała dwuręczny miecz z pochwy najbliższej stojącego rycerza i zamachnęła się z całą mocą, chociaż miecz był potężny i ciężki. Mężczyzna w czerni zdążył uskoczyć, lecz właściciel miecza już nie i zginął na miejscu. Nim Igrainia wymierzyła ponowny cios, rzuciło się na nią ze dwudziestu, została związana i zawleczona pod drzewo, gdzie czym prędzej ułożono wokół niej stos. Ani przez chwilę nie okazała lęku, rzuciła klątwę na wszystkich, którzy przykładali rękę do jej śmierci.

- Ty również umrzesz przez ogień - cisnęła w twarz wrogiemu królowi. - Twoje wnętrzności będą płonąć, a twoja dusza poleci prosto w wieczny ogień piekieł!

Postać w czerni odwróciła się i rozejrzała dookoła.

- Widzisz, Ioinie? Mam teraz większą moc, niż mógłbyś sądzić. A dziewczyna jest moja. Chodź i ocal ją, jeśli się odważysz!

Zapalono ogień pod stosem.

Ojciec Gregore przeżegnał się, pośpiesznie odmówił krótką modlitwę i wyciągnął miecz. Rycerz nie mógł dłużej czekać i już chciał rzucić się sam ku wrogom, gdy król dał sygnał do ataku i jego wojsko, wycieńczone długimi walkami, runęło w dół. Wojenne okrzyki rozdarły powietrze, atakujący natarli niczym straceńcy, bo choć znużeni i mniej liczebni, mieli w sobie ducha swych przodków wikingów, w dodatku znajdowali się na własnej ziemi i jej bronili, podczas gdy w szeregach wroga służyło wielu najemników, którzy chętnie brali żołd, ale niechętnie nadstawiali skóry.

Rycerz poczuł swąd ognia, a zaraz potem zdało mu się, że Igrainia woła go po imieniu. To nie był krzyk o ratunek, lecz nieskończone smutny lament z powodu straty, wyraz bólu sięgającego poza śmierć samą, poza grób. W odpowiedzi zawołał ją również, lecz jego głos zabrzmiał jak grom, gdyż szalony gniew dodał mu sił. Rycerz runął w kierunku drzewa, nie bacząc, że może w każdej chwili zginąć, skoczył na stos, nie zważając na płomienie parzące mu skórę, przeciął więzy, a ona osunęła się w jego ramiona... milcząca i bez życia.

Z jego gardła wydobył się ryk wściekłości. Rozejrzał się, szukając wzrokiem człowieka w czerni, lecz nigdzie nie mógł go dostrzec, za to zobaczył, jak ku niemu rzucają się zwykli wrogowie. Musiał położyć Igrainię na ziemi, odwrócić się i walczyć, walczyć, walczyć... Nagle poczuł śmierć za plecami, ogarnęła go ciemność, szkarłatna ciemność, lecz najwyższym wysiłkiem woli odwrócił się, uniósł dziwnie omdlewające ramiona, gotów zadać straszliwe pchnięcie, lecz za nim nie było nic. A ona...

A ona znikła.

Znów ktoś skoczył ku niemu, oszołomionego rycerza uratował tylko instynkt, gdyż jego umysł zupełnie przestał pracować. Ramię niemal samo odparowało cios, a potem pochłonął go wir walki. Szczękały miecze, topory rozłupywały czaszki, krew wsiąkała w ziemię, zmieniając ją w zdradliwe błoto, na którym łatwo było się poślizgnąć. Naraz rozległ się głos rogu, bitwa na moment zamarła, człowiek, którego rycerz właśnie przeszył mieczem, zdążył jeszcze uśmiechnąć się szyderczo, nim osunął się bezwładnie. W powietrzu dało się słyszeć upiorny chichot.

Wpadli w sprytnie zastawioną pułapkę. Wróg pokazał im tylko część swoich wojsk, reszta czekała w ukryciu, zaś teraz runęła przez przełęcz jak fala, by napęłnić wąwóz niemal po brzegi. Rycerz obrócił się i ciał przez pierś pieszego, który zakradał się od tyłu, chcąc go zabić. Ujrzał króla, a na ten widok wróciła mu zdolność myślenia, przypomniało mu się, kim jest i co ma czynić, więc podążył w jego stronę, by zająć miejsce u jego boku i walczyć aż do śmierci.

Chciał umrzeć. Ona nie żyje, nie żyje, krzyczało coś w jego duszy. Jedyne, co mu pozostało, to odnaleźć jej szczątki.

Ujrzał kohortę jeźdźców, przybywającą z wolnym wierzchowcem, by ratować króla z pola walki.

- Uciekaj, panie! - krzyknął.

Jeźdźcy osłonili króla, zmusili go, by wsiadł na konia i zaczęli wycofywać się w stronę jaskiń i tajemnych przejść, których wróg nie znał. Zagrały dudy, dając znak do odwrotu, ale oczywiście bitwa trwała dalej, gdyż wszyscy nie mogli się wycofać, część została na polu walki, osłaniając odwrót towarzyszy, i ta część nieuchronnie musiała zginąć.

Rycerz na moment podniósł wzrok, ujrzał okrągły księżyc, równie czerwony jak mgła, która spowiła wąwóz. Wydawało się, jakby wszyscy zostali pogrążeni w morzu krwi, lecz rycerz nie dbał o to, gdyż i tak był już jak martwy, jego dusza i serce umarły wraz z nią.

Jego czas nadszedł, lecz nie przeklinał za to Boga ani losu. Ona nie żyła, nic innego nie miało znaczenia, mógł jedynie modlić się, żeby inny świat naprawdę istniał i by spotkali się w niebie. Tak, zabijał, ale przecież zawsze w słusznej sprawie, więc czyż można mu było poczytać to za grzech?

Na ułamek sekundy zacisnął powieki, potem znów otworzył oczy i z bitewnym okrzykiem na ustach rzucił się w wir walki, w wir śmierci. Jego przeciwnicy padali jeden po drugim, gdyż ślepa furia, która nim powodowała, czyniła z niego narzędzie zniszczenia. Tym razem nie walczył za kraj ani za wolność, zabijał z zemsty za nią.

Coś mokrego zaczynało cieknąć mu po czole, spływać do oczu, nie wiedział, czy to pot, czy krew, nic już nie wiedział, parł przed siebie w czerwonej mgle, ledwie świadom tego, że ktoś kroczy u jego boku i że w powietrzu słychać śpiewne inkantacje. Naraz cios w głowę zwałił go z nóg, rycerz zapadł się w ciemność, w nieskończoną krwawą noc.

Otworzył oczy. Otaczał go półmrok, w którym coś się poruszało, jakby jakiś cień. Nie spodziewał się tego. Czyżby jednak Bóg skazał go na piekło?

Poczuł przyjemne ciepło, usłyszał trzask ognia, zamrugał kilka razy powiekami i w końcu uświadomił sobie, że wcale nie umarł. Na ścianie pojawił się ogromny cień, przysunął się bliżej, a potem zmienił w ojca

Gregore'a, który uniósł swoją potężną dłonią głowę rannego, przystawił mu do ust naczynie z wodą i napoił go ostrożnie.

- Bitwa...? - wychrypiał ranny.

- Skończyła się. Już dawno temu. Pij powoli. Rycerz rozejrzał się.

Znajdowali się w jaskini, nie

dało się zgadnąć, czy nadal trwała noc, czy już wstał dzień, nie było już jednak czerwonej mgły ani mdlącego zapachu krwi i śmierci. Ani nie było już tej, którą kochał.

- Długo tu jestem?

- Bardzo długo.

- Pani mego serca... Wyrwałem ją z ognia, lecz potem ktoś ją zabrał, muszę ją odnaleźć.

Zakonnik przyglądał mu się w milczeniu, badając wzrokiem jego twarz.

- Tak, musisz - rzekł wreszcie.

- Trzeba się więc spieszyć. Ojciec Gregore przytrzymał go.

- Najpierw wyzdrowiej.

- Lecz ja muszę ją znaleźć!

- Niewielka zwłoka już nic tu nie zmieni. - Zakonnik usiadł na ziemi, płomienie rzuciły blask na jego twarz. - Nie potrafię zdziałać cudu, nie ulecę cię w jednej chwili.

- Ale ona jest w niebezpieczeństwie!

- Tak. Odtąd to jest twoje zadanie, jej nieśmiertelna dusza czeka na twoją pomoc.

- W takim razie...

- Potrzeba nam czasu, synu, gdyż wiele się wydarzyło, wiele muszę ci opowiedzieć i wiele się jeszcze musisz nauczyć.

Zapadło milczenie, trzaskał ogień, rycerz zatopił spojrzenie w oczach mnicha... I dopiero wtedy zaczął rozumieć.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jessica Frazer zamknęła oczy, by odciąć się od wszelkich innych odgłosów - rozmów, szurania odsuwanych krzeseł, brzęku szkła - i słuchać tylko jazzu. Najchętniej poddałaby się tej muzyce bez reszty, zapomniała o pracy, o czekającej ją podróży, a nawet o otaczających ją oddanych przyjaciółach. Kochała Nowy Orlean od chwili przyjazdu, nie tylko za to, że miasto było pełne życia oraz historycznych pamiątek, kochała je głównie ze względu na wszechobecną muzykę. Jessice wystarczyło zamknąć oczy, by poczuć, że jest tylko ona i przenikające ją dźwięki, które dawały poczucie ukojenia. Cóż, chyba na niewiele osób słynna Bourbon Street miała równie kojące działanie...

Nagle z tego miłego stanu wytrąciło ją poczucie, że coś jest nie tak, że ktoś wpatruje się w nią intensywnie. Gwałtownie otworzyła oczy i rozejrzała się.

- Hej, słyszałaś, co powiedziałam? - Maggie Canady szturchnęła ją lekko.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Że powinnaś zaprojektować kostium kąpielowy dla osób, które mają więcej ciała, niż chciałyby pokazać.

- Oj, Maggie, po prostu kup sobie taki bardziej zabudowany, wiesz, jednocześnie ze stójką-doradziła Stacey LeCroix, która pomagała Jessice i przy prowadzeniu pensjonatu, i przy projektowaniu ubrań, przy czym oba rodzaje działalności były zajęciem ubocznym, gdyż Jessica pracowała przede wszystkim jako psycholog. Stacey była młodziutka,

bystra, pewna siebie, wiotka jak trzcina, pełna energii i... wściekle asertywna. Nie, nie agresywna, jak sama wyjaśniała. Asertywna, tylko tyle.

Maggie westchnęła.

- Kochanie, stójka niewiele pomoże, jeśli ma się wielkie siedzenie i uda jak walce.

Jessica wybuchnęła śmiechem i spojrzała na Seana, męża Maggie, wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie kogoś cieszącego się sporym autorytetem, a do kompletu był naprawdę atrakcyjny. Całkiem przydatna kombinacja w pracy gliniarza.

- Proszę, powiedz twojej żonie, że nie ma ud jak walce.

Sean odgarnął z czoła jasne włosy i spojrzał na żonę.

- Maggie, nie masz ud jak walce.

Dziwne, że to właśnie Maggie narzekała na coś tak trywialnego, jak wygląd, przecież zazwyczaj zajmowały ją znacznie poważniejsze sprawy, dużo udzielała się społecznie, wychowywała trójkę dzieci, prowadziła własny biznes i generalnie przejmowała się losami świata. Do tego była olśniewającą kobietą o płomiennie rudyh włosach oraz orzechowozłocistych oczach, czyli ostatnią osobą, która mogła martwić się o swój wygląd. Zresztą w jej przypadku należałoby się martwić o coś innego, o coś, co mogło stanowić realne zagrożenie. Maggie wołała jednak o tym nie pamiętać, przynajmniej tak długo, jak owa możliwość się nie pojawiała.

- No, nie wiem... Ale chyba trochę się zaokrąglam po każdej ciąży.

W każdym razie chętnie włożyłabym wygodny i ładny kostium, w którym

czułabym się dobrze. Jessica, zaprojektujesz dla mnie taki? Hej, czy ty w ogóle zwracasz na nas uwagę?

Znowu przyłapała się na tym, że się rozgląda, gdyż ciągle czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Nikt jednak nie sprawiał wrażenia zainteresowanego nią ani jej przyjaciółmi.

- Tak, oczywiście. Mam zaprojektować dla ciebie kostium kąpielowy, który będzie zakrywał trochę więcej niż normalnie.

- Dzięki czemu Maggie uzyska na ciele nietypowy biało-brązowy wzorek - ostrzegła Stacey.

- Wiecie, ta cała rozmowa jest... - Jessica już miała powiedzieć „głupia”, gdy ugryzła się w język.

Czemu nagle to spotkanie zaczęło ją niecierpliwic? Skąd to poczucie, że powinna być gdzieś indziej i robić coś innego, chociaż nie miała pojęcia, gdzie i co? Może to po prostu podenerwowanie, spowodowane wyjazdem na konferencję.

Zobaczyła, że do ich stolika zbliża się Bobby Munro, wysoki i przystojny brunet, najnowszy chłopak Stacey, pracujący zresztą razem z Seanem. W pierwszej kolejności skinął głową zwierzchnikowi.

- Panie poruczniku.

- Bobby, wydawało mi się, że dziś wieczorem masz jakąś dodatkową robotę - zdziwiła się Stacey.

- Tak, ale właśnie byłem tuż obok, więc postanowiłem wpaść i życzyć Jessice miłej podróży. No i oczywiście zobaczyć ciebie. - Stał za plecami Stacey, nachylił się, pocałował ją w czubek głowy, a potem spojrzał na Jessicę. - Uważaj na siebie, dobrze?

Jęknęła.

- Przecież to tylko konferencja!

Miała ogromną ochotę spytać pozostałych, czy też czują się obserwowani, ale powstrzymała się, w końcu Sean był świetnym gliniarzem, gdyby cokolwiek zauważył lub choćby wyczuł, na pewno by o tym powiedział. Widocznie wytrąciła ją z równowagi perspektywa wyjazdu do Rumunii.

Bobby pomachał im ręką i odszedł, a kiedy zostali sami, Sean pochylił się nad stołem.

- Wydajesz się wyjątkowo spięta jak na osobę, która po prostu jedzie na konferencję. W sumie nic dziwnego, to jednak obcy kraj!

- Nie jadę przecież do dżungli, Rumunia to cywilizowany kraj.

- Ktoś z nas powinien jechać z tobą. Jessica machnęła ręką.

- Nie mów głupstw.

- Ale ja bym mog... - zaczęła Stacey.

- Nie, wolę, żebyś tu została i wszystkiego dopilnowała.

Przesadzacie, ja tylko jadę na konferencję.

- A jednak jesteś ogromnie spięta - stwierdził Sean. - Może chcesz jednego?

- Nie jestem spięta - warknęła, co natychmiast uświadomiło jej, że musi być spięta, skoro bez powodu naskakuje na przyjaciela. -

Przepraszam, ja po prostu... - Popatrzyła na przyjaciół i nagle poczuła, że nie może dłużej z nimi siedzieć. Wstała i udała, że ziewa. - Nie pogniewacie się, jeśli pójdę? Jutro wylatuję i chyba jestem tym trochę przejęta.

- Wiedziałem, że się martwisz tą podróżą.

- Nie, nie martwię się, to tylko lekkie podenerwowanie. Powinnam już iść do domu.

- Szkoda, że nie jedziesz na prawdziwe wakacje - stwierdziła Stacey.

- Przydałyby ci się, jesteś przepracowana, dzisiaj wieczorem widać to po tobie, stres z ciebie wychodzi wszystkimi porami. Byłoby lepiej, gdybyś mogła pojechać gdzieś w góry do jakiegoś kurortu. Ta konferencja to tylko dodatkowe obciążenie. Kto zresztą słyszał, żeby międzynarodowy zjazd psychologów odbywał się w Rumunii?

- Nie martw się o mnie, dam sobie radę, jako doświadczony podróżnik potrafię wypocząć nawet na wyjeździe służbowym. Będę robić to, co robią turyści, obiecuję.

- Tak? Zwiedzisz zamek Draculi, przejdiesz się po spowitych mgłą lasach i będziesz nasłuchiwać wycia wilkołaków? - spytała Maggie.

- Dokładnie. - Jessica uśmiechnęła się. - Wracam za tydzień.

Sean roześmiał się.

- Och, Jessica raczej nie musi bać się wampirów i wilkołaków, w końcu mieszka w Nowym Orleanie, gdzie mamy wudu oraz tych wszystkich wariatów, którzy uważają się za zombie i wampiry.

- Twój mąż dobrze mówi - rzekła Jessica do Maggie, lecz ta nie wyglądała na przekonaną.

- Wiem, ale... ale nie umiem tego wyjaśnić. Nie podoba mi się, że tam jedziesz i już.

- No cóż, jadę i na pewno będzie to niezapomniane przeżycie.

Dzięki, że tak się o mnie troszczycie, jesteście kochani. Dobranoc. -

Uściskała ich kolejno i wyszła, po drodze mijając scenę, by pomachać na pożegnanie ciemnoskóremu saksofoniście.

Duży Jim był zwalistym mężczyzną, lecz w jego muzyce brzmiało coś bardzo subtelnego, niebiańskiego prawie. Miał też znakomitą intuicję i nigdy się nie mylił w ocenie ludzi, co mogło być cechą odziedziczoną po przodkach, z których wielu dość skutecznie parało się wudu. Podobnie jak Sean i Maggie zaprzyjaźnił się z Jessicą tuż po jej przyjeździe do miasta i podobnie jak oni spojrział teraz na nią z niepokojem, westchnął i potrząsnął głową, zatroskany niczym starszy brat.

- Uważaj na siebie - przekazał samym ruchem warg.

- Zawsze uważam - odparła w taki sam sposób.

Jeden z członków zespołu, Barry Larson, szczupły trzydziestolatek ze Środkowego Zachodu, zakrył wolną dłonią swój mikrofon.

- Hej, ślicznotko, milej podróży. I wracaj bezpiecznie do domu, dobra?

- Jasne.

Uśmiechnął się szeroko. Był sympatycznym, chociaż trochę dziwnym facetem. Jessica obawiała się, że na początku trochę się w niej durzył, Barry jednak nigdy nie poruszył tego tematu, a z czasem został jednym z jej przyjaciół.

Wyszła z klubu, a ponieważ była jedenasta w nocy, ulice Dzielnicy Francuskiej tętniły życiem, dokładnie tak samo jak przed huraganem Katrina i następującą po nim powodzią, która omal nie zniszczyła miasta do fundamentów. Jessica miała niedaleko do domu, ledwie trzy przecznice, więc szybko znalazła się przed furtką, tam jednak zatrzymała się na moment, gdyż wyczuła coś w powietrzu. Pewnie będzie padać, pomyślała i spojrziała w niebo.

Nie spodobało jej się, co tam ujrzała, więc czym prędzej pospieszyła ku drzwiom, tłumacząc sobie, że nie ma się czego obawiać, gdyż w dawnej stróżówce na tyłach posesji mieszka przecież Gareth Miller, który w zamian za cztery kąty pilnował domu oraz mieszkających w nim Jessiki i Stacey. Był małomówny, chodził lekko przygarbiony, z bardzo długimi włosami wyglądał jak hipis. Z nim również Jessica zaprzyjaźniła się z biegiem czasu i cieszyła się z jego obecności, dzięki której czuła się bezpiecznie.

Niemal mimowolnie przystanąła na chodniku prowadzącym do głównych drzwi i ponownie spojrzała do góry, a wtedy znowu ogarnęło ją to dziwne poczucie, że musi się bardzo spieszyć. Rzeczywiście powinnam sobie zrobić wakacje, pomyślała, bo chyba zaczynam już bzikować.

Na myśl o wakacjach niemal roześmiała się na głos. Jak mogłaby jechać na wakacje, gdy dręczyło ją poczucie, że czas ją goni, że musi zdążyć... przed czym?

A może przed kim?

Nie mogła spać, przewracała się na łóżku, dziwnie świadoma każdej upływającej minuty. W środku nocy wstała i wyszła na balkon. Miała ogromne szczęście, że huragan Katrina, który spustoszył miasto, niemal nie tknął historycznej dzielnicy i jej domu, który Jessica pokochała od pierwszej chwili. Był stary i naprawdę duży, utrzymywała go dzięki prowadzeniu w nim eleganckiego pensjonatu dla wybranych gości. Na parterze urządziła swój gabinet, a ponieważ była psychologiem z prawdziwego powołania, miała spore wzięcie i dobrze zarabiała. W dodatku projektowała oryginalne kostiumy dla grup biorących udział w

malowniczych paradach podczas słynnego nowoorleańskiego święta Mardi Gras.

Stała na balkonie swojego ukochanego domu, słuchając dobiegających z Dzielnicy Francuskiej odgłosów muzyki i śmiechu. Ponownie spojrzała w niebo, które wydało jej się dziwnie czerwonawe, co więcej, im dłużej patrzyła, tym wyraźniej widziała tę szkarłatną czerwień, podczas gdy ciemność zdawała się gęstnieć i zamykać wokół niej, jakby była czymś dotykającym.

- Nonsens - powiedziała na głos Jessica. Z zawodowego nawyku wyobraziła sobie, jak tłumaczy swój stan psychoanalitykowi. - Ja nie tyle widzę tę ciemność, co ją... czuję.

Jessice nagle zrobiło się zimno, gdyż poczuła się zagrożona, zupełnie jakby ktoś na nią polował, jakby ją osaczał. Czym prędzej cofnęła się z powrotem do sypialni i zamknęła drzwi balkonowe, starając się otrząsnąć z tego nieprzyjemnego uczucia, a mimo to zaczął ją prześladować dziwny lęk, jakiego nie czuła od wieków.

Nadal nie spała, leżała, wpatrując się w nocne niebo, które czerwieniało coraz bardziej. Przyjaciele także to wyczuli i dlatego denerwowali się z powodu jej wyjazdu, ale nie dało się już go odwołać, gdyż Jessica nie tylko zgłosiła swój udział, miała także wystąpić z referatem. Gdy dowiedziała się o tej konferencji, natychmiast zapragnęła na nią jechać, teraz zaś nie miała na to najmniejszej ochoty. Co się zmieniło, u licha? A może nic, może jest tylko w gorszej formie psychicznej?

Nagle zakręciło jej się w głowie, jakby pokój zawirował wokół niej, lecz potem... nie było już pokoju, Jessica stała na skalistym zboczu,

widząc na szczycie poszarpanej grani bardzo wysokiego mężczyznę osłoniętego czarnym płaszczem łopoczącym na wietrze.

Ten człowiek był wcieleniem zła.

To zło próbowało ją wytropić, pradawne zło, które czaiło się gdzieś na samym dnie odległych i dziwnych wspomnień, które w dodatku nie były prawdziwe, gdyż coś podobnego nie mogło się wydarzyć. Władca.

To imię bez ostrzeżenia pojawiło się w jej głowie, zaś Jessica z miejsca odegnała je od siebie, a wtedy wizja znikła.

Znowu znajdowała się w swojej pięknej sypialni, której ciszy nie zakłócały nikłe odgłosy dobiegające z ulicy, znowu czuła słodki zapach magnolii, panował spokój, nic się nie działo. Naprawdę zaczynam bzikować z przemęczenia, uznała z irytacją. Muszę się wyspać.

Następnego dnia, gdy tylko stanęła na rumuńskiej ziemi, przebiegł ją zimny dreszcz. Z głośników dobiegał przyjemny głos, w najróżniejszych językach podający godziny odlotów i przylotów, wszędzie dookoła paliły się światła, lecz Jessica miała wrażenie, że za nią gęstnieje ciemność i rozlegają się ciche kroki, zbliżające się z każdą chwilą. Ktoś ją śledził, na karku poczuła smrodliwy oddech, wydało jej się, że jakiś drwiący głos szepcze jej imię.

W przyptywie paniki odwróciła się gwałtownie, lecz nie dostrzegła nikogo. To znaczy, ujrzała całą masę ludzi, lecz każdy spieszył w swoją stronę, zajęty własnymi sprawami i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Zapadł już zmierzch, gdy dotarła do hotelu mieszczącego się w starym, historycznym budynku. Idąc samotnie korytarzem, znowu poczuła osaczającą ją ciemność, więc przyspieszyła kroku i parę chwil później zamknęła się na klucz w swoim pokoju.

Czekała, patrząc na drzwi i tłumacząc sobie, że widać jako psycholog miała do czynienia z jednym paranoikiem za dużo i sama zaczęła cierpieć na jakieś urojone obawy. Nic się nie działo.

Odwróciła się od drzwi, a wtedy za jej plecami rozległ się cichy odgłos, jakby ktoś poruszył klamkę. I znowu usłyszała wypowiedziane szeptem swoje imię.

A potem coś jeszcze. Śmiech.

Nie zdołasz się ukryć. Znajdę cię wszędzie...

- Idziesz z nami? - spytała Mary z uwodzicielską miną, siadając na brzegu łóżka Jeremy'ego. Mieszkali w schronisku młodzieżowym, które urządzono w siedemnastowiecznym klasztorze. - Cały czas nie mogę uwierzyć, że zostałam zaproszona. Jakaś dziewczyna na ulicy po prostu zaczepiła mnie i zaczęła opowiadać. To prywatny, ekskluzywny klub, na drzwiach nie ma nawet żadnej tabliczki! Będą tam ludzie z całej Europy. To jest w ruinach jakiejś starej katedry czy zamku. Przypadkiem naszą rozmowę usłyszała para Węgrów, powiedzieli, że to prawie niemożliwe dostać się na imprezę w tamtym klubie, zwłaszcza na tak wyjątkową jak bal wampirów. Widzisz, a ja mam zaproszenie! I wiesz, co jeszcze ci powiem? Otóż panią balu będzie słynna domina. Na takie imprezy przyjeżdżają do Transylwanii prawdziwe gwiazdy, wyobrażasz sobie? Kto wie, kogo tam spotkamy? To będzie najbardziej odlotowa impreza podczas całej podróży!

Mary była nieduża, prześliczna, szalenie żywa, miała niesamowicie niebieskie oczy i kaskadę jasno-blond włosów. Jeremy oczywiście nie łudził się, że nagle zaczęło jej aż tak bardzo zależeć na jego towarzystwie,

po prostu trochę bała się iść na to przyjęcie, więc próbowała zaciągnąć na nie przyjaciół.

Za czasów licealnych zrobiłby wszystko, co tylko chciała. Chociaż nie należał do najlepszych graczy, zdołał dostać się do szkolnej drużyny piłkarskiej, ponieważ ona była cheerleaderką. Nie kryła podziwu dla muzyków, więc nauczył się grać na gitarze. Nie pociągało go zabieganie o popularność i obracanie się wśród tych „lepszych”, ale w pogoni za zdobyciem akceptacji Mary, właśnie taki się stał. Zachował jednak własne standardy moralne, przez co zresztą stał się jeszcze bardziej atrakcyjny i pożądany w oczach wielu dziewczyn, ale nie w oczach Mary.

Nawet jego wybór uniwersytetu - prywatnego uniwersytetu Tulane w Nowym Orleanie - został podyktowany pragnieniem bycia jak najbliżej niej. Niestety, nadal wywierał wrażenie wyłącznie na innych dziewczynach, zwłaszcza że przez cztery lata studiów urósł o dobrych dziesięć centymetrów i zmęźniał dzięki regularnym ćwiczeniom. Płeć piękna zdawała się również doceniać jego powagę oraz pracowitość, lecz Mary nieodmiennie żartowała sobie z tych cech.

Jeremy właśnie miał ukończyć studia, wiadomo było, że otrzyma dyplom z wyróżnieniem, mógł więc bez większego trudu dostać dobrą pracę lub zdecydować się na dalsze kształcenie. Nadeszła wiosna, a wraz z nią ich ostatnie ferie i Jeremy przyjął propozycję Mary, by wykorzystać okazję i wyskoczyć razem do Europy. W wieku dwudziestu dwóch lat nie był już tamtym zadurzonym nastolatkiem, przestał wielbić Mary bezkrytycznie, nauczył się oceniać ją znacznie bardziej trzeźwo, a mimo to nadal ją kochał. Dlatego też znalazł się z nią w Rumunii.

Ich grupa liczyła sobie dwudziestu studentów, na szczęście wszyscy okazali się sympatyczni, więc wycieczka przebiegała w miłej atmosferze. Zwiedzali kościoły, średniowieczne miasteczka, historyczne budynki, a w domu, w którym urodził się osławiony Vlad Tepes, stanowiący pierwowzór Draculi, jedli obiad, gdyż obecnie mieściła się tam restauracja. Miłą niespodzianką stanowił fakt, że w Transylwanii spotkali Jessicę Frazer, która przyjechała na jakiś kongres psychologiczny. Znali ją, gdyż miała kiedyś w ich szkole wykład na temat psychologii, a mówiła z taką pasją, że nawet niezainteresowani tematem uznali ją za „świątą babkę”. Ucieszyła się, gdy Mary i Jeremy ją rozpoznali, spędziła z nimi wolne popołudnie, twierdziła nawet, że przypomina sobie Jeremy'ego.

Szczerze powiedziawszy, w ciągu tych kilku godzin Jeremy zaczął coraz bardziej doceniać Jessicę, w porównaniu z którą Mary wydawała się płytka i mało interesująca. Chyba się nawet troszeczkę zadurzył. W takim stanie ducha naprawdę nie miał ochoty chodzić na niemądre imprezy, w dodatku cokolwiek szalone, bo o ile było mu wiadomo, w ramach wyjątkowo swobodnej zabawy nie tylko krępowano chętnych, ale też niektórzy z prowadzących mieli się za prawdziwe wampiry...

- Mary, nie mam ochoty tam iść.

- Nie bądź takim sztywniakiem! Pamiętaj, że kończę dziennikarstwo, mogłabym z takiej imprezy zrobić świetny materiał.

Ze względu na owe dziennikarskie ciągoty Mary już ładnych kilka razy wpakowali się w tarapaty. Jeremy zdążył o tym zapomnieć, gdyż przez pół roku nie dawał się wodzić Mary za nos, zajęty budowaniem całkiem poważnego związku z pewną studentką literatury. Szło im naprawdę dobrze, lecz matka Melissy zachorowała, córka pojechała do

domu i już nie wróciła. Przez jakiś czas telefonowali do siebie z Jeremym co wieczór, potem coraz rzadziej i rzadziej, wydłużały się też przerwy między e-mailami, aż w końcu kontakt ustał zupełnie.

W rezultacie Jeremy wylądował w Transylwanii, znowu ulegając namowom Mary, która bez skrupułów go wykorzystywała. Jesteś niesprawiedliwy, myśląc o niej w ten sposób, zganił się w myślach. Czasami bywa egoistką, ale to naprawdę bardzo dobra przyjaciółka.

- Nie podoba mi się ten pomysł. Roześmiała się.

- Och, Jeremy, daj spokój! Już i tak za długo nosisz żalobę po Melissie. A może chodzi o co innego? Boisz się, że ktoś cię przeleci?

- Mary! - zaprotestował wymownym tonem, bo chociaż we współczesnych czasach swobodne słownictwo było czymś naturalnym, Jeremy nie lubił, gdy kobieta używała podobnych określeń.

- Proszę cię, chodź z nami. Czytałam o bardzo dużym wzroście zainteresowania prywatnymi seks-klubami, parę miesięcy temu był w gazecie wielki artykuł o podobnym lokalu u nas w Nowym Orleanie. Tam też nie ma żadnej tabliczki na drzwiach, wstęp na imprezy mają tylko wtajemniczeni. Ludzie ściągają nawet z daleka, bo w takim miejscu mogą robić wszystko, na co mają ochotę.

- No, czyli oddawać się idiotycznym rytuałom, na przykład nacinają sobie skórę na opuszkach i potem jeden imprezowicz ssie krew drugiego. Żalotne.

- Wcale nie. Zresztą nikomu nie wolno zmuszać innych osób do niczego, na co same nie mają ochoty. Autorka artykułu nie czuła się napastowana ani wykorzystana.

- Może była stara i brzydka. A zjawisko zostało już opisane, skoro pojawił się artykuł, więc po co poruszać temat ponownie i wyważać otwarte drzwi?

Westchnęła.

- Tylko że ja bym chciała napisać o tym jako o zjawisku międzynarodowym, porównać sytuację w Stanach i tutaj. Słuchaj, ja i tak tam pójde, niezależnie od tego, czy dasz się namówić, czy nie. Ponieważ Nancy zgodziła się iść ze mną, nie będę sama, lecz potrzebne nam towarzystwo mężczyzny. No, może niekoniecznie potrzebne, ale zwyczajnie wolałybyśmy mieć przy sobie jakiegoś faceta. Zresztą co masz lepszego do roboty? Będziesz grał przez cały wieczór w jakąś głupią grę komputerową?

- Sam ją zaprojektowałem, powinna mi zapewnić całkiem niezłą pracę.

Ku jego zdumieniu Mary aż złożyła ręce.

- Jeremy, tak mi na tym zależy... Proooooszę!

- W porządku, pójde. Rozpromieniła się, skoczyła na równe nogi.

- Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz!

- Postawmy sprawę jasno. Jeśli powiem, że wychodzimy...

- ...to wychodzimy. Dobra. A teraz przestań się wreszcie martwić, ja zawsze spadam jak kot na cztery łapy.

- Jak mamy się tam dostać? - spytał rzeczowo.

- O, to też będzie odlotowe. Trzeba iść tym szlakiem w stronę góry i poczekać, aż zabierze cię prawdziwy powóz! - Mary uśmiechnęła się. - Cały czas nie mogę się nadziwić, czemu ta dziewczyna zaprosiła właśnie mnie. Widać zadziałało moje szczęście.

Raczej twoja uroda, pomyślał Jeremy, lecz nic nie powiedział, skoro tak bardzo chciała wierzyć w swoje szczęście. Mary poszła się przebrać, zachwycona i pełna entuzjazmu, on zaś, bardzo niezadowolony z obrotu sprawy, wyszedł ze schroniska i udał się do czterogwiazdkowego hotelu, stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Spytał w recepcji o Jessicę Frazer, lecz dowiedział się, że wyszła, co jeszcze dodatkowo zwiększyło jego niepokój.

Czemu się denerwował, i to do tego stopnia, że za nic nie puściłby Mary samej na tę imprezę? I czemu sam obawiał się tam iść?

Zawahał się, po czym zostawił wiadomość.

Na wszelki wypadek ktoś powinien wiedzieć, dokąd się udali.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Kolejny obraz padł z rzutnika na ekran. Sala wykładowa, ku zaskoczeniu Bryana McAllistaira, była pełna po brzegi, studenci z różnych krajów słuchali go w zupełnej ciszy, zafascynowani. Zbliżał się do końca swojego wykładu, zostało mu do omówienia jeszcze tylko kilka rzeczy.

- To osiemnastowieczny szkic, przedstawiający Katherine, hrabinę Valor, uznawaną za jedną z największych piękności swej epoki. Zarzucano jej zbrodnie tak straszliwe, że akta oskarżenia zostały utajnione. Później strawił je ogień, więc nie możemy już teraz rozstrzygnąć, czy była wcieloną bestią czy też może sama padła czyjąś ofiarą. Należała do arystokracji, podobnie jak księżna Batory i tak samo jak wiele innych piękności zdobyła majątek na dworze Ludwika XIV jako metresa. Historycy odnotowują istnienie czarnoksięskiego kultu na dworze króla, zaś rzeczona dama, która skądinąd stanowi temat innego wykładu, była z nim powiązana. Skazano ją za czary i morderstwo, jednak jakimś sposobem udało jej się zbiec z Bastylii, niektórzy twierdzili, że zmieniła się w dym i w takiej postaci wymknęła się pomiędzy kratami. W owych czasach łowcy czarownic jeszcze całkiem nieźle zarabiali na swojej profesji, w dodatku za głowę hrabiny wyznaczono bardzo wysoką cenę, dlatego też tropiono ją po całej Europie. Jeśli wierzyć pogłoskom, zawarła pakt z diabłem, może nawet z samym szatanem, który posługiwał się wysłannikiem znanym jako Władca. Na podstawie legend możemy się domyślać, że Władca to zanglicyzowana wersja starożytnego babilońskiego demona, syna lamii, która jest jedną z najwcześniejszych

inkarnacji mitu o wampirach, ponieważ lamie żywiły się krwią niemowląt. Podobno Katherine uciekła właśnie tutaj, do Transylwanii, gdzie zamieszkał Władca i gdzie budował swą potęgę, lecz on chyba miał hrabinie za złe, że wcześniej nie wezwała jego pomocy i nie ukorzyła się przed nim. Nie pomógł jej, gdy wreszcie dotarła do spowitych mgłą lasów w górach Transylwanii. Nasza bohaterka była zupełnie sama, nie miał kto nad nią czuwać, gdy musiała odpoczywać, dlatego też prześladowcy dopadli ją w końcu śpiącą i odcięli jej toporem głowę. Podobno z martwych ust wydobył się przerażający krzyk, zaś z szyi bluznęła krew w takiej ilości, że nie byłoby jej tyle w tuzinie bogobojnych kobiet. Bojąc się, że ucięcie głowy nie wystarczy, poćwiartowali ją na części, a potem spalili wszystko w potężnym ognisku, które podtrzymywano przez trzynaście dni i trzynaście nocy, gdyż trzynastka to liczba wiedźm na sabacie, a także liczba uczestników Ostatniej Wieczerzy, spośród których jeden zdradził Chrystusa. W każdym razie gdy już z nią skończono, z pewnością była martwa. Czy jednak naprawdę hrabina za życia żywiła się krwią niewinnych dziewczyc, by dzięki temu oddawać się magii, mającej zapewnić powodzenie szlachetnie urodzonym, a nawet samemu królowi? A może zwyczajnie była bardzo piękną kobietą, która padła ofiarą ludzkiej zawiści i dopiero to pchnęło ją ku niegodnym czynom? Na to pytanie musimy odpowiedzieć sobie sami.

Skinął dłonią słuchaczom, dając znać, że to koniec wykładu i zszedł z katedry. Gdy rozległa się burza oklasków, Bryan przyspieszył kroku. Zamierzał wymknąć się, nim ktoś dopadnie go z pytaniami lub gratulacjami, gdyż zupełnie nie miał na to czasu. Przed wyjazdem do Transylwanii obiecał swemu przyjacielowi, Robertowi Walkerowi, że

wygłosi wykład, lecz musiał dość rozpaczliwie wcisnąć ów wykład pomiędzy znacznie ważniejsze sprawy i teraz zaczynało mu brakować czasu.

Ostatnio sporo podróżował, obserwując przejawy dawnego zła, które znów obudziło się do działania, dlatego liczyła się każda minuta. Zdołał wydostać się na rynek, nie niepokojony przez nikogo, a wtedy mimo swego pośpiechu przystanął na moment, by spojrzeć w niebo. Ujrzał księżyc na nowiu, co chwilę przesłaniany płynącymi chmurami, oraz czerwonawą poświatę, widoczną nawet wtedy, gdy księżyc był schowany, co nie podobało się Bryanowi, który przez większość życia ćwiczył się w rozpoznawaniu niepokojących znaków, dzięki czemu wcześniej dostrzegał symptomy zła. Przyspieszył kroku, kierując się ku hotelowi.

W holu zatrzymał się, niemal gotów przysiąc, że coś... ktoś... tam był. Odwrócił się. Nikogo. To jednak nie miało żadnego znaczenia, gdyż już w Londynie odczytał wystarczająco dużo ostrzegawczych znaków i wiedział, czemu stawia czoła.

- Panie profesorze, pański klucz - odezwał się młody recepcjonista.

- Dziękuję.

Ostatni raz rozejrzał się po całym holu, a potem wbiegł na schody.

Jessica sączyła wino, wpatrując się w ogień na kominku. Taniec płomieni fascynował ją, wznosiły się, opadały, złociste, czerwone, czasami obrzeżone błękitem...

- Zgodzi się z tym pani chyba, panno Frazer? Samo społeczeństwo prokuruje problemy, z którymi potem nie mogą uporać się nasze dzieci. Nowoczesne społeczeństwo ze swoimi bombami i konfliktami.

Spojrzała na krzepkiego niemieckiego profesora, z którym dyskutowała na temat młodzieńczego buntu. Zamrugła powiekami, uświadamiając sobie, że nie ma najlepszego pojęcia, jakie argumenty i na korzyść jakiej tezy przytaczała przez ostatnich kilka minut. Tego przedpołudnia wygłosiła swój odczyt właśnie o młodzieńczych problemach i o pomaganiu młodym ludziom w wejściu na właściwą ścieżkę, a od tej pory ów Niemiec zarzucał ją pytaniami, wyraźnie zaintrygowany jej podejściem.

Musiała iść.

Ale dlaczego? Czemu chciała wyjść sama w noc, skoro nagle zaczęła obawiać się ciemności? Może właśnie dlatego, że stawianie czoła własnym lękom było jednym z jej życiowych haseł. Wpatrywanie się w ogień działało na nią hipnotyzująco, czuła się ukojona, otoczona przez normalność...

- Tak, to z wielu względów bardzo trudny okres. - Wstała, uśmiechając się. - Proszę mi wybaczyć, ale jestem zmęczona po podróży, to jednak jest przesunięcie doby o kilka godzin... Dziękuję za interesującą rozmowę, dobranoc.

Znowu dopadło ją owo przemożne uczucie, by biec, a tak naprawdę uciekać. Gdy opuściła restaurację, spojrzała na zegarek i stwierdziła z niezadowoleniem, że jest później, niż sądziła, więc czym prędzej ruszyła w stronę swego hotelu, lecz mimo pośpiechu zatrzymała się na środku rynku i spojrzała w niebo. Było czerwone.

Usłyszała za plecami jakiś odgłos, więc odwróciła się gwałtownie, ujrzała jedynie parę starszych ludzi, którzy spacerowali, trzymając się za

ręce. Ruszyła przed siebie, lecz czuła na plecach lodowaty oddech, miała wrażenie, że ciemność idzie za nią krok w krok. Odwróciła się ponownie.

Nic. Ani żywej duszy.

Spokojnie, nie dajmy się zwariować. Poszła w stronę oświetlonego hotelu, z całych sił starając się nie biec. Z budynku wyłoniła się jakaś para, rozchichotana kobieta wisiała u ramienia mężczyzny, w którym Jessica rozpoznała sławnego amerykańskiego aktora. Udając, że nie wie, kto zacz, podziękowała za przytrzymanie otwartych drzwi i z ulgą wślizgnęła się do hotelowego holu. Jak jasno! Wszelkie ciemności zostały za drzwiami.

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową. Zdecydowanie za bardzo ulegała swojej wyobraźni. Podeszła do recepcji, gdzie wraz z kluczami otrzymała krótką notkę od studenta, którego spotkała kilka dni wcześniej. Przebiegła ją wzrokiem, zmarszczyła brwi i spojrzała na wyprostowanego, siwiejącego recepcjonistę.

- Gdzie tu jest najbliższy posterunek policji? Znowu to czuła - ciemność zbliżała się, osaczała

ją, wcale nie została za drzwiami. Mroczna, a mimo to... czerwona. Najwyższa pora zacząć działać.

- O mój Boże, to musi być ona! - rzekła Mary. - Ta domina, o której mówili Węgrzy.

Jeremy spojrzał na nowo przybyłą, która z miejsca zrobiła ogromne wrażenie. Czarna skórzana maska zakrywała jej rysy, nie dało się też dostrzec barwy oczu, widać było jedynie kruczoczarne włosy i jasną skórę. Kobieta była ubrana w obcisłe czarne spodnie, nie odsłaniające nawet skrawka brzucha czy bioder, a przecież doskonale ukazujące nienaganną sylwetkę. Jeremy z trudem oderwał wzrok od zgrabnych pośladków i

ujrzał przezroczystą bluzkę. Musiał spojrzeć dwa razy, nim zorientował się, że pod bluzką jest cieleśne body, a nie naga skóra. Brunetka była więc kompletnie ubrana, a mimo to wyglądała tak seksownie, że męskość Jeremy'ego zareagowała natychmiast, co ostatnio mu się nie zdarzało.

W ogóle odkąd zgodził się iść na to przyjęcie, działy się dziwne rzeczy. W środku lasu zabrała ich karoca zaprzężona w kare konie, a wtedy podekscytowanie Mary udzieliło się rudowłosej Nancy, która wyglądała przez okno i mówiła:

- Nie mogę w to uwierzyć!

Powtórzyła to tyle razy, że gdy znaleźli się na miejscu, Mary dała jej kuksańca w bok.

- Przestań. I nie gap się tak, bo zobaczą, że nie pasujemy i wyrzucą nas.

I tak nie pasujemy, pomyślał Jeremy. On sam był ubrany jak normalny turysta, dziewczyny włożyły mini oraz seksowne botki, ale do tego narzuciły na siebie swetry i ciepłe kurteczki, gdyż na zewnątrz było naprawdę zimno. Tymczasem goście na przyjęciu...

Trochę osób nosiło tradycyjne peleryny a la wampir, lecz niedużo. Kilka kobiet pokazywało nagi biust. Jedna ruda koło trzydziestki miała na sobie tylko srebrny pasek oraz kolczyk w pępku. Wspaniale zbudowany czarnoskóry mężczyzna także chodził nago, jedynie powiewający skrawek tkaniny osłaniał jego męskość. Na szczęście na imprezie znajdowało się też całkiem sporo osób we w miarę normalnych ubraniach, nawet jeśli niektórzy sprawili sobie sztuczne kły.

- Gdzie ta dziewczyna, która cię zaprosiła? - spytał Jeremy.

- Nie widzę jej, to w końcu spore miejsce, ale na pewno gdzieś tu jest. - Mary poprowadziła ich w stronę baru, lecz nagle zmaterializowała się przed nimi brunetka w czerni.

- Amerykanie... - rzekła, zaś Jeremy wyczuł niezadowolenie w jej głosie. Aż ciarki go przeszły na widok wyrazu jej oczu, który trwał jednak tylko przez ułamek sekundy, po czym znikł, jakby był zaledwie przywidzeniem. - Amerykanie... Byliście zaproszeni?

Mówiła po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. Z bliska dało się dostrzec, że jej oczy są ciemne, bardzo pięknie wykrojone. Poruszała się z wyjątkową gracją, która rozpaliała zmysły. Jeremy zaczął się zastanawiać, czy w prawdziwym życiu nie pracowała jako modelka. Oszacowawszy wzrokiem Mary i Nancy, kobieta zwróciła się właśnie do niego, a kiedy powoli przeciągnęła palcami po jego ramieniu, przebiegł go dreszcz zarówno podniecenia, jak i lęku. Mimo to dałby głowę, że wcale nie wzbudził jej zainteresowania, udawała tylko. Cóż, jeśli rzeczywiście była ową sławną domina, o której wspominała Mary, całe jej życie polegało na udawaniu.

- Zaprosiła mnie dziewczyna, którą spotkałam na mieście, powiedziała, żebym przyprowadziła przyjaciół - wyjaśniła Mary i przedstawiła ich trójkę.

Brunetka nie powiedziała, kim jest, tylko przyglądała im się w dziwny i dość protekcyjny sposób, jakby przyszło jej wtajemniczać kompletne niewiniątka. Co zresztą było zgodne z prawdą.

- Powiem wam, dzieci, gdzie są pokoje zabaw. Za barem znajdziecie małą salę kinową, w niej pełen wybór filmów pokazujących każdą możliwą konfigurację... Mężczyźni z kobietami, kobiety z kobietami,

mężczyźni z mężczyznami, czego tylko dusza zapragnie. Dalej są kamienne schody na piętro, tamtędy idzie się do pokoi rozkoszy. A jeszcze dalej jest moje królestwo. Moje lochy. Przyjdźcie tam do mnie, jeśli się odważycie. - Uśmiechnęła się do Mary i Nancy. - Byłyście niegrzeczne? - zagadnęła niskim, zmysłowym, prowokacyjnym tonem. - Czujecie potrzebę oczyszczenia się dzięki wyznaniom? Możemy to zaaranżować... Ale najpierw musicie się napić, dziś w nocy polecam Krwawą Mary. Na mój koszt. - Zaśmiała się gardłowo. - Potem pomyślimy, w jaki sposób moglibyście się odwdzięczyć. Na razie siedźcie przy barze i obserwujcie. - Przyglądała im się bardzo uważnie przez moment. - To ja wam powiem, kiedy macie iść dalej, rozumiano?

- Zrozumiano - rzekł posłusznie Jeremy, coraz bardziej zaniepokojony całą sytuacją.

Nachyliła się ku nim.

- I w każdej chwili macie pamiętać, którądy do wyjścia.

- Pamiętać, którądy do wyjścia - powtórzyła Nancy niczym zahipnotyzowana.

Jeremy zastanowił się, czy on również odpowiedział dominie tak, jakby rzuciła na niego czar.

Ich odpowiedzi chyba zadowolily kobietę, gdyż uśmiechnęła się. Zaprowadziła ich do baru i odezwała się do wysokiego, ciemnookiego barmana:

- Drinki dla moich amerykańskich przyjaciół. W tej chwili.

Skinął głową i natychmiast wypełnił polecenie. Siedząc przy barze, Jeremy rozejrzał się i pomyślał, że gdyby nie ubrania, czy też ich brak w przypadku paru osób, mogliby znajdować się w normalnym lokalu. Jacyś

dwaj mężczyźni obok nich rozmawiali o czymś po francusku, z drugiej strony porządnie wyglądający Niemiec próbował poderwać ładną blondynkę.

- W ten sposób niczego się nie nauczymy - stwierdziła wkrótce Nancy. - Powinniśmy rozejrzeć się dookoła.

- Ta kobieta kazała nam czekać tutaj - przypomniał Jeremy.

- Ale mówiła też, że mamy obserwować - odparowała Nancy. - A zobaczymy więcej, jeśli obejdziemy całą tę imprezę.

- Mieliśmy siedzieć przy barze. I pamiętać, którądy do wyjścia. Mary zachichotała.

- Może boją się nalotu policji.

Jeremy czuł, że kobieta obawiała się czegoś znacznie poważniejszego, lecz nie miał jak tego udowodnić.

- Słuchaj, ona sobie poszła i pewnie już o nas nie pamięta - przekonywała Nancy. - Mamy tkwić przy barze całą noc? Bez sensu.

- Musimy się rozdzielić, bo nikt do nas nie podejdzie, gdy będziemy się trzymać razem jak trzej muszkietierowie - poparła ją Mary.

- Nie, nie powinniśmy się rozdzielać - zaproponował zaniepokojony Jeremy.

- Bez nas będziesz miał większe szanse. - Mary zaśmiała się. - Chyba wpadłeś w oko naszej gospodyni.

Z kolei Jeremy mógłby przysiąc, że kobieta oceniła go w jednej chwili i pozostała kompletnie niewzruszona, gdyż uznała go za zbyt młodego i niedoświadczonego. Rozejrzał się, szukając wzrokiem brunetki w masce i czarnej skórze. Swobodnie kręciła się po sali, zagadywała

barmana, witała nowych gości, a mimo to cały czas zdawała się czekać w napięciu... Właśnie, na co?

- Nie wiem, jak wy, ale ja idę zobaczyć pokoje rozkoszy -
oświadczyła rezolutnie Mary.

- A ja filmy - zdecydowała Nancy.

- Hej, pierwsze słyszę, że wy dwie chcecie się rozdzielić. Jak mam was w takim razie pilnować?

Ale one nie słuchały go, już zeskoczyły ze stołków i oddaliły się. Coraz bardziej przerażony rozwojem sytuacji, rozejrzał się, szukając wzrokiem dominy, jakby miał w niej sprzymierzeńca, lecz ona właśnie rozmawiała z jakimś mężczyzną. Jeremy poszedł więc szukać dziewczyn, znalazł Nancy w niewielkiej sali kinowej, gdzie nad miękkimi kanapami unosił się dym papierosów i trawki. Na ekranie leciał film pornograficzny, dwie kobiety uwodziły jednego mężczyznę oraz siebie nawzajem, jedna w końcu położyła drugą na plecach, przytrzymała. Mężczyzna obnażył zęby i ugryzł leżącą w szyję. Ugryziona aż zaczęła dygotać w ekstazie.

Chociaż na ekranie kłębiły się nagie ciała, Jeremy przyglądał się temu wszystkiemu bez śladu podniecenia, gdyż był zbyt spięty, by odczuwać cokolwiek innego. Jakaś dziewczyna podeszła do stojącej z tyłu sali Nancy, wzięła ją za rękę i zaprowadziła na jedną z kanap.

Jeremy nie wiedział, czy koleżanka Mary, również studentka dziennikarstwa, także szuka materiału do artykułu, czy może pod pozorem zbierania informacji ma ochotę się niegrzecznie zabawić, lecz uznał, że w razie czego Nancy zdoła się obronić, gdyż jej towarzyszką była drobna i wiotka. Wycofał się z sali, znalazł schody, wbiegł na nie i stanął na wprost korytarza jak z horroru.

Ciągnął się w nieskończoność, po jednej i drugiej stronie były zamknięte drzwi, niezliczona, obłąkana ilość drzwi. Oczywiście to był normalny korytarz, tylko wyobraźnia Jeremy'ego nadawała mu jakieś przerażające rozmiary. Spokojnie, musi po prostu rozejrzeć się i znaleźć Mary. Tylko za którymi z drzwi mogła zniknąć?

Na korytarzu nie było nikogo. Gdy Jeremy tak stał i patrzył, zastanawiając się, co dalej, ujrzał cień. Nie, nie tyle ujrzał cień, co wyczuł narastającą ciemność, dodatkowo tłumiącą już i tak mdłe światło świec osadzonych parami w kinkietach na ścianach.

Miał ochotę odwrócić się, wybiec na zewnątrz i uciec jak najdalej, chociaż nie miał pojęcia, dokąd ostatecznie by trafił, gdyż nie wiedział, gdzie się znajduje. Karoca wiozła ich przez spowity mgłą las, zaś miejsce przeznaczenia wyglądało jak ruina stojąca na skraju urwiska nad przepaścią. Wolałby jednak uciec i zgubić się w zamglonym lesie, niż zostać w tym budynku choćby chwilę dłużej, lecz nie mógł zostawić Mary i Nancy na pastwę...

- Niebezpieczeństwa - wyszeptał.

Czuł z całą pewnością, że niczego sobie nie wymyślił, że wyobraźnia nie ma z tym nic wspólnego. Groziło im realne niebezpieczeństwo, ciemność gęstniała, coraz bardziej dotykalna, emanowała z niej czyjaś zła wola. Instynkt podpowiadał to Jeremy'emu bardzo wyraźnie, lecz rozum jeszcze próbował się bronić, twierdząc, że to tylko złudzenie optyczne, wpływ słabego światła świec.

- Gdzie są ci wszyscy psychologowie, kiedy człowiek naprawdę ich potrzebuje? - spytał Jeremy, próbując zakpić z samego siebie.

Naraz ogarnęło go pragnienie, by się odwrócić, gdyż dałby głowę, że coś, ktoś idzie za nim, śledzi go, tropi, zabawia się nim. Jeremy czuł się jak gazela na sawannie, gdy uświadamia sobie, że za nią bezszelestnie skrada się lwica...

Odwrócił się. Nikogo.

Widać uległ mitowi Transylwanii, tu pewnie każdy spodziewał się nie wiadomo czego, stąd zresztą ten nieszczęsny bal wampirów, na którym zjawilo się kilku pomyleńców. Ale niektórzy z nich mogli okazać się prawdziwymi świrami, a tacy bywali groźni, więc może stąd to poczucie zagrożenia? Nie, chodziło o coś innego, Jeremy odniósł wrażenie, że ma do czynienia z czymś nieludzkim.

Odwrócił się i ponownie spojrzął na ciągnące się w nieskończoność szeregi drzwi. To coś tam było. Zło. I śmiało się z niego. Wiedziało, że się bał, a jego strach sprawiał mu przewrotną przyjemność...

Dość tego, musieli uciekać z tego miejsca.

- Mary?! - krzyknął, nie przejmując się już, co sobie ktoś może o nim pomyśleć, ani co powiedzą dziewczyny, pragnące osiągnąć sukces jako dziennikarki. - Mary?! - krzyknął ponownie i otworzył pierwsze drzwi.

To wszystko było aż nazbyt fascynujące, Mary czuła, że musi mieć oczy okrągłe jak spodki. Na co dzień starała się sprawiać wrażenie osoby bardzo swobodnej i światowej, lecz tutaj była niewinną owieczką w środku wielkiego lasu. Ale właśnie z tego mógł wyniknąć fantastyczny artykuł, gdyż ludzie najbardziej ze wszystkiego lubili czytać

o przemocy i seksie, uwielbiali, gdy ich szokowano, zaś Mary w tym miejscu miała wszystkie ekscytujące tematy podane jak na tacy.

Uwodzenie, maski, zabawy w wampiry, a więc w dominację i uleganie dominacji, perwersyjny seks...

Najpierw natknęła się na trójkąt, którego członkowie na początku nawet jej nie zauważyli, gdyż tak byli zajęci sobą, a potem zmysłowy głos zaproponował, by się przyłączyła. Spłonęła szkarłatnym rumieńcem, wymówiła się i poszła dalej. Za drugimi drzwiami natknęła się na pokój urządzone jak loch, na ścianach wisiały kajdany, na stole czekały gotowe do użycia pejczy. Starła się przyjrzeć temu wszystkiemu chłodnym dziennikarskim okiem, ale zrobiło jej się trochę nieprzyjemnie, więc wymknęła się z powrotem na korytarz.

Scena w trzecim pokoju rozbawiła ją, gdyż znajdował się tam wysoki, bardzo muskularny mężczyzna w różowym damskim negliżu, podwiązkach i pantoflach na wysokim obcasie. Podziwiał swoje odbicie w lustrze, zaś Mary z trudem stłumiła śmiech, przeprosiła i wyszła.

Dopiero gdy otworzyła drzwi czwartego pokoju, poczuła lęk. Właściwie nie było powodu do strachu, pokój był zupełnie pusty i ciemny. I tylko w jego głębi płonęła para oczu o barwie ognia. Mary potrzebowała chwili, by jej wzrok przywykł do ciemności, a wtedy ujrzała samotnie siedzącego mężczyznę. Cofnęła się, lecz gdy zamykała za sobą drzwi, wydało jej się, że zrobiło się ciemniej, jakby na korytarzu pojawił się cień... Nonsens, widocznie świece powoli zaczynały się wypalać.

Zrobiło jej się jakoś zimno i nieswojo, zapragnęła nagle spotkać jakiegoś człowieka, niechby to był i zachwycony sobą atleta w podwiązkach, niechby to byli rozwiązli ludzie, oddający się orgii... Ktokolwiek. Pchnęła piętę drzwi. Łagodne światło, miła muzyka, wygodne fotele, na jednej ścianie jakby ogromny ekran. Weszła do środka.

- Halo, jest tu ktoś?

Odpowiedziało jej milczenie. Nagle zrobiło jej się jakoś dziwnie słabo, musiała zamknąć oczy, przez chwilę obawiała się, że zemdleje. Czyżby ta Krwawa Mary była aż tak mocna? Opanowała się jakoś, zmusiła się do otwarcia oczu, ale miała wrażenie, że otoczenie jest inne, jakby przekrzywione. Ogarnął ją lęk. Uciekaj! Uciekaj!

Jednak coś kazało jej usiąść, a wtedy ekran ożył, Mary ujrzała piękną kobietę w wiktoriańskim pokoju, czeszącą długie jasne włosy przy toalecie. Okno było otwarte, firanki powiewały na wietrze, który rozwiewał również włosy kobiety. Za oknem zaczęła gęstnieć ciemność, zaś przerażona Mary czuła, że druga ciemność gęstnieje za nią samą, czuła ją, czuła jej lodowate tchnienie, skradające się wzdłuż kręgosłupa.

Chciała uciec, ale nie mogła. Tłumaczyła sobie, że za nią nic nie ma, lecz słyszała coś jak zimny szept, czarny i czerwony... Bzdura, odgłos nie może mieć koloru. Ale ten miał. Był czarny jak otchłań, i zabarwiony szkarłatem. Jak krew. Wyjdź stąd i uciekaj, przykazała sobie, a jednak nie zdołała się ruszyć.

Cień na ekranie gęstniał coraz bardziej, wpłynął do pokoju, zaczął się materializować. Zszokowana Mary zdała sobie nagle sprawę z tego, że to nie ekran i nie film, tylko weneckie lustro, przez które ona ogląda coś, co dzieje się w sąsiednim pokoju.

To musiał być jakiś trik, gdyż ciemność materializowała się coraz bardziej, przyjmując postać mężczyzny, wyglądającego jak wcielenie zła z transylwańskich legend o wampirach. Widać obsługa tego prywatnego klubu na użytek gości robiła podobne sztuczki za pomocą dymu i luster, to przecież nie działało się naprawdę.

Mary postanowiła nie patrzeć dalej, lecz nie mogła oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nią sceny, nie mogła się też poruszyć, jej ciało stało się dziwnie ciężkie. Do tego przenikał ją ziąb, gdyż owo lodowate tchnienie najpierw zmroziło jej kark, potem przesunęło się wzdłuż kręgosłupa i wniknęło w jej członki, aż stała się zimna niczym rzeźba z lodu. Zmrożona do szpiku kości, unieruchomiona, wpatrywała się w weneckie lustro, za którym cień czy też dym do końca przedzierzgnął się w wysokiego ciemnowłosego mężczyznę o płonących oczach, zniewalających gestach, uwodzicielskim sposobie poruszania się. Powoli krok za krokiem zbliżał się do pięknej blondynki, a każdy jego ruch wydawał się przesycony... głodem.

Ciemność za plecami Mary gęstniała coraz bardziej, lodowaty i śmierzący oddech znajdował się już prawie tuż za nią. Nagle przestała myśleć o scenie rozgrywającej się w sąsiednim pokoju, gdyż pomyślała o samej sobie. Nadal nie miała siły wstać, lecz mogła poruszyć oczami, zmarszczyć brwi... Blondynka w sąsiednim pokoju zrobiła to samo, zaś Mary nagle uświadomiła sobie, że patrzy w zwykłe lustro, a nie w weneckie! Mimo niezgodności pewnych szczegółów, to ona w jakiś sposób była ową blondynką przy toalecie. I to za nią znajdował się mężczyzna w czerni, z płonącymi, demonicznymi oczami, grobowym oddechem, zimnym jak sama śmierć...

Naraz usłyszała głos - normalny ludzki głos, wołający ją po imieniu - a wtedy paraliżujące zimno ustąpiło, odzyskała władzę nad własnym ciałem, więc gdy cień-mężczyzna zbliżył się, w uśmiechu odsłaniając lśniące kły, zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

- Nie masz dla mnie czasu dziś w nocy? - powtórzył z zawodem Australijczyk. - W porządku, mogę to zaakceptować, ale powiedz mi w takim razie, kiedy się zobaczymy. Jestem bogaty, zapłacę ci, ile tylko zechcesz. Kiedy mogę wynająć twoje usługi? Przyjadę w dowolnej chwili.

Domina słuchała go z roztargnieniem, wściekła, gdyż przez niego przeoczyła zniknięcie trójki młodych Amerykanów. Odwrócił jej uwagę, niech go licho.

- Przykro mi, ale nigdy nie wiem, jak długo będę prowadzić klub w danym miejscu, nie planuję niczego z wyprzedzeniem.

Australijczyk nie zamierzał ustąpić. Był wysoki, przystojny, bogaty, przebierał w kobietach jak w ulęgałkach, znudziły mu się zwykłe przyjemności, więc zapragnął zabawy z pieprzykiem i dreszczykiem, dlatego nie zamierzał przepuścić tak wspaniałej okazji.

Nie wiedział, jak wiele ma szczęścia, że domina nie zamierzała się z nim zabawiać i demonstrować mu swoich możliwości.

- Ale... - zaczął.

- Wybacz, proszę, jestem teraz umówiona - odparła i pospieszyła ku schodom, gdyż dobiegł ją ledwie słyszalny krzyk.

- Zaczekaj! - zawołał mężczyzna, pobiegł za nią, złapał.

Domina nie miała czasu bawić się w uprzejmości.

- Powiedziałam, że muszę iść.

Pchnęła go mocno, aż upadł, ale nie przestał się przy tym uśmiechać. Cóż, najwyraźniej jednak zdołała mu zrobić przyjemność tej nocy.

Odwróciła się i wbiegła na schody.

Nancy zaczęło się robić nieswojo.

Co innego trochę poudawać wyzwoloną seksualnie, a co innego czuć się złapaną w pułapkę. Usiadła na sofie z tyłu sali kinowej razem z delikatną, kruchą blondynką w swoim wieku, która wzięła ją za rękę i już nie puszczała, przy czym ta szczupłutka dłoń wydawała się silna jak ze stali. Najpierw rozmawiały niezobowiązująco o zwiedzaniu i podziwianiu krajobrazów, o tym, że Amerykanie podróżują najchętniej ze wszystkich narodowości, ponieważ uwielbiają znane miejsca, zwłaszcza te słynne dzięki legendom, na przykład do Transylwanii ściągają ich opowieści o wampirach.

Dziewczyna opowiadała Nancy, że przez lata mieszkała w Amsterdamie, kilka razy odwiedziła Stany, że kocha pewną wioskę na Ukrainie... Nie zdradziła jednak swojego imienia. Rozmawiały szeptem, na ekranie przez cały czas leciał film pornograficzny, a Nancy czuła, że ta druga porcja Krwawej Mary dziwnie mocno na nią podziałała, gdyż zrobiła się nagle bardzo ociężała, prawie nie mogła ruszyć palcem.

Tamta wciąż trzymała ją za rękę, drugą dłonią gładziła po włosach, nie było w tym nic zdrożnego, więc Nancy była jeszcze w stanie zastanawiać się nad tym, w jaki sposób wyciągnąć od swojej towarzyszki interesujące ją informacje, które potem można by spisać. Gdyby ta dziewczyna zechciała opowiedzieć jej, co się dzieje na takich przyjęciach, czy są za darmo rozprowadzane narkotyki... Jak dotąd nic nie zaproponowano, lecz z drugiej strony to, co działo się z nią po tym drugim drinku, było trochę niepokojące.

Pieszczoty dziewczyny stawały się coraz śmielsze i bardziej intymne, jej dłoń błędziła po kolanie Nancy, potem wślizgnęła się pod spódniczkę, zaś Nancy nie znalazła w sobie sił, by zaprotestować.

Powieki same jej opadły, poczuła na szyi ciepły oddech tamtej, lecz gdy zdołała otworzyć oczy, dziewczyna nie znajdowała się wcale aż tak blisko, jak Nancy się przez chwilę zdawało. A jednak wystarczająco blisko, by Nancy czuła się nieswojo.

- Ja... ja jestem hetero - wyszeptała. Usłyszała cichy śmiech.

- A czy koniecznie trzeba być homo, żeby trochę poeksperymentować?

- To nie... Ja nie... - Mówienie przychodziło Nancy z ogromnym trudem. - Muszę iść.

- Zostań jeszcze. Mogę ci zaofiarować doznania, których nie zapomnisz aż do śmierci. Przyjemność tak niezrównaną...

- Muszę iść.

- Dobrze więc. Idź.

Naraz Nancy uświadomiła sobie, że tamta wcale już jej nie dotyka, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by wstać i wyjść.

Tylko że...

Tylko że zrobiła się ciężka jak z ołowiu, powietrze na sali też stało się ciężkie, duszące, nad kanapami zawisła gęstniejąca ciemność niczym przytłaczająca chmura. Nancy czuła leciutki dotyk palców na swojej szyi i na włosach, a te pieszczoty były tak uwodzicielskie, że nie potrafiła im się oprzeć.

Koniecznie musiała wstać i wyjść. Biec. Uciekać.

- Patrz na ekran. Zobaczysz mojego przyjaciela.

Wzrok Nancy posłusznie pobiegł w stronę ekranu. Porno już się skończyło, teraz wyświetlano coś znacznie mniej dosłownego, za to zdecydowanie bardziej zmysłowego, jakiś artystyczny, piękny, lecz przy

tym dziwnie niepokojący film. Na ekranie poruszała się kobieta, każdy ruch był płynny, nieskończenie elegancki, fala jasnych włosów oraz przejrzysty materiał powiewnej sukni również zdawały się płynąć i falować w kuszący, sugestywny sposób.

Nancy usłyszała szept, chociaż jej towarzyszka nic nie mówiła, tylko wpatrywała się w ekran. A jednak dało się rozróżnić słowa:

- Chodź, moja słodka... Nadstaw szyję... Daj mi posmakować życia, które płynie w twoich żyłach...

Dziewczyna zamruczała błogo, więc Nancy zerknęła na nią i ujrzała, jak tamta przygląda jej się z leniwą przyjemnością. Przypominała kota, który złapał kanarka i teraz leży sobie, trzymając go w łapach i nie spieszy się z rozpoczęciem uczyty.

- A teraz patrz.

Nancy znowu spojrzała na ekran, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Serce biło jej mocno i głośno, tamta niechybnie musiała to słyszeć.

- Tam w rogu.

Rzeczywiście w prawym górnym rogu formował się jakiś cień, jednocześnie czarny i czerwony, coraz ciemniejszy, coraz bardziej namacalny, aż stał się... człowiekiem, wysokim mężczyzną, którego rysy twarzy zasłaniało rondo czarnego kapelusza. Powoli podszedł do pięknej kobiety, ta w ostatniej chwili odwróciła się.

Nancy wydała zdławiony okrzyk, rozpoznawszy Mary. Chciała zaprotestować, lecz nie zdołała. Na ekranie Mary krzyknęła przeraźliwie, zaraz potem drzwi otworzyły się, do pokoju wpadł Jeremy, mężczyzna podniósł wzrok, z całej jego ocienionej widać było jedynie płonące oczy oraz lśniące w otwartych ustach kły. Nie przejął się Jeremym, gdyż ruszył

w jego kierunku, śmiejąc się szyderczo. - Śśświetnie! - zasyczała dziewczyna. Nancy spojrzała na nią i oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy. Tamta zmieniła się w dojrzałą kobietę, znacznie urosła, w jej oczach palił się ogień, a zęby wydłużyły się w kły. Przerażona i półprzytomna Nancy pomyślała, że jest pijana i zwyczajnie ma zwiidy. Lepiej zrobi, sprawdzając, co z przyjaciółmi, więc oderwała wzrok od halucynacji i popatrzyła na ekran.

Jeremy skoczył ku mężczyźnie, a ten, nie przestając się śmiać, zamachnął się, uderzył go pięścią w twarz. Chłopak przeleciał przez pokój i uderzył głową i plecami o framugę drzwi. Czy to też była halucynacja? Nancy z powrotem przeniosła spojrzenie na kobietę, ujrzała, jak z kłów tamtej ścieka ślina i nagle stało się jasne, że to żadne zwiidy, nie można jednak już było nic zrobić, ani uciec, ani nawet krzyczeć z przerażenia, tamta sparaliżowała ofiarę niczym ogromny pająk. Nancy mogła więc tylko lamentować w duchu, oplakując samą siebie i czekającą ją los.

Nagle od strony ekranu rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, jakby ktoś wpadł do pokoju Mary, rozbijając okno, a ten odgłos wszystko zmienił. Może nie sam odgłos nawet, co przybycie czegoś lub kogoś, co wywołało ów hałas. Nancy poczuła, jak coś w jej duszy poruszyło się, budząc ją z letargu, więc czym prędzej spojrzała na ekran i zobaczyła, że w tamtym pokoju jest ktoś jeszcze, ktoś barczysty i wysoki, ktoś o bardzo silnej osobowości, wyjątkowej nawet, gdyż było w nim coś, co...

...co dawało człowiekowi nadzieję. Sama obecność tego kogoś zdawała się wyrównywać siły, może nawet - kto wie? - przechylać je na stronę potencjalnych ofiar.

Mężczyzna był ubrany w staroświecki sposób, nosił kapelusz z szerokim rondem i długi do ziemi skórzany płaszcz podróżny, w ręku zaś trzymał coś, co wyglądało na kuszę. Wpadł do pokoju niczym błyskawica, jeszcze w locie naciągnął kuszę, a gdy zwinnie opadł na nogi, przez chwilę stał nieruchomo, stwarzając wrażenie bastionu normalności w morzu złudzeń, kłamstw i obłędu, które królowały tej nocy w ruinach nad urwiskiem.

- Nie! - wyszeptała kobieta u boku Nancy. - Nie! - W jej głosie dało się słyszeć nie tylko protest, ale i strach.

Tak, wszystko się zmieniło, pomyślała Nancy. Mężczyzna nie tylko rozbił okno, on przede wszystkim zerwał pętający ich czar, rozproszył paraliżujące wyziewy zła.

Tak, mieli do czynienia z prawdziwym złem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Domina dopadła drzwi pokoju, wiedząc, że nie jest przygotowana na to, w co jak dotąd nie chciała uwierzyć. Serce biło jej mocno, gdy gwałtownie otworzyła drzwi, bojąc się, że jej podejrzenia okażą się prawdą.

On rzeczywiście tam był.

Ale znajdował się tam jeszcze ktoś, ktoś, kogo nie znała, jednak od pierwszej chwili wyczuła jego moc. Ujrzała mężczyznę, a choć nie dostrzegła jego twarzy, osłoniętej szerokim rondem kapelusza, widziała, jak trzymał kuszę, jak mierzył do przeciwnika.

Kto? Skąd? Dlaczego?

Usłyszała przeraźliwe krzyki dobiegające z dołu, jakby rozpętało się tam prawdziwe piekło i zawahała się. Co teraz? Zostać tu? Biec tam? Powinna była zapewnić sobie pomoc, nie powinna nigdy działać sama, lecz akurat w tym przypadku była zdana tylko na siebie. Co robić?

Cokolwiek działo się w tym pokoju, znajdował się tu ktoś, zdolny stawić czoła złu, podczas gdy na dole...

Odwróciła się i pobięła korytarzem.

Nancy uświadomiła sobie, że odzyskała panowanie nad swoim ciałem, jakby ów odgłos tłuczonego szkła wyzwolił ją. Zerwała się na równe nogi i zaczęła krzyczeć z całych sił. Na ekranie śmignęła strzała, ugodziła w ramię owego potwora z kłami, ten zasyczał wściekle, a potem zaryczał z furją. Niczym echo rozległ się podobny ryk u boku Nancy, szponiasta łapa wbiła jej się w ramię, gdy kobieta, która wcześniej

próbowała ją uwieść, rzuciła się na nią. Zresztą coraz mniej przypominała kobietę, z każdą chwilą stawała się bardziej nieludzka.

Podobne istoty atakowały innych widzów, którzy jak Nancy bronili się rozpaczliwie, tak samo wyzwoleni spod wpływu paraliżującego czaru. Coś wleciało do sali niczym błyskawica, coś oderwało od Nancy napastniczkę.

- Uciekaj! - zażądał ostry głos, nie wiadomo, męski czy kobiecy.

Nancy runęła ku wyjściu, chwilę potem dogoniła ją zapłakana Mary, cały czas ubrana w ową powiewną, cieniuteńką szatę. Nancy obawiała się, że przyjaciółka zamarznie na zewnątrz, ale nie miały czasu szukać swoich okryć. Przerazone, przemknęły przez główną salę, na ich oczach jakiś człowiek został rzucony w poprzek sali, uderzył z całą siłą o bar, usłyszały trzask łamiących się kości. Kiedy wypadły na zewnątrz, Mary stanęła jak wryta tuż za progiem.

- Jeremy został w środku!

Odwróciła się, lecz Nancy złapała ją za ramiona.

- Nie możesz tam wrócić.

- On próbował mnie uratować - wyjąkała Mary, zęby jej szczykały ze strachu i z zimna.

Ktoś wypadł za nimi, dosłownie zepchnął je z drogi, a potem stanął i gorączkowo rozejrzał się dookoła. Kiedy się odwrócił, ujrzały owego Niemca, który przy barze podrywał jakąś ładną blondynkę. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Trzeba stąd uciekać! - krzyknął po angielsku, obrócił się na pięcie, przebiegł kilka kroków, zatrzymał się, zerwał z siebie marynarkę i rzucił ją

w stronę tulących się do siebie przyjaciółek. Nancy czym prędzej okryła nią nagie ramiona Mary. - Uciekajcie! - ponaglił.

- Dokąd? - jęknęła Nancy.

Ale on nie słuchał, już biegł na oślep do lasu, podobnie zresztą czynili inni, którzy również wypadali na zewnątrz z obłędem w oczach.

- Nie możemy tu zostać - zakomenderowała Nancy i pociągnęła przyjaciółkę w stronę drzew, między którymi wisiała gęsta mgła.

- Jeremy - wyszeptała Mary.

Mocno pobladła, szczekała zębami, stała niczym skamieniała, wyraźnie była w szoku. Nancy równie dobrze mogłaby ciągnąć głaz. Dobiegł je jakiś nowy odgłos, lecz żadna nie zwróciła na niego uwagi.

- Chodź, no proszę cię, chodź - błagała Nancy, a Mary wreszcie otrząsnęła się na tyle, że dała się zaprowadzić w stronę lasu.

Jeremy'emu wróciła przytomność, lecz z nią pojawił się rozsadzający ból głowy. Gdzieś obok toczyła się jakaś walka, Jeremy jednak nawet nie mógł otworzyć oczu, by sprawdzić, co się dzieje, słyszał tylko odgłosy jakiegoś zdeteminowanego zmagania. Kiedy coś upadło obok niego, zmusił się do otwarcia oczu i ujrzał dwóch ludzi rzucających się na siebie.

Trzymaj oczy otwarte. Ignoruj ból. Pozbieraj się. Wstawaj.

Przytrzymując się ściany, jakoś zdołał się podnieść. Gdy wreszcie się wyprostował, zrobiło mu się ciemno przed oczami, ogarnęły go mdłości, dlatego przez dłuższą chwilę nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Rozległ się łoskot, potem nagle zapadła cisza.

Jeremy odwrócił się, wiedząc, że powinien czym prędzej uciekać, lecz potknął się i zachwiał. Ktoś szedł w jego kierunku. Jeremy krzyknął i

podniósł ręce w geście poddania, gdyż w tym momencie kompletnie nie był zdolny, by się bić, ledwie stał na nogach.

Stój dalej, zakomenderował umysł, lecz ciało poddało się i kolana ugięły się pod Jeremym.

Nancy szczęśliwie natrafiła na ścieżkę w lesie, a potem znalazła kepe drzew, która przynajmniej trochę zasłaniała je przed podmuchami zimnego wiatru i tam posadziła Mary, która nie mogła już iść dalej, gdyż poobijała sobie i poraniła bosc stopy, praktycznie należałoby ją nieść. Dopiero gdy usiadły, do Nancy dotarło, co to za odgłos dobiega ją z dali od jakiegoś czasu. Policyjne syreny, dzięki Ci, Boże! Nawet w tych spowitych mgłą lasach ludzie mogli liczyć na pomoc. Policja znajdzie Jeremy'ego, będą uratowani.

- Proszę pani?

Zamarła ze strachu, gdyż głos dobiegł z za jej pleców. Nie mogła się odwrócić, chociaż w tym głębokim męskim głosie nie było nic przerażającego. Mimo to...

- Proszę zaopiekować się przyjacielem. Policja już jedzie.

Przyjacielem? Zaskoczona Nancy odwróciła się, lecz nie dostrzegła nikogo. Chwileczkę, przecież na ziemi ktoś leżał... Jeremy! Wyglądał jak martwy. Oniemiała, a kiedy tak stała i wpatrywała się w leżącego, ten poruszył się i jęknął. Podbiegła, upadła na kolana, ostrożnie położyła jego głowę na swoich udach, by było mu trochę wygodniej.

- Jeremy, żyjesz! Odezwij się do mnie! Jesteś ranny? Trzymaj się, zaraz tu będzie policja.

Zamrugnął powiekami, otworzył oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz Nancy, jakby jej nie poznawał. Wreszcie oprzytomniał i usiadł z trudem.

- Jak ja się tu dostałem? - wymamrotał na poły do siebie, a potem chwycił Nancy za ramiona. - Mary! Gdzie jest Mary?

Wskazała. Przyjaciółka siedziała oparta plecami o drzewo, patrząc prosto przed siebie szeroko otwartymi oczami, które wydawały się zupełnie puste. Jeremy spojrzął na Nancy, z wdzięcznością dotknął jej policzka, jakoś zdołał się podnieść, przeszedł parę kroków, upadł, doczołgał się do Mary, lecz ta ani na niego nie spojrzała, ani nie zareagowała, gdy wymówił jej imię.

- Och, Mary! - Wziął ją w objęcia i przytulił do siebie, lecz pozostała całkowicie bierna, jakby nic z zewnętrznego świata nie mogło się do niej przedrzeć, więc Jeremy z powrotem oparł ją o drzewo i spojrzął na Nancy. - Pomóż mi wstać. Pójdę poszukać policji, przyprowadzę ich tutaj. Ty zostań z Mary i pilnuj jej.

Kiedy pomogła mu wstać, zachwiał się, a spomiędzy włosów wypłynęła mu strużka krwi. Nancy już miała coś powiedzieć, ale powstrzymała się, gdyż miał rację, musiała znaleźć ich policja, i to jak najszybciej, z Mary działo się coś naprawdę niedobrego.

Minutę po tym, jak Jeremy znikł między drzewami, w lesie zaczęły świecić reflektory, rozległy się nawoływania, policjanci szukali ludzi, którzy wybiegli na zewnątrz i błakali się po lesie, przerażeni, zagubieni, niektórzy nawet ranni.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, Mary - wyszeptała i uścisnęła przyjaciółkę.

Zastanawiała się, czy nie powinna jej podnieść i zaprowadzić z powrotem, ale ujrzała, że wraca Jeremy, prowadząc pomoc i wtedy rozplakała się z ulgi. A gdy tak szlochała, poniosła oczy ku niebu, które nie było czarne, lecz czerwonawe, jakby na-biegłe krwią...

Jeremy nie trafił na posterunek wraz z innymi osobami, znalezionymi przez policję w lesie, gdyż odwieziono go prosto do szpitala z powodu rany głowy. Nie uchroniło go to jednak przed policyjnym przesłuchaniem.

Detektyw Florencu siedział na krześle przy łóżku rannego, ze zmarszczonymi brwiami słuchając szczegółowej relacji Jeremy'ego, a kiedy zapadła cisza, pokręcił głową. Stojący za nim inny policjant odchrząknął wymownie, Florencu spojrział na niego i nie mniej wymownie westchnął.

- Masowa histeria - podsumował po angielsku.

- Nie jestem histerykiem - zaprotestował dobitnie Jeremy i skrzywił się, gdyż kiedy tylko zaczynał głośniejsz mówić, natychmiast powracał bardzo silny ból głowy.

Florencu westchnął ponownie.

- Przeszukaliśmy całe to miejsce i okolice, nie znaleźliśmy żadnego śladu wampirów, a wie pan, czemu? Ponieważ wampiry nie istnieją. Za to przestępstwa i zbrodnie są jak najbardziej realne, zaś do nas ze względu na licznych turystów chętnie ściągają różne nieciekawe osoby. Zdołamy ich dopaść, jeśli ofiary będą z nami współpracować. Między innymi również pan.

- Opowiedziałem już panom, co widziałem.

- Niech pan postara się przypomnieć sobie wszystko, każdy szczegół. Jutro przejrzy pan naszą kartotekę ze zdjęciami, może pan kogoś rozpozna.

- Lepiej będzie poprosić o to Mary.

- Pańska przyjaciółka na razie nic nam nie powie, obawiam się. Cały czas jest w ciężkim szoku, leży na łóżku szpitalnym i patrzy przed siebie.

Jeremy uniósł się na łokciach.

- Wyjdzie z tego. Musi! Florencu lekko wzruszył ramionami.

- Kiedy jej stan będzie bardziej stabilny, dopilnujemy, by bezpiecznie wróciła do Stanów.

- A co z Nancy?

- Czeka na korytarzu, może pan teraz z nią porozmawiać. - Florencu podniósł się. - Zgodnie z jej zeznaniami, ktoś wyniósł pana do lasu. Kto?

- Nie wiem, straciłem przytomność.

- A nie podejrzewa pan, kto mógłby to być?

- Nie. - Jeremy potrząsnął głową i skrzywił się, ale tym razem nie z powodu bólu, lecz dlatego, że skłamał. Oczywiście, że wiedział. - Człowiek, który walczył z wampirem.

- Wampiry nie istnieją - przypomniał mu policjant. - Moi ludzie znaleźli na miejscu ogromną ilość alkoholu i narkotyków, to są prawdziwe demony.

- Ale tam był wampir - powtórzył z uporem Jeremy.

W odpowiedzi usłyszał znużone westchnienie.

- Jesteśmy w Transylwanii, tu prawie każdy chce być wampirem albo go spotkać.

- Ja nie kłamię.

- Nie, nie kłamię pan, pan po prostu uległ złudzeniu. Ale ponieważ stara się pan zeznawać szczerze, niech mi pan opowie o tym człowieku.

- Powstrzymał wampira. Pokonał go.

- Za pomocą osinowego kołka? - zakpił Florencu, ale ze znużeniem, jakby ten po wielekroć powtarzany żart już go nawet nie bawił.

- Za pomocą kuszy.

- Zapewne zamoczył strzałę w święconej wodzie? Czy tak?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wiem tylko, że ocalił mi życie.

- To miło z jego strony. Mam nadzieję, że odnajdziemy go i dowiemy się wreszcie czegoś konkretnego.

Odwrócił się i wyszedł, a gdy tylko policjanci znaleźli się za drzwiami, do środka wpadła Nancy, dosłownie rzuciła się Jeremy'emu na szyję, a potem równie szybko odsunęła się.

- Och, przepraszam! Nie uraziłam cię? Przecież jesteś ranny.

- Ściskaj mnie, ile wlezie, nieważne, czy będzie mnie coś przy tym bolało. Jesteś ciepła i żywa, i to jest cudowne.

Przysiadła na brzegu łóżka i z zakłopotaniem spojrzała na Jeremy'ego.

- Nie wierzą mi. W ani jedno słowo.

- Trochę późno o tym przypominać, ale... Czy nie mówiłem, żeby tam nie iść? Widziałaś Mary?

- Tak. - Spuściła wzrok.

- I co z nią?

- Cały czas patrzy prosto przed siebie, ale je, kiedy ją karmią, pije wodę. Zabierzemy ją do domu. Lekarze mówią, że ona może się ocknąć z tego stanu za dzień czy dwa albo...

- Albo?

- Albo wcale.

Jeremy poczuł się strasznie. Zawiódł Mary, a przecież miał ją chronić. Z drugiej jednak strony to był prawdziwy cud, że wszyscy troje wyszli z tego żywi, powinni być wdzięczni. Gdyby nie tamten człowiek...

Potrząsnął głową, a kiedy poczuł ból, przykazał sobie, by tego więcej nie robić.

- Gdybyśmy tylko mogli znaleźć tamtego mężczyznę w długim skórzanym płaszczu! Płaszcz był czarny, tak samo jak kapelusz. Niestety, nie widziałem twarzy. - Spojrzał na Nancy. - To on mnie stamtąd zabrał i przyniósł do was. On by wiedział, co się stało.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie do drzwi, oboje odwrócili się jednocześnie.

W progu stała Jessica Frazer, w jej wielkich niebieskich oczach widniała prawdziwa troska, zaś Jeremy'emu zrobiło się ciepło na sercu. Poczuł się tak, jakby znowu był dzieckiem i ktoś dorosły pospieszył mu z pomocą w trudnej sytuacji.

- Jak się czujesz? - spytała, wchodząc.

- Jestem wdzięczny, że żyję. Ale Mary...

- Właśnie u niej byłam. Musimy mieć nadzieję. - Uśmiechnęła się do nich obojga, podeszła bliżej, dotknęła czoła rannego, sprawdzając, czy nie ma gorączki. - Miałam dzisiaj lecieć do domu, ale dowiedziałam się od policji, że wasi rodzice zjawią się tutaj najwcześniej jutro rano, więc postanowiłam dopilnować, żeby wszystko było dobrze.

- Nie musisz zostawać. Zaśmiała się cicho.

- Chyba jednak muszę, bo wyraźnie trzeba was pilnować. Mielicie bardzo dużo szczęścia. Już w kilku miejscach wydarzyły się podobne historie, zdaniem policji szerzy się dobrze finansowany, niebezpieczny

kult, którego członkowie, wyćwiczeni w zwabianiu ofiar, swobodnie przenoszą się z kraju do kraju. Co was skłoniło, by zrobić coś tak głupiego?

Młodzi wymienili spojrzenia, jednocześnie myśląc to samo: Mary. Jeremy jednak nigdy nie oskarżyłby swojej przyjaciółki.

- Głupota właśnie - odparł, patrząc na Jessicę, a potem nagle coś sobie uświadomił. - To ty zawiadomiłaś policję, tak? To ty ich ostrzegłaś, że coś się szykuje.

- Tak. Pobiegłam do nich, gdy tylko dostałam twoją kartkę.

Z piersi Nancy wyrwał się krótki szloch.

- Och, dzięki!

- Ja też kiedyś byłam młoda - rzekła z dziwnym smutkiem Jessica. - Jeremy, jak się stamtąd wydostałeś?

Oho, znowu się zaczyna, pomyślał. Co zrobić? Powiedzieć prawdę i wyjść na idiotę? Czy nie lepiej skłamać?

Wzjął głęboki oddech i postawił na prawdę.

- Tam ktoś był - wyznał i niemal się roześmiał, kiedy pomyślał o swoich następnych słowach. - Tam był dobry i zły. Dobry człowiek i zły potwór. Dobry człowiek i... i coś, co było wcielonym zdem. I ostatecznie ten dobry zwyciężył, jestem tego całkiem pewien, chociaż nie widziałem wszystkiego. Sądziś, że policja kiedykolwiek w to uwierzy, nie przyklejając mi etykietki histeryka, paranoika i kogo tam jeszcze?

Jessica nie zadawała więcej pytań.

- Powinieneś teraz odpocząć.

- To wcale nie takie łatwe.

- Boisz się?

- A jak myślisz? Jessica spojrzała na Nancy.

- Jeśli chcesz iść do schroniska i się przespać, to ja tu mogę co jakiś czas zaglądać.

Nancy potrząsnęła głową.

- Nigdzie nie pójde, zostanę z Jeremym. Jessica skinęła głową.

- Dobrze, skoro tak wolisz. Ja pójde i troszkę posiedzę z Mary.

- Jessico... - Jeremy zaczął spontanicznie, lecz zawahał się i urwał.

- Tak?

- Zostań z nią, proszę. Nie zostawiaj jej samej ani na chwilę. Zostań z nią przez całą noc. Możesz to zrobić? Bardzo cię proszę.

- Nie zostawię jej, obiecuję. Jej pokój jest przy tym samym korytarzu, tylko trochę dalej, dlatego możesz mnie zawołać, gdybyś czegoś potrzebował, gdybyś czuł się nieswojo albo po prostu chciał chwilę pogadać.

Przed północą Nancy zasnęła na krześle przy jego łóżku, lecz chociaż spała, przynajmniej nie był sam. Mary również nie była sama, czuwała nad nią Jessica, co z jakiegoś powodu było ważne, przynajmniej Jeremy tak to odczuwał. On też wreszcie zasnął, lecz spał niespokojnie, gdyż wciąż słyszał nieustanny szum wiatru, który zdawał się szeptem powtarzać jedno i to samo słowo.

Wampir...

Ale przecież wampiry nie istnieją.

Istnieją...

Ogarnął go strach, próbował się obudzić. Otworzył oczy, lecz nie miał pewności, czy na jawie, czy we śnie. Nad nim ktoś stał - mężczyzna w szerokoskrzydłym kapeluszu i długim skórzanym podróżnym płaszczu.

Przyszedł sprawdzić, czy z Jeremym wszystko w porządku? Czy zachodził również do Mary? Na pewno nic jej nie groziło z jego strony, gdyż przybył im na pomoc.

Jeremy zamknął oczy, a kiedy otworzył je ponownie, mężczyzna znikł, zostawiając po sobie... poczucie bezpieczeństwa.

Dziwne.

Ranny zasnął znowu i tym razem spał spokojnym, głębokim snem.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, panie Peterson, zacznijmy od początku - rzekła z uśmiechem Jessica.

Siedziała w dużym skórzanym fotelu, trzymając długopis i otwarty notes, podczas gdy Jacob Peterson, ostatni pacjent tego dnia, tkwił w dziwnej pozycji na kanapie w jej nowoorleańskim gabinecie. Jessica nigdy nikomu nie mówiła, by się położył, prosiła tylko, by pacjent rozgościł się i usiadł wygodnie. Jacobowi widać było wygodnie, gdy siedział nieco skurczony z szeroko rozstawionymi nogami i ze splecionymi dłońmi, do tego z ponurym marsem na czole, do którego czasem dochodziło jeszcze łypanie spode łba.

To była ich pierwsza sesja, lecz Jessica w ciągu minionych lat miała już wielu podobnych pacjentów, zarówno nastoletnich, jak i dorosłych.

- Od początku... - mruknął. - No to początek jest taki, że starzy kazali mi przyjść do pani.

- Ponieważ martwią się o pana. Proszę mi powiedzieć, czy wierzy pan, że jest wampirem? - Ton jej głosu brzmiał zupełnie neutralnie i całkowicie poważnie.

- Już dawno powinienem był się tego domyślić. Nie sypiam po nocach.

- Tak, słyszałam. Rozumiem, że z tego powodu trudno panu chodzić do szkoły.

Lekceważąco machnął ręką.

- Szkoły są dla zwykłych śmiertelników.

- Panie Peterson...

- Jake. Niech mi pani mówi Jake.

- Jake, przyjmijmy więc, że jesteś wampirem. Ale nawet wampiry muszą jakoś zarabiać na swoje utrzymanie.

Zdołała go zaskoczyć.

- Wampiry... muszą zarabiać? Pochyliła się do przodu.

- Jake, istnieją choroby, które wywołują psychologiczne pragnienie picia krwi.

- Ja nie mam psychologicznego pragnienia, tylko biologiczną potrzebę. Ja muszę pić krew.

- Musisz czy jesteś przekonany, że musisz?

- Nie jestem jedyny - odparł, broniąc się. - Jest nas więcej. Nie tylko ja potrzebuję krwi.

- Jake, nie wiem, czy powinieneś przychodzić do psychologa, bo jeśli rzeczywiście odczuwasz pragnienie krwi, należałoby przeprowadzić szereg testów medycznych.

Potrząsnął głową.

- Nie.

- Ale dlaczego nie?

- Bo i tak nic nie znajdą. - Znowu łypnął na nią ponuro. - Nie rozumie pani? Nie jestem chory, jestem wampirem.

Stłumiła westchnienie. Już tyle razy przeprowadzała podobną rozmowę! Wiele osób ściągało do Nowego Orleanu, wierząc w swoje nadnaturalne moce, mając się za wampiry lub po prostu mając ochotę przystać do jakiegoś kultu, by pokazać, że są inni lub że są anty... Ogólnie

anty. Niektórym nawet zdarzało się popełniać zbrodnie, tak dalece byli przekonani o swojej odmienności i swoich szczególnych zdolnościach.

Na chwilę wróciła myślami do wydarzeń, których świadkiem była w Transylwanii. Za nimi rzeczywiście stało prawdziwe, czyste zło.

- Jestem wampirem - powtórzył z naciskiem Jake.

- Kiedy to sobie uświadomiłeś po raz pierwszy?

- Wierzy mi pani? Odłożyła notes.

- Posłuchaj, Jake, jesteś na najlepszej drodze do wpadnięcia w poważne kłopoty. Chcę ci pomóc, ale jeśli mam to zrobić, najpierw musisz mi opowiedzieć, co się właściwie z tobą dzieje. To co, opowiesz?

Skinął głową i usiadł inaczej, opierając się wygodnie, co stanowiło duży postęp. Już nie łypał podejrzliwie i niechętnie, przestała emanować z niego wrogość, wyglądał przede wszystkim na zmęczonego. Zaczął opowiadać, zgodnie z przypuszczeniami Jessiki, używając wielu słów z dziedziny ezoteryki i starając się udowodnić istnienie takiego świata, w jaki chciał wierzyć.

Jake był inteligentnym dzieciakiem o całkiem ładnej buzi, nieco za chudym, do tego nieśmiałym wobec dziewczyn, za to znakomicie znał się na komputerach i oprogramowaniu oraz dużo czytał, aczkolwiek jego lektury były raczej monotematyczne.

- Mówiłeś, że są też inni podobni do ciebie i że najbardziej ciągnie cię do picia krwi w te noce, gdy jest pełnia - rzekła spokojnie Jessica, gdy już skończył. - I że wychodzisz wtedy z domu. Dokąd chodzisz? I co robisz?

Nieoczekiwanie zaczerwienił się jak burak.

- No cóż... Ja raz... Zapłaciłem za to. Ściągnęła brwi.

- Zapłaciłeś za... to? Masz na myśli seks?

- Tak... I krew też.

Cóż, w Nowym Orleanie oferowano wszelkie możliwe perwersje, wystarczyło tylko mieć na nie pieniądze.

- Rozumiem. Poszedłeś na peep-show, czy ktoś zaczepił się na ulicy, czy może...?

Urwała na widok jego autentycznie zdumionej miny.

- Jake?

- Ja... Ja nie pamiętam. - Patrzył na nią, zmieszany i niepewny siebie.

- Wiem, że piłem krew, ale kiedy pyta pani o szczegóły...

- Byłeś tam sam? Rysy jego twarzy stwardniały, cała niepewność znikła.

- Nie mogę powiedzieć z kim tam byłem. Nie chcę powiedzieć. A pani nie może mnie zmusić.

- Ja w ogóle cię do niczego nie zmuszam - odparła, wzruszając ramionami. - Będiesz mi mówił, co będziesz chciał, ja tylko mam nadzieję, że z czasem nauczysz się rozmawiać ze mną swobodnie.

- Są inni. Wielu innych. I przybędzie jeszcze więcej - wygłosił.

- O?

Znowu przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego, co zaniepokoiło Jessicę.

- Nie jestem jedyny, jest wielu podobnych do mnie - powtórzył tę frazę jak mantrę.

- Martwię się o ciebie, Jake - rzekła. - Skoro nie chcesz mi powiedzieć, co wiesz, to ja ci powiem, co myślę i na razie na tym poprzestaniemy. Udałeś się dokądś z którymś z przyjaciół, pewnie nawet

nie mieliście na myśli żadnego konkretnego miejsca, raczej przypadkiem znaleźliście się w niezbyt bezpiecznej dzielnicy, gdzie ktoś was zaczepił i coś wam zaoferował. Nie obraż się, lecz byliście bardzo łatwym łupem. Do domów wróciliście zapewne z pustymi portfelami, a może także bez zegarków i innej biżuterii.

Jake odruchowo sięgnął ręką do szyi, chociaż nic na niej nie nosił, a potem zacisnął wargi, tym samym potwierdzając słuszność domysłów Jessiki.

- Chciałabym, żebyś zrobił dla mnie parę rzeczy. Po pierwsze, nie wykluczajmy żadnej możliwości, dlatego pójdziesz do lekarza i zrobisz wszystkie możliwe testy, morfologię i tak dalej, dobrze?

- Mówiłem przecież, że nic mi nie jest, ja po prostu...

- Po drugie, pójdziesz do dietetyka, on ustali dla ciebie odpowiednią dietę, a do tego zaczniesz ćwiczyć. - Nim zdążył zaprotestować, dodała: - Jake, wiem, że jesteś bardzo bystry i właśnie dlatego nie przejmujesz się szkołą, bo tobie się w niej zwyczajnie nudzi. Błyskawicznie łapiesz, co przerabiacie, nie potrzebujesz nad tym pracować tyle samo, co inni. W twoim przypadku byłoby dobrze przeskoczyć jedną klasę albo zacząć chodzić na dodatkowe zajęcia, na przykład na poziomie uniwersyteckim. To jest ta trzecia rzecz do zrobienia, którą będziemy musieli przemyśleć. Trzeba będzie sporo popracować, nim dobierzemy się do tej przyczyny, która powoduje, że czujesz się nieszczęśliwy.

- Wcale się tak nie czuję.

- Nie?

Znowu się zaczerwienił, spuścił wzrok.

- Ja po prostu nie pasuję.

- W takim razie musimy się dowiedzieć, gdzie pasujesz. I co chciałbyś robić.

- Gry - odparł bez wahania.

- Słucham?

- Chciałbym projektować gry komputerowe. Myślę, że byłbym w tym dobry.

- Też mi się tak wydaje - zapewniła go. - Widzimy się za tydzień o tej samej porze. Przedtem zadzwonię do twoich rodziców i powiem im...

- Myślałem, że nie wolno pani niczego powtarzać, co ja tu mówię - przerwał jej z gniewem.

- Nie zamierzam niczego powtarzać, wszystko zostaje między nami, ja tylko chcę ich prosić, żeby poumawiali cię na wizyty u specjalistów, o których wspominałam. Może chcesz mnie teraz o coś spytać albo o czymś opowiedzieć? Mamy jeszcze kilka minut.

Ku jej zaskoczeniu podniósł się, podszedł i stanął tuż przed nią. Oczy mu błyszczały, był wyraźnie podekscytowany.

- Pani tam była! W Transylwanii. Czytałem artykuł w gazecie, wystawiła pani wampiry do wiatru, nasłała pani policję na ich bal.

Boże, tego brakowało!

Ponieważ celem Jessiki było poskromienie jego fantazji, nie zaś podsyćanie ich, spokojnie spojrzała na Jake'a.

- Spotkałam tam kilkoro znajomych studentów, jeden z nich zostawił mi kartkę z informacją, dokąd idą, a ja przekazałam ją policji. To wszystko.

Zdumiał ją jeszcze bardziej, gdy nachylił się, oparł dłonie o poręczę fotela i głęboko zajrzał jej w oczy.

- Nie boi się pani, że wampiry przybędą za panią, żeby się zemścić?
Westchnęła ze znużeniem.

- Z tego, co słyszałam, zabawa rozleciała się jeszcze przed przybyciem policji, bo ludzie nabrali czegoś i mieli halucynacje. Czy boję się zemsty wampirów? Nie. Jeśli masz jakieś poważne sprawy do omówienia, chętnie porozmawiam, ale jeśli zwyczajnie próbujesz odwrócić role, to zapomnij o tym - mówiła znudzonym tonem, również wyrazem twarzy okazując kompletny brak zainteresowania.

Jake puścił poręczę fotela, wyprostował się, wzruszył ramionami.

- Niezła musiała być impreza.

- Tak, świetna... Jedna dziewczyna ciągle jest w szpitalu.

W ciągu tego tygodnia zamierzała zajrzeć do Mary, wiedziała bowiem z lokalnej gazety, że przetransportowano ją do szpitala w Nowym Orleanie. Dziennikarze ubarwili historię, robiąc z przyjęcia dekadenski bal kostiumowy, niemal orgię, a ponieważ każda wzmianka o wampirach elektryzowała czytelników i zwiększała nakłady, o wydarzeniu wspomniało nawet parę gazet krajowych.

Kiedy została sama, podeszła do biurka, wyjęła z niego kalendarz, by sprawdzić, z kim jest umówiona na następny poniedziałek. Gdy nie było jej w domu, telefony odbierała Stacey i zapisywała pacjentów na wizyty. Jessica otworzyła kalendarz.

Na poniedziałek zamówił sesję Jeremy.

Stojąc przed starą siedzibą rodu Montresse, Bryan McAllistair pomyślał, że przybył do Nowego Orleanu nie tylko w najlepszej porze roku, ale też w najlepszej porze dnia. Dzień już minął, a wraz z nim ustąpił morderczy upał, powoli nadchodziła noc. W tej części Dzielnicy

Francuskiej noc oznaczała spokój, gdyż tu już nie było neonów, głośniejszej muzyki ani jeszcze głośniejszego śmiechu podpitych turystów, tu jedynie docierały delikatne dźwięki walca gdzieś z oddali. A może Bryan tylko tak sobie wyobrażał, gdy patrzył na stojącą pod drzewami dawną rezydencję, odsuniętą od ulicy, otoczoną murem.

Otworzył furtkę z kutego żelaza i wszedł na wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę, która prowadziła przez trawnik obsiany jakimiś drobnymi kwiatkami do tak imponującej werandy, jakby to była reprezentacyjna rezydencja na plantacji, a nie dom w mieście. Wzniesiono go jednak w czasach, gdy na terenie Dzielnicy Francuskiej można jeszcze było się swobodnie budować, gdyż miejsca starczało dla wszystkich.

Idąc ścieżką, Bryan zauważył, że zasłona w oknie na piętrze uchyliła się lekko, jakby ktoś obserwował jego przybycie. Wzruszył ramionami, wstąpił na werandę i już sięgał ku masywnej kołatce, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem. Stała w nich śliczną dwudziestoparolatka, która obdarzyła gościa szerokim uśmiechem.

- Witam.

- Witam - odparł.

- To pan jest tym profesorem, dla którego zamówiło pokój biuro podróży?

- Tak, to ja. Bryan McAllistair.

- Fajnie! Proszę wejść. - Zamknęła za nim drzwi. - Stacey LeCroix, asystentka pani Frazer. Miło mi pana powitać w jej domu.

- Dziękuję. Już z opisu wiedziałem, że to piękne miejsce, a teraz mogłem przekonać się o tym naocznie. Czy pani Frazer pochodzi z Nowego Orleanu i odziedziczyła ten dom?

- Nie, Jessica jest z... Oj, właściwie nie wiem, skąd, ale zanim przyjechała tutaj, mieszkała w Jacksonville, tu przeprowadziła się kilka lat temu. Za to wiem, jak to było z domem. Jakiś jej przyjaciel cały czas miał na niego oko i powiadomił Jessicę, gdy tylko posesja została wystawiona na sprzedaż. Ma pan rację, to przepiękne miejsce, pan pozwoli, oprowadzę pana.

Znajdowali się we wspaniałym holu, którego główną ozdobę stanowiły majestatyczne schody, a na ten widok Bryan poczuł się tak, jakby wehikuł czasu przeniósł go do epoki, gdy plantatorzy bawełny zdobywali majątki i wystawiali sobie podobne rezydencje, gdzie po takich właśnie schodach sunęły południowe piękności w balowych sukniach.

Po obu stronach schodów znajdowały się zamknięte podwójne drzwi.

- Drzwi po lewej prowadzą do dawnego salonu dla dam, a te po prawej do dawnej palarni dla panów. W obecnych czasach w całym domu obowiązuje zakaz palenia, lecz na wszelki wypadek wspomnę, że z pańskiego pokoju można wyjść na obiegający całe piętro balkon. Pan pali?

- Od czasu do czasu lubię zapalić cygaro - odparł, chociaż jej mina aż nadto wyraźnie mówiła, co panna LeCroix sądzi na temat palenia. - Ale to musi być odpowiedni moment i odpowiednie miejsce, najchętniej łączę takie okazjonalne cygaro ze szklaneczką brandy, tak więc jest to celebrowana przyjemność, niemająca nic wspólnego z nałogiem, jak pani widzi.

- Hmm... - mruknęła powątpiewająco. - Wracając do tematu, rano prawe drzwi są otwarte, gdyż teraz znajduje się tam urocza jadalnia. Oryginalna jadalnia została przerobiona na prywatny gabinet pani Frazer. Na górze znajdują się sypialnie. Gdyby zgubił pan klucz lub gdyby pojawił

się jakiś inny problem natury, nazwijmy to, technicznej, może się pan zwrócić do naszego stróża i złotej rączki, jego domek znajduje się na tyłach posesji, wystarczy przejść przez ogródek. Każda z nas dwóch ma swoją pracę, ale Gareth Miller jest zawsze na miejscu. Jakby co, pomoże panu.

- W porządku.

Wstąpiła na schody, lecz już na pierwszym stopniu odwróciła się, a na jej twarzy odmalowała się niepewność.

- Pan jest profesorem, tak?

Odniósł wrażenie, że wygadana panna LeCroix nie lubi czuć się niepewnie i że jest poirytowana na samą siebie za swoje wahanie.

- Zgadza się. Dokładnie tak, jak powiedziało biuro podróży.

Skinęła głową, ale nadal miała ściągnięte brwi.

- Tak, oczywiście, przepraszam... Proszę za mną.

Na piętrze skręciła w lewo i otworzyła pierwsze drzwi po prawej stronie korytarza.

- Na pewno będzie tu panu bardzo wygodnie. Łazienkę dodano na początku dwudziestego wieku, ma oryginalne detale w stylu art deco - oznajmiła z dumą. - Zgadzam się, że w naszym pensjonacie opłaty za nocleg są nieco wyższe niż gdzie indziej, ale...

- Ale te ceny są w pełni uzasadnione - rzekł z całym przekonaniem.

Łazienka rzeczywiście robiła wrażenie, a pokój był naprawdę przestronny, mieściło się w nim duże łóżko z baldachimem, telewizor, przepastna szafa, dziewiętnastowieczne biurko, na którym stał faks i drukarka, podczas gdy ekspres do kawy oraz kuchenkę mikrofalową umieszczono na niedużym kredensie z epoki. Podwójne drzwi prowadziły

na balkon otaczający całe piętro, Bryan wyszedł więc na chwilę na zewnątrz, z przyjemnością odetchnął wiosennym powietrzem, popatrzył z góry na niewielkie patio oraz ogródek, gdzie zdołano pomieścić basen, który w każde nowoorleańskie lato musiał stanowić prawdziwe błogosławieństwo dla mieszkańców domu. Panowała tu cisza i spokój, jakby tętniące życiem centrum znajdowało się o całe mile dalej. Ta posesja była prawdziwym skarbem, musiała być warta małą fortunę.

Odwrócił się. Stacey stała na środku pokoju, cały czas przyglądając się Bryanowi z wyrazem niepewności na twarzy.

- Tu jest idealnie - zapewnił ją.

- Prawda? - uśmiechnęła się. - Czy ja coś jeszcze miałam...

Przepraszam, chyba jestem dziś trochę zmęczona. Aha, pokój jest sprzątny wtedy, gdy gość opuści go do południa, ponieważ obie sprzątające panie mają dzieci w wieku szkolnym i o określonej porze muszą być z powrotem w domu. Jeśli rano nie zastanie pan nikogo w jadalni, na patio znajdzie pan stolik nakryty do śniadania. Jest pan mile widziany na dole o każdej porze, prosimy nie wchodzić jedynie do gabinetu pani Frazer. No i oczywiście do naszych prywatnych pokoi na piętrze.

- Oczywiście.

- Przepraszam, czy ten plecak to cały bagaż, jaki ma pan ze sobą?

- Chwilowo tak.

- W takim razie... Życzę miłego pobytu. - Uśmiechnęła się z pewnym zakłopotaniem. - Och, pańskie klucze! - Wyłowiła je z kieszeni. - Do drzwi wejściowych i do pańskiego pokoju, tylko proszę ich nie zgubić.

- Rzadko cokolwiek gubię.

- Cieszę się. - Przyglądała mu się jeszcze przez moment, po czym wyszła.

Bryan ponownie stanął na balkonie, zamknął oczy. Jaka cisza... Tak, to było cudowne, idealne miejsce.

Powoli zapadała noc, niebo stawało się coraz ciemniejsze.

I coraz bardziej czerwone.

- O mój Boże!

Jessica zatrzymała się w progu, lecz Stacey chwyciła ją za rękaw i dosłownie wciągnęła z werandy do domu. Miała wielkie oczy i wyglądała na ogromnie przejętą.

- Co „o mój Boże”? - spytała rozbawiona Jessica, gdyż po raz pierwszy widziała swoją asystentkę w podobnym stanie.

- On jest fantastyczny!

- Ale kto?

- Ten profesor. Przekonasz się, kiedy sama go zobaczysz, ja tylko chciałam cię ostrzec.

- Ostrzec? Czemu? Czy jest niebezpieczny?

- Oczywiście, że nie, nigdy nie otworzyłabym drzwi nikomu podejrzanemu. On po prostu... No, nie spodziewałam się kogoś takiego. Robi wielkie wrażenie.

- Wiesz, brzydota nie stanowi warunku zostania profesorem.

- Dobrze, śmieję się ze mnie - odparła nieco urażona Stacey. - Poczekam, co powiesz, kiedy sama go zobaczysz.

Jessica odstawiła torebkę i aktówkę na stolik.

- Wiesz, to nie jest żadna wielka firma - stwierdziła, zniżając głos. - Nikt ci nie broni zadurzyć się w gościu.

Stacey zarumieniła się.

- Nie mów głupstw. Spotykam się z Bobbym Munro, a nawet gdybym nie widywała się z nikim, to i tak nie robiłabym słodkich oczu do żadnego z gości. Ale ten profesor... Sama zobaczysz.

- Dobrze, sama zobaczę. - Zaczęła przeglądać leżącą na stoliku pocztę.

- Aha, Duży Jim pytał, czy nie zagrałybyśmy w pytania i odpowiedzi.

- Dzisiaj?

Stacey zachichotała.

- Hej, przecież jest piątek wieczór, pora na szaleństwa i zabawy. Dobrze ci zrobi, jeśli trochę się rozerwiesz po tym wyjeździe do Rumunii. Wiem tylko tyle, co napisano w gazetach, ale wyglądało to na bardzo nieprzyjemną przygodę.

- Nic mi nie jest. Owszem, serce mi się kraje, gdy pomyślę o tych dzieciakach, szczególnie o tej najbardziej poszkodowanej dziewczynie, ale poza tym wszystko w porządku, nie musisz się tak o mnie troszczyć. Prawie już o tym nie pamiętam.

Akurat! Nie mogła przestać myśleć o tamtych wydarzeniach ani na chwilę, niezależnie od tego, z kim właśnie rozmawiała i co robiła. Od powrotu z Transylwanii wciąż dręczył ją niepokój, prześladował ją widok czerwonego nieba w nocy, nic nie było takie jak dawniej.

- Dobrze, chętnie zagram, ale najpierw muszę wziąć prysznic i trochę odpocząć. Czy mogłabyś zadzwonić w moim imieniu do Dużego Jima i zaprosić go na ósmą? Niech przyniesie planszę i karty, zagramy tutaj. Ktoś jeszcze przyjdzie?

- Bobby, będzie nas więc czworo.

- Powinniśmy zaprosić również Garetha, pewnie możemy też liczyć na Barry'ego Larsona, wiesz, tego z zespołu Dużego Jima.

- Tego, który się w tobie kocha?

- To przeszłość, on już wie, że nie jestem zainteresowana.

- Tak, ale to dziwny facet, mam wrażenie, że on strasznie chciałby gdzieś przynależeć, znaleźć swoje miejsce. Cały czas tylko czeka, aż go znowu zaprosimy. Słuchaj, a może jego wcale nie ciągnie do ciebie, tylko do tego domu?

- Możliwe. Chyba zmieniłam zdanie, nie zapraszajmy go, poprzestaniemy na Garecie.

- I tak nie przyjdzie, mogę się założyć. Zrobił się z niego okropny odludek, ostatnio nawet na kawę bardzo rzadko zachodzi.

Jessica z troską ściągnęła brwi. Bardzo zżyła się z Garethem, doglądał jej domu jeszcze wtedy, gdy mieszkała w Jacksonville, a kiedy przeprowadzała się do Nowego Orleanu, ku jej zaskoczeniu zadeklarował chęć pojechania razem z nią i pracowania dla niej nadal. Ucieszyła się, gdyż mogła na nim absolutnie polegać, on nie tylko potrafił wszystkiego upilnować i wszystko naprawić, ale też był wobec niej bezgranicznie lojalny.

Stacey zerknęła w stronę schodów prowadzących na piętro i uśmiechnęła się szeroko.

- Może on dołączy do nas? W końcu jest profesorem, więc miałby szansę cię pokonać.

- Może miałby... A może miałby ochotę posiedzieć w spokoju u siebie. Dobrze, lecę na górę wziąć prysznic.

- Ja w tym czasie zadzwonię do włoskiej restauracji i zamówię kolację do domu dla nas wszystkich, co ty na to?

- Znakomity pomysł.

Jessica weszła na górę, lecz najpierw skierowała się na balkon. Robiło się ciemno, ale od jakiegoś czasu zmrok zapadał dziwnie wcześnie, noce wydawały się zbyt ciemne, a sama ciemność zbyt czerwona, w dodatku pobrzmiwał w niej nienawistny szept, jakby to znowu zbierało się w powietrzu...

- Co za „to”? - spytała z irytacją samą siebie. To.

Zło, które zrodziło się w odległym kraju, które materializowało się w ciemnościach, czaiło się, szeptało, już prawie jej dotykało... Odwróciła się gwałtownie, przekonana, że ktoś za nią stoi, lecz nie dostrzegła nikogo. Czy to złudzenie, czy rzeczywiście zamknęły się jakieś drzwi? Może ich gość również wyszedł na balkon i obserwował ją przez chwilę?

Wyprostowała się dumnie. Nie da się nikomu onieśmielić ani przstraszyć, potrafi dać sobie radę ze wszystkim, co ją spotka, nie będzie słuchać szeptów wiatru, który dotykał jej lodowatymi palcami pozbawionymi ciała. Nie będzie myśleć o tamtym, skupi się na życiu.

Odwróciła się i wróciła do pokoju, postanawiając wziąć nie prysznic, lecz długą, gorącą kąpiel w pianie, a przy wannie postawić sobie karafkę z wiekową brandy, którą będzie powoli sączyć. Tak, weźmie miłą kąpiel i nie będzie pamiętać o tym, co się wydarzyło.

Nonsens, oczywiście, że będzie.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym.

- Chcę mieć tego gościa zawsze w mojej drużynie! - zakrzyknęła Stacey.

- I co ja mam odpowiedzieć na taki komplement? Po prostu znam historię Europy, to moja dziedzina - odparł Bryan, lekko wzruszając ramionami.

Właśnie zastanawiał się, co zrobić, by poznać lepiej obie kobiety, gdy Stacey zaskoczyła go kompletnie, pukając do jego pokoju z zaproszeniem do wzięcia udziału w grze w pytania i odpowiedzi. Z miejsca przyjął zaproszenie i zszedł na dół, gdzie w oczekiwaniu na panią domu postanowili rozegrać kilka niezobowiązujących rundek - ot, na rozgrzewkę. On grał w drużynie razem ze Stacey, za przeciwników mieli jej chłopaka Bobby'ego oraz saksofonistę Dużego Jima.

Bryan polubił tego ostatniego od pierwszej chwili, gdyż w potężnym Murzynie wyczuł głębokiego, mądrego człowieka, obdarzonego wewnętrznym spokojem. Duży Jim potrafił sprawić, że ludzie mieli wrażenie, jakby przyjaźnili się z nim od lat. Dobrze byłoby mieć przy sobie kogoś takiego w chwili zagrożenia, pomyślał Bryan.

- Z ciebie jest chodząca encyklopedia, McAllistair - stwierdził ze śmiechem muzyk.

- Cóż, choroba zawodowa. Ale tobie też nieźle idzie.

- Ano jakoś sobie radzę. Skąd wiecie, czy po nocach nie czytam kart i nie uczę się wszystkich odpowiedzi na pamięć?

Stacey zrobiła wielkie oczy.

- Mówisz poważnie?

Duży Jim znów się roześmiał.

- Nie, ale może faktycznie powinienem zacząć.

- On pochodzi z długiej linii kapłanów wudu - wtrąciła Stacey, jakby to wyjaśniało, skąd Duży Jim tyle wie.

Bobby westchnął.

- Z to ja pochodzę z długiej linii gliniarzy... Stacey pogłaskała go po rękę.

- Hej, potrafiłeś odpowiedzieć na wszystkie pytania związane ze sportem.

- Tak, i co mi z tego? Przecież właśnie dlatego rzuciłaś mnie dla profesora.

- I będę się go trzymać - zadeklarowała z przekonaniem Stacey.

- Czyli ja też poszłam w odstawkę? - odezwał się melodyjny kobiecy głos.

Bryan odwrócił się, by zobaczyć mówiącą i poczuł się dokładnie tak, jakby trafił weń piorun z jasnego nieba.

Nawet nie chodziło o jej urodę, gdyż po święcie chodziło bardzo wiele pięknych kobiet. Była średniego wzrostu, smukła, lecz o ładnych kobiecych krągłościach, złociste włosy spływały po jej plecach kuszącą falą, oczy miały czysty odcień błękitu. Poruszała się ze swobodną gracją, każdy jej gest robił wrażenie, lecz tak naprawdę wstrząsnęło nim co innego, mianowicie fakt, że zdołała dotknąć pewnej struny w duszy Bryana, głęboko ukrytej, milczącej od lat. Ta kobieta przypominała...

...kogoś, kogo już od dawna nie było, od tak dawna, że nie powinien już nawet pamiętać. Owszem, zdarzało mu się spotykać osoby, które wywoływały w nim to odległe wspomnienie, gdyż miały coś podobnego w spojrzeniu, uśmiechu lub gestach, lecz jeszcze nikt nie wyglądał prawie jak kopia tamtej.

- No, nareszcie zeszłaś na dół - zauważyła Stacey.

- Przepraszam, ale w kąpieli zupełnie straciłam poczucie czasu.

Bryan wstał, by się przedstawić, Jessica spojrzała na niego i zamarła w pół kroku. Stała, patrząc na niego i nic nie mówiąc.

- Wy dwoje jeszcze się nie znacie - rzekła nieźle ubawiona Stacey, uśmiechając się z satysfakcją, jakby miała na końcu języka: A nie mówiłam?

- Witam w Rezydencji Montresse. - Jessica ocknęła się i podeszła do gościa z serdecznym uśmiechem, wyciągając rękę. - Szczerze powiedziawszy, spodziewałam się kogoś innego... - Urwała, zarumieniła się lekko. - Przepraszam.

Ujął jej dłoń i znów odniósł wrażenie, jakby został rażony piorunem, gdyż przeszył go gorący, elektryzujący dreszcz. Bryan opanował się z trudem, przywołał na twarz niezobowiązujący uśmiech.

- Nie ma za co.

Jessica skinęła głową i zajęła miejsce przy stole jak najdalej od nowego gościa. Duży Jim uśmiechnął się do niej.

- Trochę sobie poćwiczyliśmy przed twoim przyjściem, teraz gramy już na poważnie, jesteś w drużynie ze mną i z Bobbym.

- Hm, troje przeciwko dwojgu. A może...

- Gareth odmówił - wtrąciła Stacey. - Ale nic nie szkodzi, mamy profesora, więc i tak spuścimy wam lanie.

- Ktoś tu jest bardzo pewny siebie - odpowiedziała Jessica, lecz patrzyła przy tym na Bryana.

On również nie odrywał od niej wzroku, gdyż w tej kobiecie było coś, co...

Wzruszył ramionami, usiadł wygodniej.

- Zaczynamy grę - rzekł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy tylko Duży Jim i Bobby wyszli, a profesor udał się do swojego pokoju, Stacey zamknęła drzwi kuchni i wymownym wzrokiem popatrzyła na Jessicę, która opłukiwała talerze wodą i wstawiała je do zmywarki.

Kiedy przyjaciółka pytająco uniosła brew, Stacey wybuchnęła śmiechem.

- Słucham, o co chodzi?

- A ty się ze mnie nabijałaś!

- Nie rozumiem - odparła Jessica.

- Wiesz, już chciałam zaproponować, żebyście poszli razem na górę i nie przejmowali się nami.

Jessica potrząsnęła głową.

- O czym ty mówisz? Siedzieliśmy na przeciwnych końcach stołu.

- Aha. A nad stołem i planszą z kartami latały błyskawice w tę i z powrotem. To było niezłe. A jeszcze fajniejsze było to, że wygraliśmy.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Nieprawda, wyłaziłaś ze skóry, żeby go pobić.

- Nie przesadzaj, to tylko gra. Bawiliśmy się, to wszystko.

- Niby tak, ale widziałam wyraz twoich oczu. On jest dla ciebie wyzwaniem, intryguje cię. Wiem, że go sprawdziłaś.

- Owszem, zadzwoniłam na uniwersytet, żeby czegoś się o nim dowiedzieć. Ściągnęli go na ten semestr, są zachwyceni, że się zgodził, podobno jeździ z wykładami po całym świecie. Mogłybyśmy kiedyś pójść i posłuchać, ale nie wiem, kiedy on ma zajęcia.

- Nie spytałaś?

- Oczywiście, że nie. Stacey zachichotała.

- W takim razie ja go jutro spytam. Ciągłe tylko pracujesz, więc przy twoim trybie życia pójdzie na uniwersytecki wykład rzeczywiście będzie stanowić nie lada rozrywkę. No ale wykłady takiego faceta na pewno są ekscytujące...

Przyjaciółka nie odpowiedziała, dokończyły zmywanie w milczeniu, weszły na górę, powiedziały sobie dobranoc i rozeszły się do swoich pokoi. Jessica zawahała się przed drzwiami balkonowymi, gdyż najlepszy pokój gościnny sąsiadował z jej sypialnią, a w tym najlepszym pokoju znajdował się ich nowy lokator... Wolałyby go nie spotkać.

Wyszła na balkon, zerknęła w bok, ujrzała zamknięte drzwi i zaciągnięte zasłony, za którymi nie paliło się światło, widocznie on już się położył. Spojrzała na niebo, niepokojąco podbite czerwienią, poczuła lodowaty podmuch i wiedziała, że to się zbliża.

Wycofała się do pokoju, a gdy kładła się spać, uświadomiła sobie, że widok Bryana wywołał w niej odległe, bardzo odległe wspomnienia i kazał jej myśleć o czasach, gdy wierzyła w życie, w miłość, w wierność, w walkę o to, co dobre. O czasach, gdy była młoda i pełna idealizmu. I taka naiwna... Uderzyła pięścią w poduszkę. Dobry Boże, to było całe wieki temu! Po co o tym myśleć?

A jednak nie mogła zasnąć, dziwnie poruszona faktem, że on znajduje się tak blisko, za ścianą. Jessica niemal zdawała się słyszeć bicie jego serca, czuć pulsowanie jego krwi - jakby leżał tuż przy niej.

Poprawiła poduszkę, lecz nic nie pomogło. Chyba czekała ją bezsenna noc.

Patrzył.

Ukryty w cieniu, ukryty w ciemności, patrzył. Obserwował.
Przepełniony furją.

Odrzucił głowę do tyłu, napawając się poczuciem mocy, która znowu w nim rosła. Długo czekał na tę chwilę.

Nareszcie nadszedł czas zemsty, a smakowała ona tym słodziej, że była tak bardzo wyczekana. On wreszcie się ujawni, zada ból i cierpienie, będzie torturował ofiary, a potem je zniszczy raz na zawsze. Żalodne istoty, przekonane o tym, że cnoty chronią je jak pancerz. Że są górami, gdyż stoją po stronie dobrej sprawy. Głupcy, zaślepieni własną żalodną ignorancją.

Zbliżył się do domu niczym cień, cień sunący tak płynnie i miękko jak krew płynąca w żyłach. Jakie to ostatecznie okazało się łatwe! Mógł teraz wejść i rozprawić się ze wszystkimi, którzy tam przebywali. Poczul pokusę, by tak zrobić, by okazać swoją moc, moc, za którą stały wieki, najpotężniejszą moc na ziemi. Jego wola była silniejsza niż wola tych słabych istot, które tak śmiesznie wierzyły w siebie i swoje dobro. A jednak...

Eksplodował w nim dziki gniew, gdy jakaś siła nie pozwoliła mu wtargnąć do domu, który okazał się niedostępny niczym ufortyfikowana przeciw niemu twierdza. Coś broniło mu wejścia. Rozwścieczony, jeszcze kilka razy próbował wdrzeć się do środka, lecz nie zdołał sforsować niewidzialnego muru.

Powiedział sobie, że niedługo, bardzo niedługo i tak wejdzie bez przeszkód, gdyż zaproszenie przyjdzie ze środka twierdzy, gdyż zadbał o to, by przekonać do siebie kogoś, kto znajdował się w jej najbliższym otoczeniu. Skoro nie wskóra nic gniewem, osiągnie swój cel cierpliwością.

Tak, jeszcze nie czas, czekał tak długo, może więc poczekać jeszcze trochę. Ona mu się nie wymknie, bardzo przemyślnie zarzucił sieć, chcąc, by ofiara powoli zaczęła się domyślać, że jest osaczana, nie tylko ona zresztą, ale wszyscy w jakiś sposób z nią związani. Poigra sobie z nią, a ona będzie się zastanawiać, kto jest tym prześladowcą. I zadawać sobie pytanie...

Tak, już niedługo. Niedługo zostanie zarzucona ostateczna przynęta, a on będzie się śmiał, będzie się bawił, a potem zakończy wszystko w miejscu i czasie, które sam wybierze, w taki sposób, jaki się jemu spodoba.

Coś niepokojącego wyrwało Bryana ze snu tak gwałtownie, jakby nad jego głową zawył alarm przeciwpożarowy. Wyskoczył z łóżka, narzucił na siebie szlafrok, wyszedł na balkon, lecz nie dostrzegł nic niepokojącego. Okno sąsiedniego pokoju było otwarte, wiatr rozwiewał firanki, więc Bryan mógł dostrzec leżącą na łóżku Jessicę. Spała, złociste włosy rozsypały się wokół jej głowy niczym aureola, delikatne rysy były tak doskonałe, jakby wyrzeźbił je sam Michał Anioł. Bryan nigdy w życiu nie widział czegoś tak anielsko pięknego, więc aż potrząsnął głową ze zdumienia, jednocześnie znów czując przeszywający go ogień.

Zmusił się do tego, by oderwać od niej wzrok i wycofać się. Wrócił do pokoju, zszedł na parter, rozglądając się bacznie, lecz nie dostrzegł nic niepokojącego. Kiedy otworzył tylne drzwi, poczuł jakby zapach zgnilizny. A może tylko mu się wydawało? Może to wyobraźnia, która kazała mu wietrzyć niebezpieczeństwo, kiedy nic złego się nie działo?

Nie, to nie wyobraźnia, to działał znakomicie wyostrzony instynkt.

Podszedł do domku stróża i zajrzał przez okno, lecz zobaczył tylko śpiącego mężczyznę. Wrócił do siebie, jednak zamiast się położyć,

ponownie wyszedł na balkon, by jeszcze raz popatrzeć na śpiącą. Tak, przypominała, mu anioła, pewnie przez te złociste włosy, na które padał daleki odblask ulicznych lamp. Pomyślał, że jest nie tylko piękna, ale i krucha, a wtedy obudziło się w nim namiętne pragnienie, by ją chronić. Zapragnął wejść do jej pokoju.

Boleśnie ściągnęła brwi, jakby przyśniło jej się coś przykrego, a wtedy pragnienie Bryana jeszcze przybrało na sile - tak, wejść do niej, porwać ją na ręce, osłonić ją, odgonić od niej...

...wszelkie zło.

Jej czoło rozpogodziło się, znów spała spokojnie, zaś Bryan w myślach zganił się z irytacją i nakazał sobie opanowanie. Przecież spotkał tę kobietę zaledwie kilka godzin wcześniej! Zresztą nie przybył tu po to, by dać się porwać gwałtownemu i nieoczekiwanemu zauroczeniu, przybył do Nowego Orleanu i do tego domu, gdyż do tego miejsca prowadził ślad zła, które tropił. O ile się nie pomylił.

Zacisnął zęby. Gdyby miał jakikolwiek dowód, jakikolwiek namacalny ślad...

Ponownie zmusił się do tego, by odwrócić się od niej i wrócić do siebie. Nadal nie wiedział, co go obudziło, lecz przeczuwał, że to dopiero początek.

Jessicę nawiedziły dziwne sny, przenoszące ją w inne miejsce i czas.

Znajdowała się na zamku, gdzieś w jego najgłębszych lochach, w samych jego trzewiach, szła, doskonale wiedząc, co zobaczy. Oczywiście byli tam, dokładnie tak, jak się spodziewała, jak to oni ubrani w eleganckie, uroczyste stroje, cali w aksamicie i drogich kamieniach, cali na czarno. Niektórzy nosili maski, ukrywając swoją tożsamość nawet przed

podobnymi sobie. Niektórzy zachowywali się, jakby to była gra, zjawili się w poszukiwaniu wywarów miłosnych, magicznych napojów, dających przewagę nad wrogami, sukces w życiu lub wielkie bogactwa. Tylko że wywary i napoje często zawierały w sobie truciznę, zaś wszelkie gry były śmiertelnie niebezpieczne, gdyż nikt nie mógł wyjść z nich cało, wcześniej czy później musiał umrzeć. Nie dawało się wszakże wytropić korzeni tego całego zła, gdyż główni aktorzy owego upiornego teatru dochowywali tajemnicy, zaś pośledni niewiele lub nic nie wiedzieli.

Tej nocy wzniesiono ołtarz, lecz to, co się działo na zamku, nie miało nic wspólnego z pradawną pogańską wiarą w moce nieba i ziemi, w bogów słońca, deszczu i zniw, którzy domagali się ofiar z krwi, jeśli mieli pobłogosławić ludzi urodzajem. Do kapłanki, przewodzącej obrzędowi, zwracano się jako do wiedźmy, lecz nie była ona wiedźmą w pogańskim sensie, czyli kobietą, która wie więcej niż inni, była zwykłą satanistką.

Na ołtarzu leżało dziecko, napojone winem, by nie płakało. Wiedźma wymamrotała nad nim jakieś słowa, zaś potem krzyknęła, że składa ofiarę swemu panu, władcy ciemności, lecz w tym momencie zebranych na czarnej mszy zaalarmował jakiś odgłos. Rozległ się szcęk stali, to ludzie króla, którzy właśnie odkryli potajemne zgromadzenie, wyciągali miecze.

Rozległy się krzyki, wyznawcy szatana próbowali uciekać, lecz sami złapali się w pułapkę, wybierając na miejsce swych obrzędów pieczarę w głębokich podziemiach, skąd prowadziła tylko jedna droga wyjścia. Połała się krew, rozpętało się piekło, powietrze rozdzierały przeraźliwe krzyki.

Schowała się w niszy, niedostrzeżona przez nikogo i patrzyła. Dziecko na ołtarzu, zaalarmowane hałasem, zaczęło płakać. Zostawić je tak? Powinna, bo przecież jej celem była ucieczka, właśnie dlatego

zakradła się do tego miejsca, nie przypuszczając ani przez chwilę, że ktoś będzie potrzebować pomocy, przez co może pokrzyżować jej szyki. Nie miała wyboru.

Wyskoczyła z kryjówki, porwała dziecko w ramiona, ktoś rzucił się ku nim, Jessica prawie obudziła się ze strachu, wizja zaczęła się rozwiewać.

Po chwili wróciła, tym razem Jessica pędziła na koniu, ścigana przez prześladowców, ale robiła już niebezpieczniejsze rzeczy...

- Giń! - wrzasnął ktoś za jej plecami.

Usiadła gwałtownie na łóżku i rozejrzała się dookoła, drżąc na całym ciele, nasłuchując, ale w domu panowała zupełna cisza. Nie miała pojęcia, co spowodowało te koszmarne sny, tak przerażająco realne. Nadal zaniepokojona, wstała i wyszła na balkon, znowu długo nasłuchując. Nad nią wisiało czerwone niebo, lecz nic się nie działo, chociaż cały czas Jessice zdawało się, że wyczuwa czyjaś obecność.

Wreszcie wróciła do łóżka i leżała bezsennie przez długi czas, obwiniając za wszystko swojego nowego lokatora, który podczas gry tak barwnie opowiadał o różnych wydarzeniach historycznych, jakby był ich naocznym świadkiem.

Znajdował się zaledwie w sąsiedniej sypialni. Jessica zamknęła oczy, nie spała jednak, lecz wyobrażała sobie, jak wstaje, przechodzi do pokoju Bryana, budzi go i...

Ta wizja powodowała jeszcze większą udrękę niż przerażające sny, więc Jessica z jękiem ukryła twarz w poduszce.

Bryan zszedł na dół bardzo wcześnie, przekonany, że przyjdzie mu szukać porannej kawy gdzieś na mieście, lecz ku jego zaskoczeniu w

kuchni już działał ekspres, przy nim z filiżanką w ręku czekała Stacey, a na jednym z taboretów przycupnął jakiś mężczyzna i czytał gazetę. Był żyłasty, chudy niczym szkielet, lecz mimo to sprawiał wrażenie silnego. Twarz miał ogorzałą, długie włosy trochę potargane. Słyszając kroki, gwałtownie poderwał głowę, widok obcego wyraźnie go zaalarmował.

- Dzień dobry. - Bryan jakby nigdy nic wyciągnął dłoń na powitanie.

- Bryan McAllistair.

- Eee... - Mężczyzna spojrzał na Stacey, jakby szukał u niej ratunku, a potem odwrócił się do Bryana i podał mu rękę. - Gareth.

Bryan skinął głową, podszedł do szafki i sięgnął po pusty kubek.

- Dzień dobry - rzekł do Stacey. - Nie spodziewałem się zastać kogoś w kuchni o tej porze.

- Ze mnie i Garetha są ranne ptaszki, za to Jessica wstaje rano tylko wtedy, kiedy musi. O, kawa już gotowa. - Zdjęła dzbanek z ekspresu i chciała nalać Bryanowi kawy.

- Ty pierwsza. Zresztą zdołam sam sobie nalać kawy, chociaż jestem naukowcem. Tyle to jeszcze potrafimy - zażartował.

- Jesteś naszym jedynym lokatorem w tej chwili. Mogę zrobić śniadanie, kiedy tylko zechcesz. Zresztą nie tylko śniadanie, mogę zrobić wszystko, na co przyjdzie ci ochota.

- Bardzo interesująca propozycja... Ale na razie chciałbym pójść na spacer, ponieważ rzadko ma się ulice Nowego Orleanu tylko dla siebie, a o tej porze jeszcze mi się to uda. Tylko nie czekaj na mnie ze śniadaniem, jeśli masz coś innego do roboty.

- Kiedy to żaden problem, bo i tak przez jakiś czas będę się kręcić po domu.

- Dzięki, ale naprawdę nie zwracaj sobie mną głowy. - Dopił kawę, odstawił kubek. - Pyszna. Najlepsza, jaką piłem w Nowym Orleanie. To do zobaczenia później. Gareth, miło było cię poznać.

Wiedział, że oboje odprowadzili go wzrokiem i że zaczęli o nim rozmawiać, gdy tylko zamknął za sobą frontowe drzwi.

Jessica wstała dopiero dość późnym popołudniem i chociaż zebrała się w miarę szybko, to kiedy dojeżdżała do szpitala, zaczynało się już robić ciemno, jakby z każdym dniem zmrok zapadał coraz wcześniej, co o tej porze roku nie znajdowało żadnego racjonalnego wytłumaczenia. I ten czerwony odcień ciemniejącego nieba...

Przyłapała się na tym, że stoi na przyszpitalnym parkingu z zadartą głową, a przecież wpatrywanie się w niebo niczego nie zmieniało, tylko traciła czas. Kupiła kwiaty, w recepcji spytała o pokój Mary, a gdy go znalazła, zastała w nim Jeremy'ego, który prawie zwisał z krzesła. Musiał już długo czuwać przy łóżku przyjaciółki, widać było po nim prawdziwe zmęczenie.

- Cześć - odezwała się cicho Jessica. Podniósł głowę, uśmiechnął się na jej widok.

- Cześć.

- I co z nią?

- Praktycznie bez zmian, ale wydaje mi się, że już nie jest taka biała jak przedtem. Oddycha normalnie, czasami otwiera oczy, nie odzywa się, chyba też nas nie słyszy. Nie reaguje, kiedy dotykają jej pielęgniarki, ktoś z rodziny albo ja. Ona chyba nic nie czuje.

Jessica zostawiła bukiet na stole i przyjrzała się chorej. Dziewczyna wyglądała jak śpiąca królewna, skazana na stuletni sen - piękna, milcząca, blada.

- A co mówią lekarze?

Wzruszył ramionami, potem wskazał na kartę.

- Ciągłe podają jej krew, bo ma jakieś dziwne wyniki, nie wiedzą, czemu. Wszystkie testy wychodzą im kompletnie bez sensu. Ale podobno właśnie coś zaczęło się poprawiać.

- A jak się czują jej rodzice?

- Są już w trochę lepszym stanie. Jej mama jest spokojniejsza, gdy towarzyszy jej któreś z rodzeństwa Mary, brat lub jedna z dwóch sióstr. Tata trzyma emocje na wodzy, nic po sobie nie pokazuje. - Spojrzał Jessice w oczy i uśmiechnął się ze smutkiem. - Nikt mi nie wierzy.

- W co nikt ci nie wierzy? Zaśmiał się głucho.

- W to, że została ugryziona przez wampira, prawdziwego wampira, a nie jakiegoś wariata albo ćpuna, który coś sobie wmówił.

Jessica udała, że poprawia chorej kołdrę, w rzeczywistości zaś dyskretnie obejrzała jej szyję.

Jeremy westchnął.

- Przede mną nie musisz ukrywać, co robisz. Tak, ma na szyi ślady ukąszenia. Lekarze twierdzą, że podrapała się o jakieś cierniste krzaki wokół ruin.

- Rozumiem...

I rzeczywiście rozumiała wszystko doskonale. Na szyi Mary widniały dwa ślady jak po nakłuciu.

- W ogóle się nie odzywa?

- Przy mnie nigdy i nic mi o tym nie wiadomo, by odzywała się do innych.

- A jaka jest diagnoza?

- Ciężki szok.

Jessica odgarnęła chorej włosy z twarzy i ramion, by było jej wygodniej, a wtedy zauważyła, że ktoś zawiesił jej na szyi duży srebrny krzyżyk na mocnym łańcuszku.

Usiadła obok Jeremy'ego, położyła dłoń na jego rękę, uścisnęła przyjaźnie.

- Widziałam, że umówiłeś się do mnie na wizytę.

Skinął głową, a potem uśmiechnął się nieco krzywo.

- Może ty też mi nie uwierzysz, ale przynajmniej mnie wysłuchasz.

A kiedy będę mógł komuś opowiedzieć całą tę historię od początku do końca, może... nie wiem, może dostrzegę w tym jakiś sensowny trop.

- Bardzo chętnie się z tobą zobaczę i wszystkiego wysłucham.

- A jeśli ona umrze? - spytał nagle przejmującym szeptem.

Jessica pomyślała, że słyszy w jego głosie coś więcej niż lęk przed utratą zaprzyjaźnionej osoby.

- Spróbujmy o tym nie myśleć.

- Kiedy nie mogę. Zawahała się.

- Nie kontaktował się z tobą przypadkiem ktoś, kto brał udział w tamtym przyjęciu?

Spojrzał na nią zdumiony i niemal przerażony.

- O rany, nie! Zresztą ja nawet nie byłem zaproszony, to Mary została zaczepiona na ulicy przez jakąś dziewczynę, ja poszedłem jako obstawa. Czemu pytasz?

- Właściwie bez powodu. Powiedz mi, co z Nancy? Widujesz ją? Wiesz, jak ona sobie radzi?

- Całkiem nieźle. - Znowu jego wzrok powędrował ku chorej. - Nancy przychodzi tu czasami i siedzi przy niej. - Potrząsnął głową. - Widzisz, Mary nie poszła tam ze złej woli. Czasem potrafiła nie dbać o innych i ich uczucia, ale to tylko dlatego, że ona po prostu zachłannie kochała życie, chciała wszystkiego spróbować, no i chciała też... no, trochę się popisać - dokończył niezręcznie. - Ale to nie była zła dziewczyna.

- Nikt nie twierdzi, że Mary jest złą dziewczyną - oświadczyła Jessica, kładąc nacisk na słowo „jest”, lecz nie udało jej się wlać otuchy w serce Jeremy'ego.

- Boję się o nią. Bardzo się boję - rzekł cicho.

- Musisz wierzyć, że wszystko będzie dobrze, bo kiedy człowiek zamartwia się na zapas, tylko niepotrzebnie dokłada sobie ciężaru, dlatego lepiej radzić sobie z tym, co dzieje się w danym momencie, w ten sposób oszczędza się siły na realne działanie. Postarajmy się wierzyć w Mary, dajmy jej szansę na wyzdrowienie.

W duchu zadała sobie pytanie, czy to tylko kłamstwa dla dobra Jeremy'ego, czy jednak rzeczywiście istniała dla tej dziewczyny jakaś szansa. Owszem, istniała, tylko...

Przyłapała się na tym, że ogląda się za siebie. Od jakiegoś czasu coraz częściej miała wrażenie, że ktoś za nią stoi i szeptem powtarza jej imię.

- Jessica?

Niemal podskoczyła na krześle, gdy od strony drzwi rzeczywiście ktoś odezwał się cicho, mówiąc do niej po imieniu, lecz w następnym

ułamku sekundy rozpoznała znajomy głos, więc odwróciła się, przyjemnie zaskoczona. W progu stali Duży Jim oraz Barry Larson.

- Co wy tu robicie? - szepnęła, by nie przeszkadzać chorej.

- Czasami gramy tu w świetlicy dla dzieciaków - wyjaśnił Duży Jim.

- Myślałem, że o tym wiesz.

- Chyba kiedyś coś wspominałeś, tylko wyleciało mi z głowy.

- Jak się czuje twoja znajoma? - spytał z troską Barry.

- Trzyma się.

- To dobrze - rzekł Duży Jim.

Jeremy wstał, zacisnął usta i podszedł do drzwi.

- Nie wolno przeszkadzać Mary - oświadczył, wyraźnie nie ufając nikomu, kogo nie znał.

- Jeremy, to są moi dobrzy przyjaciele, muzycy jazzowi. Przychodzą tutaj grać dla chorych dzieciaków, słyszałeś.

- Miło mi was poznać, ale nie wolno jej przeszkadzać - powtórzył.

- Tylko zajrzeliśmy, bo wiemy, że Jessica martwi się o nią. Zajdź kiedyś na nasz koncert, synu, zapraszamy.

Jeremy podziękował sztywno i poczekał, aż sobie pójda, dopiero wtedy z powrotem zajął swoje miejsce na krześle i sięgnął po dłoń Jessiki. Siedzieli tak, patrząc na pogrążoną w letargu chorą.

Ona z tego wyjdzie, powtarzała sobie w myślach Jessica, lecz jakiś głos w jej głowie pytał, czy przypadkiem nie okłamuje samej siebie.

Lata pracy w policji pozwoliły Seanowi Canady'emu doskonale ukryć zaskoczenie na widok swojego gościa. Spodziewał się ujrzeć chudeusza w okularkach, który nigdy nie wytyka nosa poza uniwersytecką bibliotekę i w ogóle nie rozmawia ze zwykłymi śmiertelnikami o

przyjemnych sprawach, tymczasem siedzący przed nim mężczyzna był barczysty i robił duże wrażenie. Typ Indiany Jonesa, ocenił w myślach Sean.

Gość chciał wiedzieć, czy ostatnio krążyły w okolicy jakiekolwiek pogłoski o wampirach, o kulcie związanym z piciem krwi i podobnych rzeczach, na co usłyszał, że to, u diabła ciężkiego, jest Nowy Orlean, więc podobne pogłoski są na porządku dziennym.

Sean wskazał na swój komputer.

- Nawet gdybyśmy siedzieli tu cały dzień, nie zdołałbym pokazać panu każdego raportu dotyczącego jakiegoś wariata, który uznał się za wampira, jakiegoś balu wampirów, który musiała zakończyć policja, bo uczestnicy zaczęli svirować, jakichś dziwacznych obrzędów na którymś z cmentarzy lub jakiegoś pijaka, który na ulicy ugryzł innego pijaka.

- Wiem. - Bryan McAllistair uśmiechnął się niewesoło i pokiwał głową. - Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Sean popatrzył na leżące przed nim notatki, potem znów podniósł wzrok na swojego gościa.

- Pan brał udział w tamtej nieprzyjemnej historii w Rumunii, prawda? - zagadnął, starannie dobierając słowa, zaś owa ostrożność wynikała z tego, że wiedział bardzo dużo o istotach nie do końca ludzkich, lecz dla dobra swojej rodziny wolał tego nie ujawniać, dlatego też na zewnątrz zazwyczaj udawał sceptyka.

- Znalazłem się w Rumunii w celu wygłoszenia serii wykładów - skorygował Bryan. - Zupełnym przypadkiem usłyszałem plotki o szykującej się imprezie i powiadomiłem policję. Gdyby na czas potraktowała moje ostrzeżenia poważnie... - Wzruszył ramionami. - Kto

wie, czy nie złapaliby wówczas tego, kto za tym stał? Niestety, główny prowodyr zdołał zbiec.

- Przynajmniej nikt nie zginął - zauważył Sean, lecz potem potrząsnął głową. - Ta dziewczyna w szpitalu... Podobno może z tego nie wyjść. Lekarze nie wiedzą, co się dzieje, lecz ona powoli gaśnie. - Nagle ogarnęło go znużenie. - Właściwie nie rozumiem pańskich pytań. Owszem, trójka dzieciaków z Nowego Orleanu została w to przypadkiem zamieszana, lecz nie rozumiem, czemu uważa pan, że coś niepokojącego ma stać się tutaj.

Przez to czerwone niebo, odpowiedział sam sobie. Maggie też je zauważyła.

- Nie powiedziałem, że coś się szykuje w Nowym Orleanie. Ale jak sam pan zauważył, ta trójka jest stąd, a miasta znane z okrutnych, krwawych legend przyciągają różne... kłopoty. Niedawno w Edynburgu odbyło się w nocy potajemne spotkanie w podziemnych kryptach, podobno nawiedzanych przez duchy, a po tym spotkaniu znaleziono tam zwłoki młodej dziewczyny. Trzy miesiące temu w Paryżu po równie nielegalnym nocnym zgromadzeniu w katakumbach policja znalazła zwłoki kilku osób, wszystkim obcięto głowy. Po balu na starym włoskim zamku pozostały cztery trupy. Z informacji zebranych przez policje tych krajów wynika, że wszystkie ofiary zostały zwabione wizją erotycznej imprezy z lekko wampirycznym podtekstem.

- Nie orientuje się pan, czy rozpoczęto międzynarodową akcję w celu położenia kresu podobnym praktykom?

- Orientuję się. - Bryan z dezaprobatą potrząsnął głową. - Nie rozpoczęto. Władze najczęściej sądzą, że to oznaka obecnych,

rozpasanych czasów i nie łączą tych wydarzeń ze sobą, przy czym właściwie trudno im się dziwić, bo kto brałby na poważnie pomysł, że mamy do czynienia z balami wampirów?

Sean znów zajrzał do swoich notatek.

- Ostrzegł pan również policje w Edynburgu i Paryżu, prawda?

Bryan skinął głową.

- Gdybym był podejrzliwy, mógłbym pomyśleć, że te spotkania odbywają się akurat tam, gdzie pan przebywa.

Bryan sięgnął do teczki, która stała przy jego krześle i wyjął plik spiętych spinaczem wycinków prasowych.

- Są ułożone chronologicznie. Pierwsza wzmianka dotyczy małego miasteczka w Szwajcarii, gdzie zaginęło bez wieści pięć osób. Według oficjalnej wersji uległy one wypadkowi w górach podczas jazdy na nartach, lecz ciał nigdy nie znaleziono. Tego samego dnia odbywała się w okolicy właśnie taka impreza, o jakiej mówimy.

Sean spojrzał na niego bacznie.

- Rozumiem, że pana wtedy w Szwajcarii nie było.

- Nie, nie było mnie tam. Seana coś tknęło.

- Pracował pan kiedyś w policji? Bryan zawahał się po raz pierwszy.

- Oficjalnie nie - przyznał wreszcie. - Ale pomagałem przy wielu śledztwach jako ekspert.

- Od wampirów? - spytał sceptycznym tonem Sean.

- Od legend, dawnych wierzeń, dawnych społeczeństw i temu podobnych.

Sean odchylił się na oparcie krzesła.

- Wierzy pan w istnienie wampirów, profesorze McAllistair?

Nawet jeśli jego gość pomyślał, że oficer zarzuca przynętę i próbuje go sprowokować, nie obraził się.

- Wierzę w istnienie zła. Wierzę, że istnieją ludzie, którzy mają się za wampiry, uczniów szatana, czy co pan jeszcze chce. I wierzę, co jest bardzo istotne, że niektórzy z tych ludzi mają wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić za zrealizowanie swoich najdzikszych, najbardziej perwersyjnych fantazji. Ci ludzie mogą swobodnie podróżować po świecie, stać ich na to. Mogą rozpuszczać informacje, mogą płacić za zwabianie niczego nieświadomych ofiar. Głównie z tego powodu przyszedłem tu dzisiaj, ponieważ chciałem was ostrzec. Gdyby policja słyszała pogłoski o jakiejś pokątnej imprezie, powinna trzymać rękę na pulsie.

Sean skinął głową.

- W porządku. Rozumiem, że jeśli pan nie tyle będzie podejrzewał, co dowie się o planowaniu podobnej imprezy, da mi pan znać.

To nie była prośba, lecz rozkaz, gdyż to czerwone niebo...

Bryan spojrzał mu prosto w oczy, wyglądał na faceta, który potrafi okazywać innym szacunek, ale żąda go też dla siebie.

- Od czasu do czasu będę tu zaglądał. A jeśli policja będzie potrzebowała mojej pomocy, na pewno będzie umiała mnie znaleźć.

Sean uśmiechnął się leciutko. Podobał mu się ten facet.

- I to szybciej, niż pan myśli. Z polecenia burmistrza mam dla pana telefon komórkowy. Gdzie się pan zatrzymał w Nowym Orleanie?

- W Rezydencji Montresse.

- U Jessiki? - wyrwało się Seanowi.

- Pan ją zna? - spytał równie zaskoczony Bryan.

- Tak, to przyjaciółka rodziny.

- Ale chyba od niedawna, prawda? Ona nie jest stąd.

- Nie, nie jest, poznaliśmy się dzięki wspólnym przyjaciołom. - Sean nie wiedział, czemu zdradzał temu facetowi jakiegokolwiek informacje, przecież zawsze podejrzewał wszystkich naokoło i niczego nie ujawniał. Teraz też miał wrażenie, że coś go ostrzega, że czuje na karku zimny dreszcz... A jednak, niech to licho, w jakiś sposób dziwnie lubił tego gościa. Westchnął. - Chętnie przyjmę każdą pomoc. Po huraganie Katrina było tak, jakby przez miasto przeszła wojna, miną lata, zanim niektóre z dzielnic wrócą do normalności, więc naprawdę nie życzymy tu sobie żadnych niepożądanych atrakcji. Jeśli tylko będę pana potrzebował albo uzyskam jakąś informację, która pomoże panu wesprzeć policję, natychmiast do pana zadzwonię. O której ma pan wykład? - spytał, zmieniając temat.

Bryan spojrział na zegarek.

- Dokładnie za trzy godziny. Serdecznie zapraszam, jeśli ma pan czas. Główna aula uniwersytetu, godzina dziewiętnasta.

Sean odprowadził go wzrokiem, a potem popadł w głębokie zamyślenie.

- Panie poruczniku?

Podniósł wzrok i ujrzał stojącego w drzwiach Bobby'ego Munro.

- Przyniosłem te akta w sprawie McCardle'ego, o które pan prosił.

- Ach, tak, dziękuję.

- Czego profesor chciał na policji? No, ten gość, który właśnie wyszedł?

- Znasz go?

- Wczoraj wieczorem poznałem go u Jessiki. Przyszedł udzielać policji rad, skoro jest taki mądry?

- Podejrzewa, że w mieście może szerzyć się jakiś kult, chodzi o świrów, którzy mają się za wampiry.

Bobby wybuchnął śmiechem.

- Rzeczywiście, wielka to nowina w Nowym Orleanie!

Sean uśmiechnął się.

- Nie mogę odmówić ci racji. Dobrze, daj mi te akta. Moim zdaniem McCardle znowu zaczął, a ta kobieta znaleziona w zeszłym tygodniu w Dumpster jest jedną z jego ofiar. Trzeba wystąpić do prokuratora okręgowego o nakaz aresztowania.

Bobby wyszedł, zaś Sean wbił wzrok w akta, lecz litery wkrótce zaczęły pływać mu przed oczami. Tak, McCardle był niebezpieczny i powinien trafić za kratki, lecz z takim zagrożeniem Sean umiał sobie poradzić, gdyż wiedział, jak przyskrzynić podobnego drania, lecz zło, o którym wspomniał McAllistair...

Zaklął, żałując, że tamten w ogóle do niego przyszedł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jessica dopiero co wyszła, lecz Jeremy czuł się tak zmęczony, jakby siedział przy łóżku Mary od wielu dni i nocy. Zaczął przysypiać. Nagle ocknął się i stwierdził z przerażeniem, że oprócz niego w pokoju znajduje się jakiś człowiek.

Mężczyzna odwrócił się, zaś Jeremy odetchnął z ulgą, rozpoznając słynnego profesora McAllistaira, który podobno miał przez kilka miesięcy wykładać na uniwersytecie w Nowym Orleanie. Normalnie nie opuściłby żadnego z jego wykładów, lecz w obecnej sytuacji...

Był jednak na jego wykładzie w Transylwanii, nawet udało mu się zamienić potem z profesorem kilka słów. Wiedział, że po tamtej feralnej nocy profesor kontaktował się z rumuńską policją i powiedział coś, co spowodowało, że detektyw Florencu ponownie przyszedł porozmawiać z Jeremym, a chociaż nadal nie wierzył w istnienie wampirów, za drugim razem znacznie chętniej i uważniej słuchał jego relacji.

- Pan profesor!

- Mów mi Bryan. - Podali sobie ręce. - Jak się czujesz?

- Dobrze - skłamał Jeremy, który w rzeczywistości ze zdenerwowania znajdował się prawie na krawędzi obłądu.

- A Mary?

- Dzisiaj chyba nie najgorzej. Lekarze mówią, że skład jej krwi powoli zaczyna się stabilizować i wyniki są lepsze.

- To dobrze.

Bryan podszedł do łóżka, dotknął czoła chorej, jakby sprawdzał, czy nie miała temperatury, lecz Jeremy nie był pewien, czy tak naprawdę nie patrzył przy tym na jej szyję, podobnie jak wcześniej zrobiła to Jessica.

- Siedzisz przy niej przez cały czas?

- Właściwie tak. Przychodzą też jej rodzice, czasem wpada Nancy.

Nie wiem, dlaczego, ale nigdy nie zostawiam jej samej.

- Dlatego, że jesteś dobrym przyjacielem - rzekł cicho Bryan.

Jeremy zarumienił się lekko, spuścił wzrok.

- Staram się.

- Teraz powinienem już iść, ale wrócę. - Wbrew swoim słowom, Bryan zatrzymał się przy łóżku, a na jego twarzy odmalowała się głęboka troska.

- O co chodzi?

- To, co wydarzyło się w Transylwanii... Moim zdaniem przyda ci się pewna pomoc, potem ci to wytłumaczę. Teraz mam wykład na uniwersytecie, ale potem przyjdę, może nawet cię zmienię, bo powinieneś odpocząć.

- Byłbym wdzięczny.

Bryan już miał wyjść, lecz zawahał się w progu.

- Słuchaj, czy nie kręcił się tutaj ktoś... ktoś dziwny?

- W jakim sensie dziwny?

- Ktoś, kto twoim zdaniem nie do końca tutaj pasuje.

Jeremy zastanowił się.

- Nie, nie wydaje mi się. Przychodzą tylko lekarze, pielęgniarki, rodzina, przyjaciele... Czemu pytasz? Widziałeś kogoś podejrzanego?

- Właściwie nie jestem pewien. Wczoraj w nocy wydawało mi się... Nie, sam nie wiem. - Bryan spojrzął na zegarek. - Muszę iść, ale obiecuję wrócić. Uważaj na siebie. Gdybym mógł ci jakoś pomóc, powiedz mi.

- Powiem na pewno.

Bryan wyszedł, zaś Jeremy znów usiadł na swoim krześle. Czy widział kogoś dziwnego? W pewnym sensie Bryan McAllistair był dziwny, zadawał nieoczekiwane pytania i wydawał się zaskakująco dużo wiedzieć. Jeremy jednak czuł do niego niewytłumaczalną sympatię, więcej nawet, ufał mu, chociaż może nie powinien. Po wyjściu Bryana czuł się dziwnie zaniepokojony, jakby coś kazało mu przemyśleć wszystko ponownie, a zwłaszcza czuwać. Czuwać!

Tylko że był tak straszliwie zmęczony, głowa sama opadała mu na pierś... Starał się nie zasnąć, lecz zmęczenie wzięło górę, chociaż wiedział, co się stanie, gdy podda się senności. Nawiedzą go koszmary.

Wiedział, a mimo to nie mógł nic poradzić, zamknął oczy, jego splątane myśli wypełniła dziwna czerwona mgła...

Jessica szła przez parking, czując narastającą irytację. Lubiła noc, lubiła ciemność, lecz przez tę czerwień i zbyt szybko zapadający zmrok nagle przestała się nimi cieszyć, budziły w niej niepokój. A może co innego ją dręczyło? Na wszelki wypadek postanowiła poprosić Seana, by przydzielił jakiegoś policjanta do ochrony Mary.

Zajęta tymi myślami, nie zwracała uwagi na to, co się wokół niej dzieje. Doszła do samochodu, a wtedy coś się wydarzyło, coś, co na ułamek sekundy wprowadziło ją w panikę, gdyż w ciągu ostatnich dni zbyt często odnosiła wrażenie, że podąża za nią ciemność i lodowaty oddech

śmierdzący rozkładem. Ale panika znikła, gdy Jessica poczuła ostrze przyłożone do pleców i usłyszała głos:

- Rzuć na ziemię torebkę i kluczyki. I stój spokojnie. Jeśli będziesz grzeczna, nic ci się nie stanie.

Mimo tego ostrzeżenia, odwróciła się gniewnie, ponieważ z powodu niedawnych wydarzeń żyła w stanie wewnętrznego wrzenia, niemal na krawędzi wybuchu.

Podziałało, gdyż napastnik, który groził jej nożem sprężynowym, z zaskoczenia cofnął się o krok. Było ich dwóch, zaś Jessica przyglądała się z niedowierzaniem czarnym dżinsom, czarnym koszulom i czarnym... pelerynom. Ten ze sprężynowcem miał nawet sztuczne białe kły, doskonale widoczne, gdyż patrzył na ofiarę, otwierając usta ze zdumienia.

- Głupia suka! - powiedział do swojego kumpla. Jessica wiedziała, co miał na myśli – zobaczyła ich twarze. Zrobiło jej się dziwnie, w dodatku zaczęła ją dręczyć myśl, że w jednym rozpoznaje coś znajomego... Miał długie, potargane włosy i kilkudniowy zarost, więc może to nie pozwalało jej przypomnieć sobie, gdzie mogła go widzieć.

- Szkoda, bo ładna - odezwał się ten drugi. Wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić i zacząć trzeźwo myśleć, bo chociaż kły były sztuczne, nóż był jak najbardziej prawdziwy.

- Szargacie opinię wampirom na całym świecie - wycedziła z ironią.

- Nic ci do tego. Jesteśmy, kim jesteśmy i robimy, co musimy robić.

Miała ochotę przewrócić oczami, słysząc takie teksty.

- Nie, proszę... - zaprotestowała.

- Zamknij się - przerwał drugi. - Bierzymy twoją torebkę, kluczyki i spróbujemy trochę krwi, ale jeśli się nie zamkniesz, zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

- Coś wam powiem. Wyrzucicie ten nóż i idźcie stąd. Po prostu stąd idźcie. Pomyślcie o tym, kim naprawdę jesteście i zaoszczędźcie sobie spędzenia paru lat w więzieniu. Jeśli posuniecie się za daleko, grozi wam nawet coś więcej, dlatego lepiej zostawcie mnie, a ja nie zgłoszę tego zajścia na policji.

- Co? - spytał pierwszy i podszedł bliżej. – Nic nie rozumiesz. Nasz czas się zbliża, będziemy rządzić światem.

- Niczym nie będziecie rządzić - oświadczyła zdecydowanie.

- To ona! - prawie krzyknął drugi z chłopaków.

- Ta psycholożka, widziałem jej fotę w gazecie. No i przecież ty...

- Zmywamy się - przerwał mu pierwszy, nagle sprawiając wrażenie zakłopotanego.

- Takiego! Jest nam winna krew, dużo krwi.

- Wyrwał kumpłowi sprężynowiec, przywarł całym ciałem do Jessiki, zamierzył się.

Stała zupełnie nieruchomo.

- Ciągle jeszcze możecie odejść - rzekła cicho. Nim zdążył odpowiedzieć, coś oderwało go od niej i rzuciło nim przez parking. Uderzył o jeden z samochodów i bezwładnie osunął się po karoserii na beton, na co Jessica i drugi chłopak patrzyli z otwartymi ustami. Ku zdumieniu Jessiki jej wybawcą okazał się... Bryan McAllistair, który właśnie poprawiał sobie rękawy tweedowej marynarki.

Zarośnięty chłopak oprzytomniał i wyciągnął spod peleryny długi myśliwski nóż, a Jessica zamarła, przekonana, że tym razem Bryan nie zdąży i jednak przyjdzie jej zapłacić za swoją brawurę.

Bryan nawet nie zamierzał walczyć, z wyrazem lekkiej irytacji na twarzy błyskawicznie chwycił nadgarstek napastnika i zacisnął go w dłoni jak w imadle. Chłopak aż się skrzył i zawył z bólu, nóż z brzękiem upadł na ziemię.

- Jessico, dzwoń po policję.
- Przecież opanowałeś sytuację, więc...
- Dzwoń po policję.

Wyjęła z torebki telefon i wybrała 911. Widziała, że zarośnięty chłopak próbował wyrwać się Bryanowi i zwać, nie troszcząc się o leżącego nieopodal kumpla, lecz został stanowczo przytrzymany i usłyszał dobrą radę, wypowiedzianą niebezpiecznie cichym głosem:

- Siadaj na ziemi, ręce na kark i ani drgnij, dopóki nie przyjedzie policja, inaczej połamię ci kości. Więcej ostrzeżeń nie będzie.

Chłopak czym prędzej posłuchał, zaś Bryan spojrzał na Jessicę.

- Nic ci nie jest?
- Nie.
- Jesteś pewna? Nie zemdlejesz ani nic takiego? Powinna być mu wdzięczna, lecz jego pytanie zabrzmiało tak protekcyjnie, że zirytowała się.

- Jestem pewna, nigdy nie mdleję i całkiem dobrze mogłam poradzić sobie sama.

- Jak? Przekonałabyś ich siłą argumentów?

- Panowałam nad sytuacją - powtórzyła. Usłyszeli narastający odgłos syren, po chwili zapiszczały opony, z radiowozu wyskoczyli policjanci.

- Jeden jest tutaj - wskazał Bryan. - Drugi leży przy tamtym samochodzie. Zaatakowali tę panią.

- Czy coś się pani stało? Jest pani ranna? - spytał jeden z policjantów.

- Nie, nic mi nie jest.

- A pan?

- Też wszystko w porządku.

Policjanci nałożyli kajdanki obu chłopakom, wsadzili ich do radiowozu, poprosili Jessicę i Bryana o udanie się na posterunek celem złożenia zeznań. W tym momencie nadjechał nieoznakowany samochód, wysiadł z niego Sean Canady i obrzucił przyjaciółkę przenikliwym wzrokiem.

- Co się stało? - spytał Jessicę.

- Dwóch chłopaków z nożem - wyjaśniła ze znużeniem.

Przeniósł baczne spojrzenie na Bryana.

- Dziwne, że również pana spotykam na miejscu zdarzenia.

- Wcale nie dziwne. Przyjechałem sprawdzić, jak się czuje ta dziewczyna, która została poszkodowana w Rumunii.

- Odwiedzałeś Mary? - zdumiała się Jessica.

- Tak.

- Ale czemu?

- To może poczekać, najpierw muszę się dowiedzieć, co zdarzyło się tutaj - zażądał stanowczo Sean, patrząc na nich surowo.

- Zostałam napadnięta, a pan McAllistair zjawił się w samą porę.

- W samą porę? - Sean przeszywał Bryana wzrokiem. - Interesujące...

Bryan wzruszył ramionami.

- Ponieważ miałem jeszcze trochę czasu do wykładu, postanowiłem zajrzeć do szpitala i spytać, czy nie ma poprawy. Tak, rzeczywiście zjawiałem się na parkingu w samą porę, lecz chyba nie było takiej potrzeby, gdyż Jessica zamierzała pokonać napastników siłą argumentów. I pozwolić im odejść.

- Rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Co? - Sean popatrzył na nią w podobny sposób.

- Chwileczkę, czemu ty pracujesz w sobotę? - spytała, nie odpowiadając.

- Długa historia i w dodatku nie ma teraz znaczenia - uciął. - Chciałaś, żeby napad z użyciem noża uszedł im płazem?

- Uznałam to za zwykły szczeniacki wyglup, przez który nie muszą potem mieć przez całe życie zapisane w dokumentach, że byli karani sądownie - wyjaśniła, po czym westchnęła. - W porządku, myliłam się.

Tak, popełniła błąd, to te peleryny i śmieszne plastikowe zęby ją zmyliły. Niestety, ci dwaj naprawdę mogli wyrządzić komuś krzywdę.

- Ty i profesor McAllistair musicie pojechać z nami i złożyć zeznania.

- Wy się znacie?

- Od jakiejś godziny - rzekł Sean.

Jessica przeniosła spojrzenie na swego lokatora, nawet nie ukrywając ciekawości.

- Zaszedłem dzisiaj na policję - wyjaśnił. - Obawiam się, że w Nowym Orleanie szerzy się niebezpieczny kult.

Parsknęła śmiechem.

- Gdyby się nie szerzył, nie byłibyśmy w Nowym Orleanie. Mamy tu na pęczki wampirów, zombie, wyznawców wudu i kogo tylko chcesz.

- Nie zamierzam przerywać tej rozmowy, ale niedługo muszę stawić się na uniwersytecie, więc jeśli trzeba jeszcze wypełnić jakieś dokumenty...

- Ma pan rację, zbierajmy się. - Sean wskazał na swój wóz.

- Dzięki, pojedę własnym samochodem - odparła Jessica.

- Ja co prawda nie mam samochodu, ale moja gospodyni zapewne chętnie mnie podwiezie - rzekł gładko Bryan.

Nie mogła odmówić, więc wsiedli razem do jej wozu. Ustawiała tylne lustro nieco skośnie, by móc spoglądać na pasażera, gdy będzie zadawać mu pytania.

- Cały czas nie rozumiem, co masz wspólnego z Mary. I czemu poszedłeś do Seana.

Ściągnął brwi.

- A co ty robiłaś w szpitalu? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Wszyscy wiedzą, co. Odwiedzałam Mary.

- Jesteś jej krewną?

- Nie, spotkałam ją w Transylwanii.

- Co?!

Spojrzała na niego z irytacją.

- Tak się składa, że akurat odbywała się tam międzynarodowa konferencja psychologiczna, przypadkiem natknęłam się na Mary i jej przyjaciół. A ty skąd ją znasz?

- Spotkałem ją w Transylwanii. Tak się składa, że zostałem tam zaproszony, by wygłosić wykład na uniwersytecie.

Spojrzała na niego podejrzliwie, a on odpowiedział równie podejrzliwym wzrokiem.

- Czemu chodziłeś na policję? - zaatakowała. Nadal przyglądał jej się ze ściągniętymi brwiami.

- Słucham - ponagliła. Uniósł ręce obronnym gestem.

- Ponieważ to jedno z moich zadań.

- Co przez to rozumiesz?

- Znam się na kultach, wierzeniach i podobnych rzeczach, wiem też doskonale, że problemy z nimi zaczynają się w momencie, gdy pojawiają się fanatycy. Jeśli ktoś ma się za kapłankę wudu i zajmuje się rzucaniem miłosnych zaklęć, jest to niegroźna zabawa, ale jeśli ktoś naprawdę uwierzy, że jest sługą szatana czy innych ciemnych mocy, to jeden Bóg raczy wiedzieć, do czego może to doprowadzić. Ze względu na dziedzinę, którą się zajmuję, kilkakrotnie byłem zatrudniany jako ekspert w przypadkach, gdy grupa fanatyków posuwała się zbyt daleko i niewinni ludzie padali ich ofiarą. Ponieważ obawiam się, że coś podobnego może wydarzyć się również tutaj, poszedłem na policję i podzieliłem się moimi obawami z porucznikiem Canadym.

Zmarszczyła brwi.

- Patrz na drogę - ostrzegł.

Uświadomiła sobie, że zbyt długo przygląda mu się w lusterku, więc czym prędzej wbiła wzrok przed siebie, lecz i tak była aż nadto świadoma jego obecności. Zdecydowanie wolałaby, żeby wznosiła się między nimi kilkumetrowa betonowa ściana, chociaż z drugiej strony...

Z drugiej strony był tak pociągający, że potrafiła przy nim zapomnieć o wszystkim i myśleć tylko o tym, jak by to było, gdyby...

Może to jego sposób poruszania się, może sposób, w jaki na nią patrzył - nie wiedziała, co tak działa, w każdym razie coś w nim działało na nią wyjątkowo uwodzicielsko. Surowo nakazała sobie wziąć się w garść. Bryan McAllistair okazał się niebezpieczny, gdyż zagrażał jej wewnętrznemu spokojowi. Musiała mieć się na baczności.

Kiedy tylko złożyli zeznania, Bryan wybiegł, spiesząc na swój wykład, zaś Jessica i Sean wymienili spojrzenia.

- Był wtedy w Rumunii - poinformowała Jessica.

- I w różnych innych miejscach w Europie, gdzie miały miejsce podobne wydarzenia - dopowiedział Sean.

- A dziś zjawił się dokładnie wtedy, gdy zostałam napadnięta.

- Właśnie.

- Jakoś dużo tych zbiegów okoliczności... Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- To samo można powiedzieć w odniesieniu do ciebie.

Nim zdążyła spytać, co właściwie miał na myśli, do pokoju wpadł Bobby Munro.

- Jessica, słyszałem, co się stało. Napadnięto cię? Nic ci nie jest? - Uściskał ją, lecz szybko odsunął się od niej z wyrazem zakłopotania na twarzy. - Przepraszam, panie poruczniku, ale właśnie się dowiedziałem...

- Wszystko w porządku - zapewnił go Sean. Bobby znów z troską spojrział na Jessicę.

- Na pewno nic ci nie zrobili?

- Nic.

- We właściwym momencie zjawił się profesor McAllistair, czego ci dranie na pewno bardzo teraz żałują. - Sean podchwycił wzrok Jessiki i

dodał pospiesznie: - Co wcale nie oznacza, że nasza dzielna pani Frazer nie poradziłaby sobie sama.

- Pewnie jeszcze nie wiecie, że ci dwaj zostali zatrzymani parę dni temu, ale musieliśmy ich wypuścić, bo nie udało się im nic udowodnić. To Cal Hodges i Niles Goolighan - zaraportował Bobby.

- Jedna z pielęgniarek w szpitalu zgłosiła, że jakieś dwa podejrzane typy kręcą się wokół budynku.

- I to byli ci dwaj?

- Prawdopodobnie, chociaż ostatecznie nie zdołała ich zidentyfikować. Ściągnęli prawnika, tak się tu wydierał o ich prawach, że chyba na ulicy było go słychać.

- Tym razem już się nie wykręcą - podsumował Sean.

- Dobrze, ja właśnie skończyłem służbę, muszę bieć, mam dodatkową robotę, ostatnio sporo mi się ich uzbierało, bo próbuję odłożyć trochę pieniędzy. Mogę brać dodatkowe prace, prawda, panie poruczniku?

- Możesz.

- Czyli ci dwaj już wcześniej kręcili się pod szpitalem... - mruknął na poły do siebie Sean, gdy znów zostali sami.

- Czy to możliwe, by ich celem była Mary?

- zastanowiła się na głos Jessica. - Niemożliwe, to w końcu tylko para durnych dzieciaków.

- Musisz zacząć na siebie uważać.

- Ja zawsze uważam.

- Nie, musisz naprawdę zacząć uważać - rzekł z naciskiem.

Jessica nagle wydała zdławiony okrzyk.

- Ale ze mnie idiotka!

- Co się stało?

- Tak mi się właśnie coś wydawało...

- Ale co? - ponaglił ze zniecierpliwieniem.

- Ja jednego z nich już widziałam, ba, rozmawiałam z nim. Rok temu odbyło się sympozjum na temat okultyzmu w Nowym Orleanie, Cal tam był, wciągnął mnie potem w rozmowę. Jak mogłam tego nie skojarzyć?

- To proste. Spotykasz setki ludzi. Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz. Nie chodziło o jakąś tam zwykłą pogawędkę. Cal chciał spotykać się z psychologiem i przedyskutować swoje problemy, lecz wolał konsultacje z mężczyzną, a nie z kobietą, więc umówiłam go z moim kolegą, doktorem Darnellem. W rozmowie ze mną zdradził też, że oboje rodzice nie żyją, zaś on został z malutką siostrą i nie wie, co począć. Zajął się tym, dziewczynkę zabrali ludzie z opieki społecznej.

- Myślisz, że chciał się na tobie zemścić?

- Ależ skąd! On się bardzo ucieszył, małej też jest dobrze, ponieważ została odwieziona do ciotki, która mieszka na Środkowym Zachodzie. Wszystkie strony były bardzo zadowolone z tego rozwiązania. Przyznam ci się, Sean, że jestem wytracona z równowagi.

- Nic dziwnego, zostałam napadnięta.

- Nie o to chodzi. Zobacz, w Transylwanii ofiarą padli studenci, których znałam. Teraz zaatakował mnie ktoś, kogo też znam. Tylko widzisz, ja mogłabym przysiąc, że Cal jest naprawdę dobrym, porządnym chłopakiem. Nie pojmuję, jak mógł tak postąpić.

- Słuchaj, nie zdołasz uratować całego świata i pomóc wszystkim ludziom. Czasem komuś odbija, czasem ktoś jest zły i nic nie możesz na to poradzić. I nie zaczynaj myśleć, że wszystkie nieszczęśliwe wydarzenia

zaczynają kręcić się wokół ciebie. Znałaś tamte dzieciaki, znasz jednego z napastników, lecz to czysty zbieg okoliczności.

- Być może, ale jeśli jednak zachodzi jakiś związek między tymi wydarzeniami? Sean, mógłbyś wysłać któregoś ze swoich ludzi do pilnowania Mary?

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Naprawdę sądzisz, że ci dwaj próbowali dostać się do niej? To już chyba za daleko posunięte podejrzenia.

- Obawiam się, że w tej sprawie żadne podejrzenia nie są zbyt daleko posunięte, raczej na odwrót.

- Ci dwaj trafią za kratki i już tam zostaną - zapewnił.

- A jeśli wyjdą za kaucją?

- Załatwię z prokuratorem okręgowym, żeby nie mieli takiej możliwości.

- Sean, będąc w Rumunii, nie przypuszczałam, że to zło podaży za nami, a jednak... Naprawdę boję się o Mary i powinnam była obawiać się o nią od samego początku, nie zaś uspokajać się myśleniem, że wszystko będzie dobrze.

- Nie powinnaś się oskarżać, przecież ty nie ponosisz żadnej winy. Dobrze, zapewnię Mary ochronę, chociaż nie bardzo wiem, co powiem moim ludziom. Właściwie na co mają uważać i przed czym mają ją chronić? - Potrząsnął głową. - Będę musiał ściągnąć kogoś, kto jest już po służbie, bo zabraknie mi ludzi. Pewnie chcesz, żeby ktoś tam pojechał od razu?

- Tak.

- Wielka szkoda, że Bobby wziął dzisiaj dodatkową robotę.

- Masz tu jeszcze innych dobrych policjantów.

- To prawda. Daj mi parę minut.

I rzeczywiście po kilku minutach wrócił.

- Jeden z chłopaków będzie w szpitalu za pół godziny.

- Dopiero?

Spojrzał na nią wymownie.

- Potrzebuje czasu, by dojechać na miejsce, zaparkować i dojść do jej pokoju, to zajmie dwadzieścia do trzydziestu minut. Musiałby latać, żeby znaleźć się tam szybciej.

- Może ja sama powinnam tam wrócić?

- I tak nie zdołasz być wcześniej od niego. Westchnęła.

- Pewnie masz rację. W takim razie... Cóż, może pójdziemy na ten wykład?

Jeremy budził się kilkakrotnie, gdy do izolatki zaglądały pielęgniarki, zaszedł też lekarz, przynosząc pocieszające wieści - wyniki testów stopniowo zaczęły się poprawiać, morfologia wracała do normy. Przyszła również matka Mary, lecz niedługo potem zabrał ją mąż, twierdząc, że powinna poświęcić trochę czasu także reszcie rodziny. Chociaż wszyscy powtarzali, że chora wygląda lepiej, Jeremy czuł narastający niepokój, dlatego postanowił spędzić noc w szpitalu, nie spuszczać Mary z oka.

By nie zasnąć, próbował oglądać telewizję, ale i tak od czasu do czasu zapadał w drzemkę, za każdym razem przeżywając we śnie ten sam koszmar. Znowu był w tamtych starych ruinach w Transylwanii i oglądał wciąż ten sam film, który leciał na ekranie telewizora. Na filmie Mary siedziała przed lustrem i czesała włosy, uśmiechnięta, swobodna, każdy jej

ruch wydawał się taki zmysłowy... Naraz odwróciła się, wyczuwając w pokoju czyjąś obecność.

Przygniatająca ciemność położyła się na piersi Jeremy'ego ołowianym ciężarem, niemal uniemożliwiając mu oddychanie, odbierając mu siły, odbierając mu zdolność myślenia, odbierając mu... człowieczeństwo. Cokolwiek wtargnęło do tego pokoju, było złe.

Lecz Mary nie bała się, przeciwnie, powitała zbliżającą się ciemność uśmiechem, pragnęła jej dotyku, wygięła się jak kotka, spojrzała wyczekująco. Od otwartego okna powiał wiatr, odrzucił jej włosy do tyłu, obnażył szyję i dekolt, cieniuteńka, przejrzysta szata zsunęła się niżej. Mary zerwała z szyi srebrny krzyżyk.

Jeremy starał się obudzić, powstrzymać ją, lecz nie mógł, cień nieubłaganie się zbliżał, aż ogarnął ją, zaś ona odchyliła głowę do tyłu, na jej twarzy odmalowała się ekstaza.

- Nie! - krzyknął Jeremy z całych sił i ten krzyk obudził go.

Telewizor nie działał. Mary dalej leżała na łóżku. Było chłodno, skądś ciągnął ziąb, jakby pootwierano okna, lecz w szpitalu w ogóle nie otwierano okien, cały czas działała klimatyzacja. Nagle Jeremy spostrzegł, że drzwi do izolatki są uchylone.

Z powrotem przeniósł wzrok na Mary. Nadal leżała na wznak z otwartymi oczami, wpatrując się przed siebie, lecz coś się zmieniło.

Uśmiechała się.

Wstał, podszedł do łóżka, wziął ją za rękę. Nie reagowała, uśmiechała się tylko.

- Już dobrze, nic się nie dzieje - zapewnił.

W tym momencie dostrzegł jej srebrny krzyżyk leżący daleko w kącie, łańcuszek był zerwany. Rozległo się pukanie do drzwi, Jeremy odwrócił się gwałtownie i zobaczył w progu potężnego policjanta.

- Chciałem tylko powiedzieć, synu, że jakby co, to ja tu jestem.

- Dziękuję. Pan nas pilnuje? Czemu?

- Z polecenia porucznika Canady'ego. Podobno jakaś psycholog was zna i martwi się o wasze bezpieczeństwo. Ale nic wam nie grozi, wszystko będzie dobrze.

- Na pewno.

Jeremy zauważył, że mężczyzna ma na szyi masywny srebrny krzyż, którego nawet nie próbował ukryć pod mundurem.

Nic nie będzie dobrze, pomyślał. Nie wiedział czemu, ale miał nieodparte przeczucie, że wszystko już diabli wzięli.

A Mary uśmiechała się nadal.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bryan McAllistair okazał się znakomitym wykładowcą. Nie tylko znał na wylot swoją dziedzinę wiedzy, ale także wiedział, kiedy mówić z powagą, a kiedy pozwolić sobie na żart, który nie tylko dawał słuchaczom chwilę relaksu, ale czasem pozwalał też lepiej zrozumieć pewne kwestie. Tembr jego głosu oraz sposób mówienia również robiły wielkie wrażenie, podobnie jak uśmiech, który od czasu do czasu pojawiał się na jego twarzy. No i wygląd...

Jest uderzająco przystojny, pomyślała Jessica, zresztą nie po raz pierwszy. W jej sercu coś się poruszyło, jakby dawne, dawne wspomnienie, lecz potrząsnęła głową, postanawiając nie dać się oczarować temu wyjątkowemu wykładowcy, który dosłownie uwodził swoje audytorium. Nie wiedziała, ile mu płacili, lecz był wart każdych pieniędzy.

- Przyszedł prosto do ciebie, a ty otrzymałeś polecenie od władz, żeby go wysłuchać? - szepnęła Seanowi do ucha.

- Cóż, przyczynił się do rozwiązania kilku morderstw rytualnych, jest prawdziwym ekspertem. Mam wrażenie, że traktujesz go podejrzliwie.

Myślisz, że nie jest tym, za kogo się podaje?

- Właśnie.

- Ale dlaczego?

- Dlatego.

- To nie jest odpowiedź.

Popatrzyła na stojącego na katedrze Bryana.

- Ponieważ on tu przyjechał w jakimś określonym celu. Jest niebezpieczny, czuję to.

Westchnął.

- Dobrze, poddamy go testowi. Wezwiemy wszystkich naszych przyjaciół, jego też zaprosimy, będzie jedynym obcym. Jeśli cokolwiek jest z nim nie tak, ktoś z naszych to zauważy, podejrzany zdradzi się prędzej czy później. A potem zastanowimy się, co z nim zrobić.

- Sama nie wymyśliłabym tego lepiej.

Kiedy wykład dobiegł końca, wybuchła prawdziwa burza braw, ba, Bryanowi zgotowano owację na stojąco, zresztą ku wielkiej irytacji Jessiki. Sean, który wstał również i zapamiętale bił brawo, zerknął na nią z rozbawieniem.

- Wiesz, on nie zakradł się do miasta ukradkiem - zauważył ze śmiechem. - Ale dobrze, sprawdzimy go dzisiaj. Co ty na to?

- Jak to? Zamierzasz z marszu urządzić przyjęcie?

- Nieduże. Zaproszę go do nas, więc będzie tylko nas czworo. Zaraz zadzwonię do Maggie, uprzedzę ją. Posiedzimy sobie przy kawie i pączkach.

- Dobrze, zrobmy tak.

- Weź tylko pod uwagę, że on może odmówić

- ostrzegł Sean.

Bryan nie odmówił jednak. Czekali niemal całą wieczność, by tłum wielbicieli wreszcie przestał go oblegać i mogli się do niego przedrzeć. Kiedy Sean zaprosił go do swojego domu na kawę, Bryan uśmiechnął się dziwnie i spojrzał na Jessicę.

- Z przyjemnością przyjdę.

Odniosła wrażenie, jakby rzucili mu rękawicę, zaś on podjął ją z autentycznym rozbawieniem.

Porucznik mieszkał w pięknym domu, ongiś była to rezydencja plantatora. Pani domu okazała się równie piękna - pełna istic królewskiej gracji, płomiennie rudowłosa, o zagadkowych orzechowych oczach. Canady'owie mieli trójkę dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę, cała trójka entuzjastycznie wy-ściskała tatę oraz ciocię Jessicę, z powagą podała rękę panu profesorowi, a potem grzecznie udała się do łóżek.

Maggie Canady wyglądała na zadowoloną z wizyty gościa, Bryan wiedział od razu, że była bardzo towarzyską osobą. Widział również, że przygląda mu się z zaciekawieniem i z taką samą podejrzliwością jak jej mąż i Jessica. Proszę bardzo, mogli go podejrzewać do woli, potrafił mieć się na baczności.

- Wspaniały dom - oświadczył z przekonaniem, gdy Sean oprowadził go po parterze historycznej rezydencji, którą mogliby pokazywać turystom.

- Pewnie zastanawia się pan, jak było mnie stać na zakup podobnego domu z policyjnej pensji? - spytał Sean.

- Szczerze powiedziawszy, w ogóle o tym nie myślałem, po prostu podziwiałem niezwykłą urodę tego miejsca.

- Maggie odziedziczyła ten dom, jest w jej rodzinie od pokoleń.

- Zarówno ten dom, jak i pańskie dzieci, a nade wszystko pana żona są czymś... niezrównanym.

Na widok wyrazu twarzy Seana Bryan poczuł zazdrość, gdyż oto miał przed sobą człowieka, który nie tylko kochał swoją żonę, ale nadal był w niej zakochany.

- Moja żona to prawdziwa cudotwórczyni. Nie tylko wspaniale zajmuje się dziećmi, ale też prowadzi własny sklep w Dzielnicy Francuskiej...

- Panowie, kawa gotowa - zawołała Jessica, wychodząc z kuchni. - Chyba że wolicie herbatę? To jak?

Uśmiechała się przy tym, lekko przechylając głowę na ramię, zaś Bryan czuł, jak na widok tej delikatnej kobiety o jasnych włosach budzi się w nim dawna tęsknota za kimś, kto... Kto od równie dawna nie żył.

A jednak Jessica pociągała go tak, jak nikt go nie pociągał od całych wieków.

- Ja chętnie napiję się kawy - odparł.

Poszli za nią. Chociaż w domu znajdowała się elegancka jadalnia, usiedli w kuchni przy wielkim stole, który ongiś służył do przygotowywania posiłków dla państwa i służby.

- Podobno ten dom znajduje się w posiadaniu pani rodziny od pokoleń - rzekł Bryan, zwracając się do Maggie. - Widziałem u szczytu schodów piękny portret. Jest pani uderzająco podobna do jednej ze swoich prababek.

- Dziękuję - wymruczała jakby z zakłopotaniem. - Może skosztuje pan ciasta orzechowego?

- Nie, dziękuję, poprzestanę na kawie.

- Kiedy to najlepsze ciasto orzechowe na świecie

- wtrąciła z uśmiechem Jessica. Bryan spojrział na panią domu.

- Pani je piekła?

- Nie, ja - odezwał się Sean. - Zdziwiłby się pan, ilu policjantów ogląda w telewizji programy kulinarne.

Bryan roześmiał się i poprosił o porcję ciasta.

- I jak ci idzie z moim kostiumem kąpielowym?

- Maggie spytała Jessicę, po czym zerknęła na gościa i dodała wyjaśniająco: - Ona jest świetną projektantką.

- Mam już kilka szkiców, ale jakoś powoli się to posuwa, przepraszam.

- Nie przepraszaj, chcę tylko, żebyś wiedziała, że biorę wszystko, co zaprojektujesz, oczywiście najlepsze dla mnie, reszta do mojego sklepu. - Przeniosła wzrok na Bryana. - A więc jest pan profesorem?

Skinął głową.

- Tak, przez kilka miesięcy będę wykladał na tutejszym uniwersytecie.

- Ale poszedł pan do Seana na policję. I mieszka pan u Jessiki. Co za dziwne zbiegi okoliczności

- rzekła, patrząc mu prosto w oczy.

Nachylił się nad stołem, nie spuszczając z niej wzroku.

- Ostrzegłem policję, ponieważ w Nowym Orleanie szykują się jakieś poważne kłopoty.

Uniosła brew.

- Przywiózł je pan ze sobą? - spytała, nie bawiąc się w subtelności.

- Nie, proszę pani - odparł z uśmiechem. - Nie przywiozłem ich ze sobą.

- Tylko przyjechałeś za nimi, tak? - odgadła Jessica.

- Niczego nie ukrywam - rzekł, jakby właśnie o to go podejrzewali. - Wyjaśniłem już wszystko kilka razy.

- Ale nie mnie - zauważyła uprzejmie Maggie.

- Ja również o niczym nie wiem - dodała Jessica.

Spojrzał przepaszająco na Seana, gdyż ten musiał wysłuchać jego tłumaczeń ponownie.

- Ponieważ znam się na dawnych wierzeniach i wiem, w jaki sposób ich praktykowanie może wymknąć się spod kontroli, byłem w stanie kilkakrotnie pomóc policji różnych krajów, gdy prowadzono śledztwo w sprawie morderstw popełnionych w związku z uprawianiem jakiegoś kultu. Niektóre z ofiar zginęły podczas takich tajemniczych imprez, jak ta niedawna w Transylwanii. Jeśli wierzyć pogłoskom, następny na liście jest Nowy Orlean, odbędzie się tu dzika, niebezpieczna zabawa.

- Seksparty w Nowym Orleanie? - spytała Jessica, po czym wymownie wzruszyła ramionami. - Co za szok!

- Mówimy o czymś poważniejszym i bardziej niebezpiecznym. Tematem przewodnim mają być wampiry, ubrania ze skóry i lateksu, odpowiednie akcesoria...

Jessica dość gwałtownie wstała od stołu.

- Może dolać komuś kawy?

- Ja dziękuję - odparła Maggie.

- Takie imprezy nie są tu niczym nadzwyczajnym - zauważył Sean.

- To prawda - poparła go żona. - Nawet w jednym z najlepszych hoteli ma odbyć się jesienią wielki bal z lekko sadomasochistycznym podtekstem. Chętni będą wiązani. Takie rzeczy są tutaj na porządku dziennym.

- W najbliższy piątek będzie festyn wudu z różnymi atrakcjami - wtrąciła Jessica. - Jedna z moich pacjentek wystąpi tam jako tancerka.

- Na Bourbon Street znajdzie pan dowolnie dużo podobnych imprez, profesorze - podsumował Sean.

Bryan popatrzył na nich twardo.

- Ale to, co wydarzyło się w Rumunii, nie przypomina typowych nowoorleańskich zabaw.

Zapadła cisza.

- Te mordercze zabawy, o których mówię, to bale wampirów.

Filizanka Jessiki zagrzechotała o spodeczek.

- Bale ludzi, którzy uważają się za wampiry

- skorygowała pospiesznie Maggie, lecz jej głos brzmiał dziwnie.

- Myślę, że Jessica mogłaby coś o tym wiedzieć - ciągnął Bryan.

- Co?!

Uśmiechnął się.

- Wybacz, chodziło mi o to, że pewnie jako psycholog nieustannie rozmawiasz z jakimiś dziwnymi ludźmi. Zresztą nie tylko rozmawiasz. Ci dwaj dzisiaj...

Machnęła ręką.

- W tym mieście znajdziesz całą masę fanów Anne Rice i innych autorów powieści o wampirach.

- Znajdziesz też takich, którzy biorą fantazje za rzeczywistość.

- Wiem, co próbujesz powiedzieć - stwierdziła z lekką irytacją. - Owszem, niektórzy z powodu swoich przekonań, jakkolwiek błędnych, stają się niebezpieczni.

- Rozmawiałaś z nimi, prawda?

- To znaczy z kim? - spytała ostrożnie.

- Z ludźmi, którzy uważają się za wampiry, praktykują takie rytuały jak picie krwi, również z tymi, którzy mają się za wampiry na poziomie duchowym, wysysające z innych siłę życiową.

Skinęła głową.

- W takim razie zapewne wiedziałabyś od nich, gdyby coś się szykowało.

- Tutaj zawsze coś się szykuje.

- Nie mówię o zwykłych zabawach, lecz o czymś poważnym, takim jak w Transylwanii.

- Moim zdaniem na tamtej imprezie mógł nastąpić atak zbiorowej hysterii... - zaczęła.

- Jedna dziewczyna omal nie zginęła. Nadal nie wiemy, czy z tego wyjdzie. Byłoby więcej ofiar, gdyby policja nie przyjechała na czas, jestem tego absolutnie pewien.

Sean pochylił się do przodu, splótł palce.

- Dobra, zreasumujmy. Ktoś organizuje imprezy i zaprasza na nie niczego nieświadomych gości, którzy mają stanowić danie główne albo dla grupy perwersyjnych bogaczy, albo dla seryjnych morderców seksualnych, albo...

- Albo? - rzekł Bryan, gdy policjant urwał. Sean wzruszył ramionami.

- Albo dla wampirów. Jessica miała sceptyczną minę.

- Ktokolwiek to jest, czemu miałyby przyjeżdżać akurat tutaj?

- Bo tu nawet nie trzeba się ukrywać. Zwróciłabyś uwagę na jednego więcej świra w czarnej pelerynie? Sama z nimi rozmawiasz, wcale się ich nie obawiając.

- On ma rację - poparł go nagle Sean.

- Przestańcie na mnie obaj patrzeć takim wzrokiem, bo robi mi się nieswojo - zażądała. - Zgadza się, rozmawiam z podobnymi osobami, ale nie wolno mi zdradzać szczegółów tych rozmów. Tajemnica zawodowa.

- Tak, ale gdybyś dowiedziała się o czymś niepokojącym, musisz powiadomić któregoś z nas - zażądał Sean.

Bryan postarał się ukryć zadowolenie z faktu, że policjant przynajmniej podświadomie zaakceptował go jako partnera.

- Nigdy nie pozwoliłabym, żeby stało się coś złego. Zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić. A teraz wybaczenie, ale pora się zbierać, zrobiło się późno. Maggie, serdeczne dzięki za poczęstunek.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Hej, zostaw te talerze, ja się nimi zajmę.

Bryan podniósł się również, wyciągnął rękę do pani domu.

- Ja także dziękuję. Było mi bardzo miło panią poznać.

- Chętnie ujrzę pana ponownie.

Chociaż zostało to powiedziane bardzo uprzejmie, Bryan nie był pewien, czy w tych słowach nie zabrzmiało również pewne ostrzeżenie.

Sean odprowadził ich do drzwi, wsiedli do samochodu.

- Byłeś kiedyś w Nowym Orleanie? - zagadnęła Jessica, gdy wracali do domu.

- Byłem.

- Kiedy? Jeszcze przed huraganem Katrina?

- Tak.

Przyglądał jej się, obserwując profil Jessiki w świetle mijanych lamp i neonów.

- To wspaniałe miasto. I bardzo dobrze sobie radzi - rzuciła niemal gniewnie, jakby chciała nie tylko powiedzieć, że Nowy Orlean dochodzi do siebie po katastrofie, która go dotknęła, lecz także przekonać Bryana, że on się myli, gdyż w tym cudownym mieście, które autentycznie kochała, nie ma miejsca na czyste, nieludzkie zło.

W rzeczywistości irytował ją głównie fakt, że Bryan tak bardzo działał na jej zmysły - gorzej nawet, gdyż budził coś głęboko skrytego w jej duszy.

Dalsza droga przebiegła w milczeniu. Jessica zaparkowała pod domem, wysiedli, podeszli do drzwi. Dziwne, miała trudności z trafieniem kluczem do zamka.

- Bardzo mi się podobał twój wykład. Nie tylko sama treść, ale też sposób, w jaki potrafisz ją przekazać.

- Dziękuję. To pewnie kwestia długiej praktyki. Wreszcie udało jej się otworzyć drzwi. Weszli do domu, gdzie panowała ciemność i cisza, a wtedy nastąpił niezręczny moment, gdyż żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

- Dziękuję za to zaproszenie do domu Seana. Było mi miło poznać twoich przyjaciół, doceniam też fakt, że Sean mi ufa.

Przechyliła głowę na bok.

- Mam nadzieję, że jesteś godzien tego zaufania.

- Przysięgam, że jestem.

Jessica nie ciągnęła tematu, udała ziewnięcie.

- Cóż, późno. Dobranoc.

- Dobranoc.

Jednocześnie ruszyli w stronę schodów i jednocześnie zatrzymali się.

- Przepraszam - rzekł Bryan. - Ty pierwsza.

- Nie, gość ma pierwszeństwo. Roześmiał się i chwycił ją za rękę.

- To przecież bardzo szerokie schody. Spuściła wzrok, potem zerknęła na Bryana spod rzęs. Przypomnił sobie powiedzenie, że oczy są zwierciadłem duszy, zaś Jessica miała przepiękne oczy, widniała w nich i namiętność, i siła, i dziwna bezbronność. Dotyk jej dłoni zdawał się palić go żywym ogniem, a od tego żaru krew aż kipiała mu w żyłach. Naraz z całego serca zapragnął powiedzieć na głos:

- Umarłbym dla ciebie.

Co też mu chodziło po głowie?

Śmiech zamarł mu na ustach.

- Zmieścimy się oboje - dokończył niby nonszalanckim tonem, lecz nie do końca mu się to udało, gdyż w jego zmienionym głosie brzmiała z trudem skrywana namiętność.

- Oczywiście. - Zabrała rękę.

Weszli na schody, a gdy dotarli na piętro, zatrzymali się.

- Dobranoc - powtórzyła, lecz nie ruszyła się z miejsca.

- Dobranoc.

To ona pierwsza znalazła w sobie siłę, by cofnąć się o krok.

- Do jutra - rzekł Bryan i ruszył w stronę swojej sypialni.

- Do jutra. - Oddaliła się i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy tylko Bryan znalazł się w swoim pokoju, zrzucił z siebie ubranie i wskoczył pod prysznic, myśląc, że zgodnie ze starą prawdą ciało rzeczywiście jest słabe. Długo stał pod biczami lodowatej wody, aż jego męskość opadła wreszcie. Starał się myśleć o tym, co miał do zrobienia w najbliższych dniach, musiał zachowywać szczególną ostrożność, gdyż to,

co tropił, znajdowało się znacznie bliżej, niż sądził do tej pory. Nie mógł jednak skupić myśli na swoich planach, gdyż cały czas widział przed sobą Jessicę.

Te oczy...

Wyszedł spod prysznic, narzucił na siebie miękki szlafrok z logo Rezydencji Montresse wyhaftowanym na kieszeni. Wrócił do sypialni i włączył telewizor, lecz to nic nie dało, nadal nie mógł się na niczym skupić, był cały podminowany. Zaklął, otworzył drzwi na balkon i wyszedł.

Noc była łagodna, wiał lekki wiatr, przynosząc zapach wiosennych kwiatów, dookoła panował zupełny spokój. Niebo znów miało czerwony odcień. Naraz Bryan zauważył coś kątem oka, odwrócił się.

Ona również stała na balkonie, obserwowała go, milcząca i nieruchoma. Stali tak przez jakiś czas, przypatrując się sobie w dziwnym świetle czerwonego księżycy. Bryanowi serce biło tak mocno, jakby miało wyskoczyć mu z piersi. Coraz wyraźniej czuł ciepło jej ciała, jakby zbliżył się do niej, a przecież nadal tkwił w tym samym miejscu. Miał ochotę powiedzieć wiele rzeczy - szalonych rzeczy - lecz nie powiedział ani jednej z nich.

Nie wiedział, czy to on podszedł do niej, czy też ona do niego, w każdym razie w pewnym momencie nie dzielił ich już żaden dystans.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wziął Jessicę w ramiona i poczuł, jakby nappełnił go ogień. Oboje drżeli.

Pocałował ją, rozkoszując się słodyczą jej warg, dotykiem smukłego, lecz silnego ciała, przytulonego do niego w zniewalający sposób. Przez kilka chwil zdawała się trwać, jakby tylko przyjmując pocałunek, jakby zastanawiając się, potem podjęła decyzję i zareagowała. Rozchyliła usta, na dotyk jego języka odpowiedziała chętnie, śmiało, żarliwie. Bryan poczuł, jak ona go zaprasza, zachęca, równie spragniona jak on, a gdy otrzymał to przyzwolenie, przesunął dłonią wzdłuż jej pleców, drugą zaczął gładzić ją po twarzy, gdy tymczasem ręce Jessiki wędrowały po jego karku, po barkach, dotykając, masując, pobudzając...

Wreszcie przerwał pocałunek, by móc zajrzeć jej w oczy. Oddychał szybko, nierówno, samym wzrokiem zadając pytanie. Jessica ujęła jego twarz w dłonie, jakby potrzebowała upewnić się, że wzrok jej nie zawodzi, że to wszystko dzieje się naprawdę, a tym gestem dała mu milczącą odpowiedź. Mogli nadal sobie nie ufać, lecz nie miało to żadnego znaczenia w obliczu namiętności, jaka nimi powodowała.

Wziął ją na ręce, wydała mu się lekka jak piórko, bez wahania wszedł do jej pokoju i złożył na łóżku, gdzie na świeżej białej pościeli kładła się czerwona pościel. Oboje mieli na sobie szlafroki, które rozchyliły się z łatwością, odsłaniając ciała. Dotykała go, z każdą chwilą budząc w nim coraz większy głód, pragnął poznać ją całą, eksplodować w

niej, pożądanie stawało się nie do zniesienia, prawie rozdzierało go na strzępy.

Znowu odnalazł jej usta, zatonął w ich słodocy, potem pieścił jej skórę centymetr po centymetrze palcami, wagami, językiem, wyczuwając każdy jej ruch, każdy przebiegający ją dreszcz, a potem to jej usta przesuwają się po jego szyi, obojczykach, ramionach, ręce błądziły chciwie po całym ciele, poznając, rozpalając, kusząc, więc znów ją całował całą, coraz niżej i niżej, aż odnalazł samo źródło jej pragnienia, wilgotne i gorące. Na początku lekko posmakował, później zatracił się zupełnie, zacisnął dłonie na jej biodrach, czuł, jak ona wbija mu palce w plecy, słyszał, jak z jej ust wrywają się słowa, dźwięki pozbawione sensu, a przecież mówiące wszystko...

Przeturlali się po prześcieradle, Jessica znalazła się nad nim, widział jej delikatną, zachwycającą twarz, oczy mówiące o jej wewnętrznej sile i ogromnej wrażliwości. Przez te wszystkie lata nikogo tak nie pragnął, nikogo tak nie potrzebował. Trwała nad nim przez moment bez ruchu, potem chwycił ją za biodra, przyciągnął do siebie i wszedł w nią głęboko, potem głębiej i głębiej, kołysali się w szalonym rytmie, dotykali się chciwie, Bryan ujął jej twarz w dłonie, Jessica nachyliła się, znowu się całowali, roznamiętnieni, rozgorączkowani, półprzytomni.

Przycisnął ją mocno do siebie, zmienił pozycję, teraz ona znalazła się pod spodem, zatonął w niej, zapomniał się bez reszty. Mógłby dla niej umrzeć.

Kulminacja przyniosła mu coś więcej, coś znacznie więcej niż tylko rozkosz, ulgę, poczucie rozładowania. Wiedział, że seks może być piękny lub prymitywny, w zależności od tego, czy wynika z miłości czy tylko z

żądzy, lecz nie wiedział, że można go przeżyć w taki sposób, jakiego właśnie doznawał.

Jessica wyprężyła się pod nim, krzyknęła cicho, jej głos wydawał się odbijać echem w jego sercu.

Ostrożnie położył się obok, nie chcąc odsuwać się od niej nawet o milimetr, trzymał ją mocno przy sobie, czując, jak szalone bicie serca i pulsowanie krwi w żyłach zaczynają się stopniowo uspokajać. Miał wrażenie, jakby unosił się na powierzchni łagodnego, ciepłego morza, całym sobą odczuwając potężną różnicę między seksem a kochaniem się.

Jessica leżała w jego objęciach, cicha i nieruchoma. Zastanawiał się, jakie myśli przelatywały przez jej głowę i czy ona też w duchu porównywała wszystko, czego zaznała do tej pory, z tym, co właśnie razem przeżyli. Czas mijał, ich ciała i umysły powoli dochodziły do siebie. Czerwona poświata zalewała pokój.

Wreszcie Jessica westchnęła i poruszyła się, przytulając się mocniej.

Wiedział, że pora wreszcie się odezwać. Otworzył usta, lecz zapomniał o wszystkim, zniewolony bliskością jej ciała. Do licha, wcale nie potrzebowali słów.

Przygarnął ją do siebie, poczuł na wargach dotyk gorącego języka, potem poczuł go na swojej szyi, na torsie, na brzuchu, na... Znów zawładnął nim szalony głód, podsycany z każdą chwilą, znowu wszystko było uniesieniem, pulsem, rytmem, znowu świat eksplodował. Później znów leżała milcząca u jego boku.

I tak minęła im ta szkarłatna, wspaniała noc, gdy istnieli tylko oni dwoje.

Gdzieś nad ranem Jessica zasnęła, a wtedy Bryan również pozwolił sobie na odpoczynek, zaś jego sny nawiedziły wizje z przeszłości oraz wizje... przyszłości, a były tak żywe, tak kolorowe, tak namacalne, że aż go obudziły.

Jessica nadal spała, przytulona do jego boku. Podniósł się bardzo ostrożnie, zamierzając szybko wymknąć się z jej pokoju, gdyż zapewne nie życzyła sobie, by ktokolwiek zorientował się, co między nimi zaszło. Mimo to nie potrafił odejść, stał i przyglądał się śpiącej, mógłby tak patrzeć w nieskończoność. W końcu rozgniewał się na siebie za tę słabość i zmusił się do oderwania wzroku od Jessiki Niemożliwe przecież, żeby zakochał się w ciągu dwóch wieczorów.

Wrócił do swojej sypialni, ale nie położył się do łóżka, chociaż był zmęczony, tylko wziął prysznic, ubrał się i bezszelestnie zszedł na dół. Z kuchni dobiegała cicha muzyka oraz równie cichy odgłos rozmowy, lecz Bryan nie miał ochoty z nikim się widzieć, więc niepostrzeżenie wyslizgnął się na zewnątrz.

Nowy Orlean był taki sam i nie taki sam jak przed katastrofą, niektóre jego obszary zostały do tego stopnia zniszczone, że nie było już mowy o powrocie do poprzedniego stanu, inne zaś ocalały i prawie wcale się nie zmieniły.

Bryan był jak to miasto.

Jessica budziła się powoli, cały czas towarzyszyło jej poczucie błogości. Nie chciała jeszcze wstawać, chciała dalej napawać się tymi wrażeniami, które wciąż ją przepęlniały, przy czym nie chodziło tylko o same przeżycia erotyczne, lecz także o poczucie spełnienia, przynależenia,

ciepła, bezpieczeństwa, o przyjemność bycia z drugą osobą, o szczęście wynikające z tego faktu...

Naraz oprzytomniała.

Była sama.

Odetchnęła głęboko i pozbierała myśli, co przychodziło jej znacznie łatwiej, kiedy on nie znajdował się w pobliżu. Czy ona postradała rozum?

I gdzie podział się Bryan? Widać wolał ulotnić się dyskretnie. No i co z tego? Zależało jej? W końcu nie miała dwudziestu jeden lat, mogła zwyczajnie przespać się z kimś, kiedy naszła ją na to ochota.

A jednak...

Co on właściwie tu robił? Intuicja podpowiadała jej, że wcale nie chodziło o wykłady. Po co przyjechał? Co lub kogo tropił? I kim on, u licha, naprawdę był?

Poszła wziąć prysznic, nie przestając zadawać sobie pytań. Co ona miała teraz zrobić? W jakim kierunku podąży to coś, co wydarzyło się pomiędzy nimi?

Nie, musi przestać myśleć o Bryanie, o tym, co ich połączyło, o erotycznym skonsumowaniu tej znajomości. Miała znacznie poważniejsze sprawy na głowie, najważniejsza była Mary, dwóch chłopaków z parkingu, wydarzenia, które zaszły w Transylwanii...

Tylko wszystkie te sprawy kazały jej z powrotem myśleć o Bryanie, ponieważ miały z nim związek.

Sean obserwował Cala Hodgesa, wyższego i chudszeo z dwóch zatrzymanych poprzedniej nocy młodocianych przestępców. Zazwyczaj osoby przyprowadzone do pokoju przesłuchań okazywały mniejszą lub

większą nerwowość, lecz ten chłopak siedział nieporuszony. Wydawało się, jakby znajdował się w transie.

Jeden z ludzi Seana kilka minut wcześniej przesłuchiwał Cala, a raczej bezskutecznie próbował przesłuchiwać, gdyż w odpowiedzi na swoje pytania uzyskał tylko wzruszenie ramionami, chytry uśmiech oraz ostrzeżenie, by policja nie ważyła się go tknąć, inaczej oskarży ich o przemoc.

Detektyw stał teraz razem z Seanem w sąsiednim pokoju, spojrzął przez weneckie lustro do pokoju przesłuchań i rozłożył dłonie w bezradnym geście.

- Niczemu nie zaprzecza, do niczego się nie przyznaje. Nie podziałała na niego nawet informacja, że Niles sypie i obciąża go całą winą, bo liczy na zawarcie układu z prokuratorem i na złagodzony wymiar kary w zamian za współpracę z policją.

- Kiedy przyjdzie jego prawnik?

- Lada moment.

- Czy on w ogóle wspomniał, że bez prawnika nic nie powie?

- Nie.

- Dobrze, to teraz ja z nim spróbuję - zdecydował Sean.

Wszedł po pokoju przesłuchań i usiadł naprzeciwko chłopaka. Ma dopiero niewiele ponad dwadzieścia lat, pomyślał. Ujrzał dziwnie chytre spojrzenie orzechowych, właściwie żółtawych oczu Cala, które nagle przypomniały mu oczy węża.

- Czemu kręciłeś się wokół szpitala?

- A kto powiedział, że się kręciłem?

- Pielęgniarka, która cię widziała. Cal uśmiechnął się z satysfakcją.

- Tylko nie zdołała mnie zidentyfikować. Sean nachylił się.

- Pracujesz dla kogoś?

Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pracuję dla samego siebie. Fajna kobitka z tej psycholożki, co, poruczniku? Cycki pierwsza klasa.

- Teraz to on nachylił się w kierunku policjanta.

- Nieźle bym się zabawił, gdybym miał kilka minut więcej.

Sean nie dał się sprowokować, chociaż przez chwilę miał diabelną ochotę zdrowo chłopakowi przyłożyć. Odchylił się na oparcie krzesła, uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

- Nie jesteś żadnym wampirem, tylko najzwyklejszym chuliganem. A ktoś sprytny wykorzystuje cię do swoich celów.

Słowa Seana widać jakoś przebiły się do świadomości Cała, ponieważ chłopak parokrotnie poruszył ustami, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nadchodzi czas władzy - wyrecytował wreszcie z patosem.

- No to szkoda, że go nie zobaczysz - rzucił nonszalanckim tonem Sean.

- A co? Zastrzelisz mnie, glino?

- Nie, szkoda byłoby kuli, bo ty się nie liczysz. Jesteś za głupi, żeby ktokolwiek dał ci jakąkolwiek władzę.

- Pieprz się.

Sean wstał, słysząc pukanie. Zapewne zjawił się adwokat zatrzymanego.

- Życzę powodzenia - rzekł uprzejmym tonem. - Kiedy strach cię obleci i będziesz miał ochotę pogadać, powiedz, żeby mnie zawołali. Bo w

końcu dotrze do ciebie, w co wdepnąłeś, a wtedy... - Otworzył drzwi i zobaczył straszliwie chudą młodą kobietę, która zawsze przywodziła mu na myśl szczura w klatce, bezustannie goniącego w kołowrotku. - Dzień dobry, pani mecenas.

- Poruczniku, jeśli pan... - zaatakowała Seana z miejsca.

- Proszę mi zaufać, nie naruszyłem praw pani klienta w żaden sposób. Miłego dnia.

Wpuścił ją do pokoju przesłuchań i wrócił do swojego biura, zastanawiając się po drodze nad tym, że Calowi wydawało się czegoś brakować. Inteligencji? Nawet nie to, chociaż chłopak nie należał do szczególnie bystrych. Brakowało mu...

Esencji. Substancji. Istoty.

Pogrążony w rozważaniach, usiadł ciężko za biurkiem, lecz zaraz przeszkodził mu Bobby Munro.

- Panie poruczniku, mam informację, ale nie spodoba się panu, i to ani trochę.

Sean podniósł się, dzięki czemu zobaczył, kto zjawił się w tym momencie za plecami Bobby'ego. Jęknął w duchu, mając ochotę ukrećć podwładnemu głowę za zostawienie drzwi otwartych na oścież. Niestety, było już za późno i Bryan McAllistair dowiedział się jednocześnie z nim.

- Dzień dobry - rzekła Jessica, zszedłszy na dół. Gareth właśnie nalewał sobie kawy, ale kiedy

kubek był pełen, podał go Jessice, która przyjęła go, dziękując uśmiechem. Stróż i przyjaciel w jednej osobie wycelował w nią palec i z dezaprobatą potrząsnął głową.

- O co chodzi?

- Panienska musi się wreszcie nauczyć ostrożności, ot, co! Tylko tyle chciałem rzec. - Sięgnął po drugi kubek i znowu nalał kawy. - Będę miał więcej pracy w tym domu - oświadczył. - Czas i przyroda robią swoje, a ja do tego muszę troszczyć się o panienkę jeszcze bardziej.

- Potrafię się troszczyć sama o siebie.

- Panienska może tak mówić, a ja i tak będę jej więcej pilnował. -

Odwrócił się i z determinacją pomaszerował ku drzwiom.

- Gareth! - zawołała za nim. Zatrzymał się, zerknął przez ramię.

- Dziękuję - powiedziała. Uśmiechnął się.

Stacey odłożyła poranną gazetę i pytająco spojrzała na Jessicę, która wpadła w lekki popłoch. Czyżby wyglądała inaczej, czyżby było po niej coś widać?

- Cześć, Stace.

- No i jak?

- No i jak z czym?

- Wczoraj wieczorem zostałam napadnięta, więc pytam, jak się czujesz.

Po nocy spędzonej z Bryanem Jessica kompletnie zapomniała o wydarzeniach poprzedniego dnia.

- Nic takiego się nie stało, to była tylko para dzieciaków ze sztucznymi kłami.

Stacey nie wyglądała na przekonaną.

- Gareth bardzo się o ciebie niepokoi, nie zdziwię się, jeśli zrobi z tego domu twierdzę.

- Kiedy to naprawdę nie było nic poważnego, zwykły szczeniacki wygłup.

Teraz Stacey wycelowała w nią palec.

- Nie wciskaj mi kitu, dobrze? Nawet w radiu podali wiadomość o tym napadzie, i to z nazwiskami, jedno z nich skojarzyłam. Temu Calowi próbowałam kiedyś pomóc.

- Nie zaatakowali mnie dlatego, że jestem, kim jestem, tylko po prostu przypadkiem znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Ale oni podobno kręcili się wokół szpitala. Myślisz, że chodziło im o Mary?

Fakt, że przyjaciółka pomyślała dokładnie o tym samym co ona, bynajmniej nie uspokoił Jessiki.

- Kto wie?

Stacey nachyliła się i wyszeptała, jakby ktoś mógł je podsłuchać:

- Czy ktoś na was poluje? Czy to ma coś wspólnego z imprezą w Transylwanii?

- Nie wygaduj głupstw. Podobnych imprez jest cała masa, raz tu, raz tam. Zostawmy ten temat, dobrze? Nasz gość już wstał?

- Tak i wyszedł na miasto, znowu nie jedząc wspaniałego śniadania, które przygotowałam, czuję się obrażona. - Uśmiechnęła się szeroko, żeby pokazać, że tak naprawdę wcale się nie przejęła. - On chyba lubi łązić po ulicach bardzo rano, kiedy są jeszcze zupełnie puste. A ty co planujesz na dzisiaj?

- Chciałabym skończyć ten kostium kąpielowy dla Maggie, obiecałam jej, że będzie gotowy po moim powrocie z Rumunii. Nie wiem, co potem. Może znowu pojedę do Seana i Maggie.

- Znowu?

- Tak, byłam u nich wczoraj wieczorem na kawie - zawahała się. - Z Bryanem.

- O? Po tym, jak cię wczoraj uratował przed tamtymi dwoma? Ale jak to pojechaliście do Canady? Przecież on chyba miał wczoraj wykład?

- Sean i ja poszliśmy go posłuchać i jakoś tak się złożyło, że potem jeszcze pojechaliśmy z wizytą.

Stacey obrzuciła ją spojrzeniem pełnym wyrzutu.

- Poszliście na jego wykład i nie pomyśleliście o tym, żeby zabrać mnie ze sobą?

- Ponieważ podjęliśmy decyzję spontanicznie.

- No i co o nim myślisz jako o wykładowcy? Jessica napiła się kawy.

- Jest naprawdę świetny. Bardzo dobrze zna się na rzeczy.

- Widziałaś tam Bobby'ego?

- Twojego Bobby'ego?

- Hm, jeszcze nic mi nie wiadomo o tym, żeby był moim Bobbym - stwierdziła Stacey z uśmiechem. - Ale tak, chodzi mi o Bobby'ego Munro.

- Widziałam go na policji, właśnie skończył służbę i zaraz miał zacząć jakąś dodatkową robotę. Nie zauważyłam go na wykładzie. Czemu pytasz? Wybierał się tam?

- Nie wybierał się, ale ostatecznie poszedł, bo podobno był w okolicy po tej swojej robocie. Od jakiegoś czasu bierze dużo dodatkowych zleceń, pracuje przy różnych imprezach, weselach, ostatnio nawet i przy pogrzebach. Mam nadzieję, że stara się uzbierać na pierścionek albo przynajmniej na szybki ślub w Las Vegas.

- Nie zdziwiłabym się, przecież widać, jak bardzo cię kocha. Ale to dziwne, że przyszedł na wykład, chyba że to dodatkowe zlecenie trwało naprawdę krótko. No i że nie zadzwonił po ciebie...

- No właśnie! Koniec końców wszyscy idą na wykład, a nikomu nie przychodzi do głowy, żeby dać mi znać.

- Powiadomiłabym cię, gdybyś miała szansę zdążyć, wierz mi.

- Dobrze, odbiję sobie, idąc na któryś z następnych wykładów Bryana i wtedy ja też wam nic nie powiem.

- Będiesz miała wiele okazji, skoro przyjechał tu na cały semestr. Audytorium było dosłownie nabite, pewnie zresztą właśnie z tego powodu nie zauważyłam Bobby'ego, a on nas. Oczywiście najwięcej było studentów, ale przyszła też masa innych ludzi. Cóż, temat jest interesujący dla wielu osób, ponadto pewnie poszła fama, że wykładowca opowiada naprawdę pasjonująco.

- Myślisz, że niektórzy z twoich świrniętych też przyszli?

- Bądź tak miła i nie nazywaj moich pacjentów w podobny sposób.

Nie wiem, może ktoś był, to dla nich fascynujący temat. Bryan opowiada między innymi o różnicach między głębokimi wierzeniami a chwilowymi modami, na przykład na bale wampirów, co ma obecnie miejsce.

Stacey nachyliła się ku przyjaciółce.

- Jak myślisz, ile mówi z tego, co wie, a ile ukrywa?

- Nie wiem. - Zawahała się. - Ale oczekuje mojej pomocy.

- Twojej pomocy? Niby w czym?

- Jego zdaniem szykuje się tutaj taka sama impreza jak w Transylwanii, a ja mogę się o tym dowiedzieć od któregoś z moich pacjentów.

- I co ty na to?

Jessica wykonała nieokreślony gest.

- Nie mam prawa powtarzać tego, co pacjent zdradził mi w zaufaniu.

- Jesteś tym wszystkim zdenerwowana, przyznaj.

Jessica skinęła głową.

- To jest takie uczucie, jakby się wiedziało, że coś się wydarzy, lecz nie mogło się temu w żaden sposób zapobiec.

- Rozumiem. Ja też się zastanawiam, co się dzieje i co to wszystko właściwie oznacza, odkąd dowiedziałam się od Bobby'ego, że Bryan chodził na policję.

- I co Bobby o tym sądzi?

Stacey już otwierała usta, lecz Jessica ostrzegawczo zmarszczyła brwi, dając znak, że przestały być same.

Wrócił Bryan.

Jessica patrzyła na niego, w pierwszej chwili mogąc myśleć tylko o ich wspólnej nocy, o niczym innym. Co ona mu powie? Czym wytłumaczy swoje zachowanie? Oczywiście w obecnych czasach nie musiała się przed nikim tłumaczyć, nawet przed samą sobą, lecz w głębi serca czuła potrzebę wyjaśnień. Z drugiej strony bała się, że on nie przeżył tego w podobny sposób jak ona, dla niej było to coś jedyne w swoim rodzaju, a nie tylko zwykły seks. To, co między nimi zaszło, obudziło w jej sercu najgłębsze przekonanie, że zostali dla siebie stworzeni, że żadna siła - ani niebiańska, ani diabelska - nie mogłaby zniweczyć tego przeznaczenia.

Cóż, nadeszła więc ta niezręczna chwila, kiedy musieli spojrzeć sobie w oczy i odezwać się do siebie.

Jessica niepotrzebnie obawiała się niezręczności i zakłopotania. Było gorzej. Nieporównywalnie gorzej. Bryan miał posępny wyraz twarzy i bardzo ponury wzrok.

- Mary nie żyje - oznajmił i zwiesił głowę.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na widok Jeremy'ego, który był pogrążony w najczarniejszej rozpacz, Jessica zadała sobie w duchu pytanie, czy Mary w ogóle zdawała sobie sprawę, jak oddanego miała w nim przyjaciela. Rodzice zmarłej pojechali do domu, mamie trzeba było zaaplikować silne środki uspokajające. W poczekalni bezradnie kręciły się koleżanki i koledzy ze studiów, chociaż nie mieli na co czekać i właściwie nie wiedzieli, co powiedzieć, więc stopniowo robiło się ich coraz mniej, aż zostali tylko Nancy i Jeremy.

Jessica przez kilka długich minut siedziała z nimi w milczeniu, głęboko wstrząśnięta, chociaż przecież powinna była przewidzieć, co się stanie. Jak mogła być tak ślepa? Co prawda pomyślała o zapewnieniu dziewczynie policyjnej ochrony, człowiek przysłany przez Seana czuwał na korytarzu przez całą noc, lecz to nie wystarczyło.

Pierwszy odezwał się Jeremy. Opowiedział, że nikt nie wchodził do izolatki, jest tego pewien, chociaż parokrotnie przysypiał, ale dręczyły go koszmary, więc budził się co chwilę. Jessica słuchała, jednocześnie patrząc na kurczowo zaciśniętą dłoń, w której coś chował. Kiedy łagodnie rozwarła jego zeszywniałe palce, ujrzała srebrny krzyżyk Mary i ponownie przeklęła się w duchu za głupotę.

- Wiadomo już, kiedy pogrzeb? - spytała z trudem.

- Rodzice chcieli zabrać ją od razu, ale szpital odda ciało dopiero za kilka dni.

- Tak?

Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami. Twarz miał jeszcze mokrą od łez, ale chyba nie mógł już dalej płakać.

- Chcą zrobić sekcję.

- Rozumiem.

- Przeniesiono ją do kostnicy szpitalnej.

- Zmarła przez to, co się stało w Transylwanii - rzekła Nancy. - Boję się...

- Chodźmy stąd - zdecydowała Jessica. - Przede wszystkim powinniście coś zjeść, szczególnie Jeremy.

- Nie dam rady nic przełknąć - zaproponował.

- Musisz jeść.

Patrzył na nią martwym wzrokiem.

- Po co?

- Ponieważ ty żyjesz - rzekła cicho. - Chwilowo możesz nie mieć ochoty na to, żeby żyć dalej, ale żyjesz, a żywi potrzebują jedzenia. - Podniosła się i pociągnęła chłopaka za rękę, zmuszając go do wstania i nie dając mu czasu na dalsze protesty.

Nancy wyglądała na zadowoloną, że ktoś się nimi zajął.

- Dokąd idziemy?

- Zabieram was do mojego gabinetu, zadzwonię, żeby przywieziono nam coś do jedzenia.

Dwadzieścia minut później siedzieli oboje na kanapie w jej gabinecie, czekając na pizzę. Jeremy mruknął w pewnym momencie, że napiłby się piwa, a chociaż Jessica obawiała się, że alkohol może pogłębić jego rozpacz, pobiegła do sklepu i przyniosła kilka puszek.

Siedział, popijając piwo i wyglądając tak samo jak przedtem Mary, gdyż bez słowa wpatrywał się w przestrzeń pustym wzrokiem. Naraz gwałtownie przeniósł spojrzenie na Jessicę.

- Tam były wampiry. Nie ludzie, którzy coś sobie wmawiają, ani nie jacyś psychole, którzy lubią popijać krew, tylko prawdziwe wampiry.

Jessica zrobiła sceptyczną minę, za co Nancy spiorunowała ją wzrokiem.

- Nie było cię tam, więc nie wiesz. Nie widziałas tego, co my. A teraz ja i Jeremy też umrzemy, bo one przyjadą za nami.

Zimny dreszcz przeleciał Jessice po krzyżu. Bardzo starannie rozważyła swoje następne słowa.

- Dobrze, przyjmijmy, że takie istoty rzeczywiście istnieją. Czy któreś z was dwojga zostało ugryzione?

Wymienili spojrzenia.

- Nie.

- Nie.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Wielki Boże! - jęknął nieswoim głosem Jeremy, a Jessica spojrziała na niego z niepokojem.

- O co chodzi?

- Ona teraz stanie się jedną z nich! Nancy jęknęła również.

- To prawda, Mary będzie wampirem!

- Słuchajcie, czasami uznajemy za prawdę to, w co chcemy wierzyć...

- Nie wciskaj nam żadnej psychologicznej gadki - ostrzegł gniewnie Jeremy.

- Wcale nie zamierzam. Chodzi mi o to, że jeśli w coś wierzycie, to w waszym życiu staje się to prawdą. Załóżmy więc, że wampiry istnieją. Zróbcie listę sposobów, jak z nimi walczyć.

Wyglądali na zbitych z tropu.

- Czosnek? - spytała niepewnie Nancy.

- Na przykład. Jesteście wierzący?

- Ja jestem katolikiem - rzekł Jeremy.

- Ja należę do metodystów. Mary też należała.

- W takim razie potrzebne będą wam duże srebrne krzyże.

- A gdyby Mary była Żydówką? - spytała sceptycznie Nancy.

- Wtedy doradziłabym wielką srebrną Gwiazdę Dawida.

- Ponieważ wierzyłabym, że to powstrzyma Mary, tak?

Ponownie Jessica najpierw starannie przemyślała swoją wypowiedź.

- Ujmijmy to tak... Istnieje najwyższa istota, dla wygody powiedzmy, że to jest „on”. On jest samym dobrem. Ale istnieje także skończone zło i ono toczy z dobrem odwieczną walkę. Zakładamy, że wy dwoje jesteście z natury dobrzy, zaś to coś, co zabiło

Mary, jest złe, dlatego też jako reprezentanci dobra musicie walczyć ze złem.

- Za pomocą czosnku?

- Za pomocą tego, co uznacie za skuteczne - stwierdziła stanowczo Jessica, przede wszystkim starając się wlać w nich wiarę, że mogą coś zrobić, nie muszą czekać jak bezwolne ofiary.

Udało jej się, gdyż Nancy spytała:

- To co teraz?

- Wracajcie do akademika, zabierzcie wszystko, co jest wam potrzebne i wracajcie tutaj, a ja w tym czasie przygotuję gabinet. Nikt nie będzie wiedział, że tu jesteście. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Postąpimy dokładnie według tradycyjnych zaleceń. Nikogo tu nie zapraszajcie.

- Prawda, wampir nie może gdzieś wejść, dopóki nie zostanie zaproszony - przypomniała sobie nagle Nancy.

- Potrzebne nam krzyże i woda święcona - dodał Jeremy.

- Słusznie. Zadbam o to i w ogóle o wszystko, dzięki czemu będziecie mogli spać spokojnie.

- Ja już chyba nigdy nie zasnę - odparł głucho Jeremy, zaś Jessica uścisnęła jego dłoń.

- Gdybym mogła coś zrobić, żeby było ci lżej... Ale żałoba jest konieczna, musisz przejść wszystkie jej stadia i żyć dalej. Pomyśl o ludziach, którzy cię kochają, pomyśl, że cierpieliby tak samo, jak ty teraz... Musisz żyć, Jeremy.

Westchnął.

- Oczywiście, że chcę żyć. To chyba instynkt, prawda?

O, tak, miał absolutną rację. Instynkt przeżycia był potężną siłą.

Dowieziono pizzę, zabrali się za jedzenie. W połowie kęsa Jeremy zaczął płakać. Nancy objęła go, Jessica siedziała w milczeniu, serce jej się krajało, gdy widziała jego cierpienie. I jego strach.

Chwilowo niewiele mógł zrobić, właściwie mógł tylko być sfrustrowany. Jessica, blada i wstrząśnięta, wybiegła z domu, ledwie Bryan skończył opowiadać. Pozostało mu czekać, więc czekał przez całe rano, południe i popołudnie, obserwując niebo. Wreszcie zaczęło się zmierzchać.

Sprawdził wcześniej, kiedy zmieniają się pielęgniarki, w Internecie znalazł kserokopię planu szpitala z naniesionym opisem, gdzie się co znajduje. Pojechał do szpitala i skierował się do kantyny, gdzie spędził trochę czasu, udając, że czyta gazetę, a jego cierpliwość w końcu się opłacała, gdyż jeden z młodych sanitariuszy przez nieuwagę zostawił na tacy swoją kartę magnetyczną. Przy jej pomocy Bryan mógł wejść do szatni, gdzie wybrał sobie kitel z jak najbardziej amerykańskim nazwiskiem, ponieważ raczej nie wyglądał na Skandynawa o nazwisku Gustafson, czy na południowca Garcię. Oczywiście w Ameryce nigdy nic nie wiadomo, ale wolał nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń.

Przemaszerował przez szpitalne korytarze z całkowitą pewnością siebie, znalazł odpowiednią klatkę schodową i dotarł do kostnicy. Zimno, ponuro. Postęp technologiczny w niczym nie zmienił charakteru tego miejsca.

W przedsionku znajdował się tylko młody laborant, który siedział przy biurku pogrążony w lekturze książki science-fiction. Na jego kitlu widniało nazwisko David Hayes. Kiedy Bryan wszedł, na moment podniósł wzrok, potem znów zerknął na książkę, jakby koniecznie chciał doczytać zdanie, zreflektował się i z zakłopotaną miną spojrzał na Bryana.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- Dziękuję, Dobry wieczór, doktorze... - Rzut oka na naszywkę. - MacDonald.

- Dobry wieczór. Potrzebuję obejrzeć jedno z ciał przywiezionych dzisiaj.

- Tego zabitego w strzelaninie?

- Nie, dziewczynę, która zachorowała w Europie.
- Drugie drzwi po lewej. Wszystkie zwłoki są dokładnie oznaczone.
- Dziękuję.

Bryan wszedł do pomieszczenia, którego szukał, gdy nagle światło zgasło i w kostnicy zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Jessica modliła się, by Mary nie stała się tym, czym miała się stać, ale w duchu wiedziała, że to nieuniknione. Nie pojmowała co prawda, jak ktoś dostał się w nocy do izolatki, skoro dziewczyna była pilnowana, za to nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że musi odnaleźć jej zwłoki koniecznie tej nocy. Lepiej byłoby jeszcze za dnia, ale wtedy po szpitalnych korytarzach kręciło się zbyt dużo osób.

Rozważała, czy nie poprosić o pomoc Seana, lecz zrezygnowała z tego pomysłu, gdyż nie chciała zaszkodzić przyjacielowi, którego opinia mogłaby ucierpieć, gdyby wdał się w coś podobnego. Utraciłby zaufane przełożonych i współpracowników, ominąłby go kolejny awans. Nie, tę sprawę musiała załatwić sama.

Wślizgnęła się do magazynu, włożyła zielony fartuch sprzątaczkii, wzięła mop i plastikowy kubek z jakimś roztworem, od którego biła ostra woń środka antybakteryjnego, włosy zakryła czepkiem, a nos i usta maseczką sprzątaczek pracujących z silnymi środkami czyszczącymi. Kiedy doszła do kostnicy, wymamrotała w kierunku zaczytanego laboranta kilka słów z silnym francuskim akcentem i poszła dalej. Nie mogła spytać chłopaka o ciało Mary, musiała znaleźć je sama.

Weszła do pierwszego pomieszczenia, ujrzała sześć metalowych stołów. Na pięciu leżały zwłoki pacjentów, którzy umarli naprawdę, na szóstym - ku jej zgrozie - tylko pomięte prześcieradło.

W tym momencie zgasły wszystkie światła.

David Hayes zaklął cicho. Co z tym światłem? I czemu nie włącza się oświetlenie awaryjne? Czy prąd wysiadł w całym szpitalu czy tylko w kostnicy? Zaczął się podnosić, gdy naraz ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Cześć, przystojniaku.

Dobiegający zza jego pleców głos był kobiecy i brzmiał tak seksownie, że chociaż David zamarł z wrażenia, to nie cały... Ktoś przyszedł go uwieść w kostnicy podczas awarii prądu. Ale kto?

Zapaliły się czerwone światła awaryjne, a w ich krwawym świetle David ujrzał...

Oczy zrobiły mu się okrągłe.

Stała przed nim najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział. Zupełnie naga.

Prześliczna blondynka z ogromnym biustem i szczupłą talią. Ani grama tłuszczu na całym ciele. Jasna, idealnie gładka skóra. Wielkie, zmysłowe, głodne oczy.

Uśmiechnęła się, powiodła palcem po jego wargach.

- Jesteśmy sami, prawda?

Nie, nie jesteśmy, pomyślał. Na terenie kostnicy znajdowali się jeszcze sprzątaczką i lekarz. Do tego za chwilę zapali się normalne światło. Tylko że David w tym momencie nie dbał o to wszystko.

- Obserwowałam cię - szepnęła, przesuwając palcami po jego policzku.

Powinien był ostrzec, że nie są sami, lecz nie zdołał tego zrobić.

Potrzebował zarobić na studia. Lubił tę pracę, była spokojna, dobrze płatna, niemęcząca, gdyż po prostu siedział przy biurku i do woli czytał książki. Harowanie w jakimś barze z hamburgerami albo kelnerowanie w kawiarni w ogóle się do tego nie umywało.

Jeśli go z nią przyłapią, wyleci z roboty, musiał jej więc to powiedzieć.

Ale z jego ust nie wydobył się żaden odgłos, patrzył tylko na nią i czekał. Miała lodowate ręce, ale na litość Boską, to była kostnica, tu wszystko było zimne. David w końcu zdołał otworzyć usta, lecz nadal nie mógł nic powiedzieć.

Uśmiechnęła się. - Głuptasss...

Wydawała się syczeć niczym wąż.

Poczuł na swoich wargach dotyk lodowatego języka i pomyślał, że coś tu jest nie tak, ale kiedy zaczęła go całować, naraz ogarnął go ogień. Instynktownie wyciągnął po nią ręce. Rany, co za ciało! I te usta na jego wargach, a zaraz potem na jego szyi...

Bryan stał w absolutnym bezruchu, nasłuchując. Drzwi za nim zamknęły się automatycznie, potem przez chwilę zdawało się, że cały świat zastygł w nieprzeniknionych ciemnościach. A jeszcze później rozległ się leciuteńki szelest, informujący Bryana o czyjejś obecności.

Bezgłośnie zbliżył się do pierwszego z metalowych stołów, dotknął, go, wyczuł nagie, zimne ciało. Pomacał je bardzo ostrożnie, wiedząc, że w każdej chwili sytuacja może ulec gwałtownej zmianie, na szczęście dla niego nic się nie stało. Cichutko przesunął się do następnego stołu i znowu sprawdził, kto na nim leży. Kobieta, lecz z pewnością martwa. Trzeci stół. Tym razem postawny mężczyzna.

Czwarty stół okazał się pusty.

Serce podskoczyło Jessice do gardła, kiedy Jessica usłyszała szelest w ciemności i zrozumiała, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze ktoś żywy. Albo częściowo żywy. Może ktoś ze szpitalnego personelu? W końcu w przedsionku siedział laborant, tu mógł znajdować się drugi. Nie, to nie laborant.

I ta nagła awaria... Owszem, zdarzały się awarie, przerwy w dostawie prądu, lecz coś podpowiadało jej, że akurat ta nie była dziełem przypadku. Ktoś to zaplanował.

Bardzo ostrożnie odstawiała kubek z mopem i na palcach podeszła do rzędu metalowych stołów. Po paru chwilach znalazła ten pusty, a wtedy znowu usłyszała, że ktoś poruszył się niemal bezgłośnie. Czemu, u licha, jeszcze nie zapaliły się światła awaryjne, przecież minęły już całe wieki, odkąd zapadła ciemność! Nonsens, raczej minuta.

Przez chwilę czuła pokusę, by wślizgnąć się pod prześcieradło na pustym stole i udawać zwłoki, lecz odrzuciła ten pomysł, to mogło okazać się niebezpieczne.

Wyczuła, jak ktoś się zbliża, dlatego włożyła dłoń do kieszeni fartucha i zacisnęła palce na srebrnym krzyżu.

Bryan widział, że przybył za późno, lecz mógł jeszcze naprawić swój błąd. Sięgnął do kieszeni lekarskiego kitla po włożony tam zaostrzony drewniany kołek i ponownie zbliżył się do stołów, gdyż przy nich coś poruszyło się bardzo ostrożnie. Musiał jednak zostać usłyszany, ponieważ ten ktoś cofnął się.

Bryan wyrwał kołek z kieszeni, zapaliły się czerwone lampki, niemal oślepiające po tej ciemności, choć w rzeczywistości dość mdłe. W ostatniej chwili zdołał wyhamować uderzenie.

Upadła plecami na pusty stół, zaciskając w dłoni krzyż.

- Ty?! - zawołali jednocześnie.

W tym momencie dobiegł ich krzyk od strony przedsionka.

Runęli oboje przez pomieszczenie, pchnęli drzwi i ujrzeli, że młody laborant wciąż tam jest.

Tylko że leży na podłodze.

Bryan rzucił się do chłopaka, jednocześnie odwrócił mu głowę na bok, by obejrzeć szyję i chwycił go za rękę, szukając pulsu. Słaby, lecz był.

- Włącz alarm! - krzyknął do Jessiki, lecz ona już właśnie to zrobiła.

Czemu w ogóle znalazła się w kostnicy? Omal jej nie zabił! Teraz jednak nie miał czasu na zadawanie podobnych pytań. Zgodnie z jego przypuszczeniami na szyi Davida Hayesa widniały ślady po ukąszeniu, lecz na szyi nie było ani śladu krwi, widać Mary nie zmarnowała ani kropelki, chociaż nie dokończyła swego dzieła. Musiała więc obudzić się sama, bo gdyby towarzyszył jej doświadczony wampir, chłopak byłby martwy.

Bryan zdarł z siebie kitel i przycisnął go do rany, wiedząc, że krew zaraz zacznie płynąć z powrotem. Przeklinał sam siebie za swoje opóźnienie, ale z drugiej strony coś mu nie pasowało. Dziewczyna obudziła się za szybko! Ale przynajmniej nie zabiła biedaka... Puls Davida stał się trochę silniejszy, chłopak był młody i silny, w dodatku znajdował się w szpitalu, gdzie zaraz mu pomogą i podadzą krew.

- Wyjdzie z tego - powiedział na głos.

Odpowiedziała mu cisza.

Uniósł głowę i zobaczył, że Jessica znikła, czemu zresztą się nie dziwił, ponieważ sam nie miał ochoty tłumaczyć się przed nikim, czemu przywłaszczył sobie czyjś kitel i chodził po szpitalu, udając doktora MacDonalda. Posadził chłopaka, opierając go plecami o biurko, rozpiął mu koszulę na piersi, upewnił się, czy David oddycha. Kiedy usłyszał, że na piętrze zatrzymuje się winda, wyskoczył na korytarz i pognął ku schodom pożarowym.

- O rany! - powiedziała Nancy, gdy wrócili z Jeremym do gabinetu Jessiki.

Jeremy rzekł dokładnie to samo, tylko w duchu.

Drzwi oraz wszystkie okna zostały obwieszane girlandami z czosnku, na parapetach stały naczynia z wodą, zapewne święconą, wszędzie wisiały krzyże, na wszelki wypadek Jessica dodała też Gwiazdę Davida, posążek Buddy oraz wizerunek Konfucjusza. Zostało to zrećnie zaaranżowane jako przemyślana dekoracja, coś w rodzaju hołdu złożonego różnym religiom i wierzeniom. Jeremy dostrzegł też lalkę wudu na krześle oraz inne przedmioty i symbole, których nie znał, lecz które również wydawały się powiązane z jakimiś praktykami religijnymi.

Jessiki nie było, lecz dała im zapasowe klucze. Na biurku czekała krótka notka od niej, a na kartce leżały dwa wielkie srebrne krzyże na mocnych łańcuszkach. Mieli je natychmiast włożyć i pod żadnym pozorem nie otwierać nikomu drzwi ani okien, ktokolwiek by to był.

Z powagą włożyli krzyże, a wtedy zauważyli, że gospodyni przygotowała coś jeszcze. Zaostrzone drewniane kołki.

- Czujesz się bezpiecznie? - spytała Nancy.

- Czuję się lepiej - odparł, zmuszając się do uśmiechu.

Znaleźli talię kart, lecz gra im nie szła, gdyż nie mieli do niej serca, więc w końcu postanowili odpocząć. Jessica pościeliła kanapę oraz łóżko polowe, więc położyli się w milczeniu. Wieczór upłynął im na zapadaniu w krótkie drzemki i budzeniu się. Potem zapadła noc.

I wtedy przyszła Mary.

Jessica nie od razu opuściła szpital. Zostawiła swoje przebranie w magazynie, a potem metodycznie krążyła po szpitalu, przeszukując piętro za piętro, salę za salą, udając, że szuka chorej przyjaciółki. Jednocześnie zadawała sobie pytanie, co robił w kostnicy Bryan McAllistair? I to z osinowym kołkiem w ręku? Zapewne on zadawał sobie podobne pytania w odniesieniu do niej.

W końcu zarzuciła poszukiwania, Mary widać zdołała uciec z budynku. Jessica wyszła na parking, zadzwoniła do Seana, a gdy odebrał, rzuciła krótko do słuchawki:

- Mary obudziła się i uciekła.

- Co?!

- Słyszałeś. Nie zadawaj pytań, tylko uwierz, że wiem, co mówię i udziel mi pomocy.

- Dobry Boże... Jasne, że pomogę. Pomyślała, że jest niedziela, on pewnie odpoczywał w domu z żoną i dziećmi, lecz ta sprawa była ważniejsza od odpoczynku. Zresztą Maggie zrozumie jej wagę lepiej niż jakakolwiek inna żona.

- Ulokowałam Nancy i Jeremy'ego w moim gabinecie, Moim zdaniem Mary wyczuje Jeremy'ego i odszuka go.

- Pewnie tak. Już jadę do twojego gabinetu...

- Nie, czekaj! Tam pojedę ja, a ty przeprowadź dochodzenie, co stało się w szpitalu, bo tego nie mogę zrobić.

- Załatwione.

- Sean, to wszystko moja wina.

- Słuchaj, nikt z nas nie mógł tego przewidzieć.

- Wiesz co? - zaczęła i aż się skrzywiła boleśnie. - Myślę, że ktoś wybrał ją na ofiarę, żeby... żeby uderzyć we mnie.

Bryan przebiegał ulice, szukając uciekinierki, chociaż w pojedynkę mógł jej szukać w nieskończoność, w dodatku Mary znakomicie знаła miasto, a on słabo.

Chwileczkę...

Dokąd udałaby się naga kobieta, by nie budzić sensacji ani podejrzeń swoim wyglądem? Do lokalu ze striptizem na Bourbon Street.

- Jeremy...

Usłyszał we śnie jej głos. Uśmiechała się słodko, wyglądała na zagubioną.

- Jeremy...

Otworzył oczy i uświadomił sobie, że głos dobiega z za okna. Nie podchodził tam, ostrzegł sam siebie, lecz pokusa okazała się ponad jego siły. Zresztą to był tylko sen, prawda? Teraz mógł już tylko śnić o niej, nic więcej mu nie zostało.

Zerknął w stronę kanapy; Nancy spała twardo. Wstał i podszedł do okna, otoczonego warkoczami czosnku i chronionego przez naczynia ze święconą wodą. Kiedy rozsunał zasłony, zobaczył ją. Znajdowali się na

pierwszym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy, Mary unosiła się w powietrzu.

- Mary! - Serce podskoczyło mu do gardła na jej widok, wydała mu się tak czysta, tak doskonała... Owszem, była zupełnie naga, lecz mimo to nadal wyglądała jak wcielenie niewinności.

- Jeremy, potrzebuję cię. Ja zawsze cię potrzebuję, prawda? Pomóż mi! Jest mi zimno, jestem zrozpaczona i tak straszliwie głodna...

- Och, Mary...

- Musisz mnie wpuścić do środka. Musisz odsunąć te wszystkie rzeczy, która mnie powstrzymują i wpuścić mnie.

- Nie mogę. Czy nie wiesz, że zostałam wampirem?

- Zimno mi, Jeremy. I jestem taka głodna. Jeremy, ja naprawdę umieram z głodu. Proszę cię...

Serce mu się krajało, gdy słyszał ten błagalny głos. Nie mógł znieść, że Mary cierpi, w dodatku to był tylko sen, a we śnie nie miało znaczenia, czy on otworzy okno, czy nie. Nie miało znaczenia, czy odsunie na bok te wszystkie rzeczy, które porozwieszała i poukładała Jessica, żeby mniej się bał. We śnie mógł wpuścić Mary do pokoju i przytulić ją, jak zawsze tego pragnął, a co nigdy nie było mu dane.

- Jeremy...

Jej głos wydawał się przenikać do jego duszy, do jej najtajniejszych zakątków. Nie, Jeremy nie mógł patrzeć, jak ona cierpi.

Sięgnął ku oknu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sean Canady, jak zwykle ubrany po cywilnemu, stał obok jednego ze swoich ludzi, umundurowanego George'a Mendeza. Obaj przyglądali się młodemu mężczyźnie, który został zaatakowany w kostnicy. David Hayes jeszcze się nie ocknął, więc na razie nie można było niczego się od niego dowiedzieć, ale stan chorego stabilizował się powoli.

- Nie zostawiajcie go samego ani na moment, sierżancie - rozkazał Sean.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Nawet żeby się odlać. Mówię poważnie. Na końcu korytarza postawię Howletta, zawołajcie go w razie potrzeby, niech was na tę chwilę zmieni.

- Tak jest, panie poruczniku.

George Mendez był praktykującym katolikiem i właśnie z tego powodu Sean wyznaczył go do pilnowania laboranta. Policjant nie zadawał niepotrzebnych pytań, gdy Sean powiesił Davidowi na szyi duży srebrny krzyż, sam zresztą co chwilę ukradkiem dotykał swojego, który nosił na łańcuszku pod mundurem.

- Panie poruczniku?

- Tak?

- Czy lekarze się pomylili? Ta dziewczyna żyła?

- Sierżancie, jeszcze nie przeprowadziliśmy dochodzenia i na razie nie wiemy dokładnie, co zaszło. W kostnicy brakuje jednego ciała, a laborant ucierpiał z powodu utraty dużej ilości krwi. Równie dobrze może

to być idiotyczny dowcip urządzony przez jego kolegów. Dopóki nie ustalimy szczegółów, nie podajemy nikomu żadnych wyjaśnień. Howlett ma za zadanie nie dopuszczać tutaj dziennikarzy ani innych ciekawskich. Najważniejsze jednak jest pilnowanie tego chłopaka przez cały czas. Poinformowałem już personel szpitala, że mają nie zaciągać zasłony nawet wtedy, gdy będą podawać mu kaczkę. Facet się załatwia, a wy, sierżancie, twardo macie oko na wszystko, co z nim robią.

- Tak jest, panie poruczniku. Nie zawiodę pana, panie poruczniku.

Sean skinął głową i wyszedł na korytarz, gdzie zatrzymał go Howlett.

- Na zewnątrz warują dziennikarze - ostrzegł.

- Dzięki.

Sean wyprostował się i poszedł stawić czoła przeciwnikom.

Modląc się, by tym razem znowu nie przyszła za późno i by Nancy z Jeremym wzięli sobie do serca jej ostrzeżenia, Jessica dopadła drzwi gabinetu i załomotała w nie pięścią.

- Jeremy, to ja, wpuść mnie!

Czekała przez moment, wyczuwając zagrożenie i bojąc się, że złote serce chłopaka przyczyni się do jego zguby. Gorączkowo zaczęła szukać klucza po kieszeniach, znalazła, z trudem trafiła nim do zamka, gdyż ręce jej się trzęsły. Wpadła do środka.

Jeremy, który stał przed oknem, odwrócił się i popatrzył na nią błędnym wzrokiem, mrugając oczami.

- Ja... spałem - wyjaśnił niepewnie. Podeszła do niego, chwyciła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła, żeby oprzytomniał.

- Nie wolno... ci jej... wpuszczać - mówiła dobitnie przy każdym potrząśnięciu. - Nigdy.

- Ale... ale to była Mary. Nancy obudziła się.

- Chyba słyszałam jakiś łomot - wymamrotała. - Tak jakby ktoś... -
Urwała, przenosząc zdziwione spojrzenie z jednego na drugie i z powrotem.

Jeremy cały czas patrzył na Jessicę, miał napięte rysy twarzy i oczy pełne nieopisanego smutku.

- To była Mary - powtórzył.

Jessica potrząsnęła głową, na moment spuściła wzrok, a potem podjęła decyzję i zajrzała mu głęboko w oczy.

- Wiem - rzekła cicho.

Większość mężczyzn nie uznalaby chodzenia po klubach ze striptizem za ciężkie lub nieprzyjemne zadanie, lecz Bryan był tak spięty, że nie zachowywał nawet pozorów uprzejmości, dosłownie warczał, kiedy któraś z dziewczyn odzywała się do niego.

Nie, nie chce iść z nią do osobnego pokoiku dla wybranych gości.

Nie, nie chodzi o cenę. Nie, nie jest gejem.

Tak naprawdę pociągała go tylko jedna kobieta na świecie, tylko ona dla niego istniała, a w porównaniu z nią wszystkie inne wypadały tak mdło i blado jak światło żarówki przy świetle błyskawicy. Ta ostatnia noc...

Ale teraz nie mógł o niej myśleć, miał za zadanie odnaleźć Mary. Sprawdzał klub za klubem, zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie marnuje czasu. W końcu ją znalazł.

Lokalik należał do tych bardziej tandetnych i znajdował się przy małej, bocznej uliczce. Bramkarze byli roslymi facetami, lecz raczej

otłuszczonymi niż umięśnionymi. Wewnątrz wszystko było podniszczone i wytarte. Tancerki nie należały do najmłodszych i, podobnie jak bramkarze przed wejściem, nie mogły się poszczycić figurami. Dopóki na scenie nie zjawiała się Mary.

Gdzieś w garderobie zdobyła kilka skąpych szmatek, a Bryan przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób to zrobiła, lecz miał przeczucie, że nie zaatakowała nikogo ponownie, tylko zwyczajnie je ukradła. W tym lokalu tancerki na pewno nie miały osobnych przebieralni, tylko jedną zbiorową, więc Mary nie miała szans, by przypuścić atak na którąś z kobiet. Zapewne czekała, by móc zabrać jednego z klientów do któregoś z tych boksów z zasłonami.

Przemaszerowała przez wybieg, jakby robiła to od zawsze. Uśmiechała się obiecująco, przystawała, przybierała prowokacyjne pozy, kusiła, zatańczyła przy rurze, niemal uprawiając z nią seks na oczach gości i budząc szalony entuzjizm. Posypały się pieniądze, rozochoceni mężczyźni dosłownie ryczeli. Mary zeszła ze sceny, zaczęła przechadzać się między stolikami, oferując dla chętnego prywatny taniec za sceną. Wciskano jej banknoty za bieliznę, gwizdy aprobaty i okrzyki zachęty stawały się coraz głośniejsze. Jeden z klientów zaoferował jej tysiąc dolarów.

Mary obrzuciła szacującym spojrzeniem biznesmena z podwójnym podbródkiem, jej wargi na króciuteńki moment wykrzywił wyraz pogardy, a potem oblizwała się.

- Czemu nie? - szepnęła i skinęła na niego, kierując się za kulisy.

Bryan dyskretnie podążył za nimi.

Zrobiło się ciemno, lecz była to dziwna ciemność. Światła nie pogasły, nie nastąpiła żadna awaria, a mimo to... George Mendez nie wiedział, kiedy zdał sobie z tego sprawę, gdyż ciemność narastała powoli, niepostrzeżenie, jakby nadciągał jakiś cień. Nie taki zwykły cień, który można zobaczyć i który ma mniej lub bardziej wyraźne granice, tylko cień, który nie tyle się widziało, co przede wszystkim... czuło.

A potem zrobiło się zimno.

Sierżant był na służbie i obiecał pilnować chorego, więc chociaż zaczęła ogarniać go panika, przemógł swój strach, podszedł do łóżka, dotknął krucyfiks na piersi Davida, a potem zauważył, że poduszka jest dziwnie wilgotna. Czyżby porucznik spryskał ją wodą święconą? Oby tak było!

George Mendez zacisnął palce wokół krzyża, który chronił jego własną szyję i zaczął się modlić na głos.

- Choćbym chodził ciemną doliną...

Miał wrażenie, jakby ktoś zaczynał go dusić, jakby cień przybrał fizyczną formę i zaatakował go.

- ...zła się nie ulękne - ciągnął.

Na moment zacisnął powieki, bojąc się, że ulegnie atakowi paniki, wyskoczy z pokoju i pobiegnie korytarzem, uciekając jak najdalej. Wydało mu się, że słyszy śmiech, który ustał równie nagle, jak się pojawił, a wraz ze śmiechem ustąpiła również ciemność i poczucie zimna.

Policjant dosłownie spływał potem i trząsł się na całym ciele, ale przynajmniej z powrotem mógł swobodnie oddychać. A potem znowu usłyszał ten sam śmiech, przycisnął więc ręce do uszu, ani przez moment

nie myśląc o tym, by sięgnąć po broń. Wiedział, że byłaby zupełnie bezużyteczna.

- Zła się nie ulękne - powtórzył. Śmiech ucichł, tym razem na dobre.

George Mendez opadł na krzesło i nerwowo rozejrzył się dookoła. Nic się nie zmieniło. W duchu podziękował Bogu za to, że wytrzymał, nie poddał się strachowi i nie uciekł z pokoju, krzycząc przeraźliwie. Zsunął się z krzesła, ukląkł i pomodlił się pokornie, by już nigdy więcej nie przydzielono mu tego zadania. Miał młodą żonę, spodziewali się dziecka, więc koniecznie musiał żyć.

Resztę nocy spędził na kolanach. Zastanawiał się tylko, czy odważy się zaraportować porucznikowi Canady'emu, że do pokoju przyszedł cień i że on bał się jego powrotu.

Biznesmen zaciągnął za sobą zasłonę. Bryan rozejrzył się. Po obu stronach korytarzyka widniały podobne zasłony, kryjące, co działo się w niedużych boksach. Trudno, nie miał wyjścia, musiał ją powstrzymać.

Szarpnął zasłonę i zobaczył, jak napalony grubas klęczy na podłodze, chlapiąc niczym dwuletnie dziecko. Oczy miał wielkie jak spodki, na głowie przekrzywiony tupet.

Mary stała nad nim, każąc mu się zamknąć i nadstawić szyję, a on, chociaż trząśł się, nie miał odwagi jej się przeciwstawić. Był podobny do rannego pływaka w morzu, który może tylko obserwować zbliżanie się wielkiego żarłacza ludojada i wie, że zostało mu już zaledwie kilka sekund życia, a potem zostanie przegryziony na pół. Miał śmierć w oczach.

Dziewczyna zasyczała z furją, słysząc, jak zasłona odsuwa się gwałtownie, odwróciła się, a wtedy Bryan zobaczył to, co tak przeraziło biznesmena - długie kły, zwiastujące śmierć. Wyciągnął przygotowaną

fiolkę z trzykrotnie święconą wodą i oblał wampirzycę. Wrzasnęła przeraźliwie jak banshee na wrzosowiskach, w powietrzu rozniósł się ohydny swąd spalonej skóry. Mary zgięła się wpół, Bryan już miał przebić ją kołkiem, lecz w tym momencie przerażony biznesmen wrzasnął niemal równie przeraźliwie i poderwał się na równe nogi.

Ten moment wystarczył, by ją uratować. Spięła się w sobie, wystrzeliła na korytarzyk jak z procy, ktoś akurat stał na jej drodze, więc moment później przeleciał w powietrzu i wylądował na scenie, gdzie niemal naga kobieta odstawiała prowokacyjny numer ze skórzanym batem. Jacyś ludzie zerwali się na nogi, sądząc, że to początek bójki, pięści poszły w ruch i już po chwili w klubie trwała regularna bijatyka.

Bryan, klnąc, wyskoczył na korytarzyk i zaczął gorączkowo przepychać się wśród walczących, kierując się za Mary, która uciekła tylnym wyjściem.

Jessica została z dwojgiem studentów aż do rana, a do tej pory w Jeremym zaszła duża zmiana. Uspokoił się, stał się milczący i zamyślony.

- Za dnia możemy bezpiecznie wychodzić, prawda? - spytał Jessicę.

Zawahała się, zaś on spojrzał na nią z politowaniem, może nawet nieco pogardliwie.

- Przecież ty doskonale wiesz. Nie wiem, skąd, ale wiesz.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie Jessica wzruszyła ramionami.

- Tak, za dnia jesteście w miarę bezpieczni.

- Przeszła przez pokój i usiadła za swoim biurkiem.

- Ale nie wierzcie w to, że wampiry nie mogą się przemieszczać za dnia. Mogą. Oczywiście nie lubią słonecznego światła, ale nie giną od jego

promieni. Woda święcona też ich nie zabije. Co jeszcze powinniście wiedzieć? Wampir o naprawdę dużej mocy zdoła spowodować, że zapomnicie dosłownie o wszystkim, nawet nie będzie musiał spojrzeć wam w oczy, żeby kompletnie nagiąć waszą wolę do swojej. - Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy mają ją za kompletnie pomyloną. - Na waszym miejscu nie wspominałabym nikomu o niczym, bo jeśli zaczniecie przekonywać ludzi do istnienia wampirów, nic nie wskóracie, za to ktoś w końcu zamknie was w zakładzie. Ludzie zawsze wolą zaprzeczać istnieniu tego, czego się boją. A skoro już musicie wiedzieć... - Na moment zacisnęła zęby, potem nachyliła się do przodu. - Istnieje szczególnie potężny wampir, najgroźniejszy ze wszystkich, znany pod imieniem Władcy. Zły prawie jak sam diabeł. W ciągu wieków pojawiał się wielokrotnie, potem przez wiele lat pozostawał w uśpieniu, sądziłam, że udało się go unieszkodliwić na dobre, ale... Moim zdaniem to właśnie on podążył tutaj za Mary, więc nie tylko ona krąży po ulicach Nowego Orleanu, lecz także coś nieporównanie groźniejszego.

- Jesteś pogromcą wampirów? Czyli tacy ludzie naprawdę istnieją?
Spuściła wzrok.

- Nie, nie jestem. Ja po prostu staram się je powstrzymać od zabijania i od powoływania do życia kolejnych wampirów, chociaż raczej jest to powoływanie do życia w śmierci... Niestety, nie zdołałam ocalić Mary.

- Skąd wiesz o tym Władcy? - spytał Jeremy.

- Bo już widziałam go w działaniu. Pojechałam na konferencję w Rumunii, mając nadzieję, że może usłyszę pogłoski o jakichś dziwnych, niepokojących wydarzeniach związanych z wampiryzmem. Zazwyczaj podczas takich spotkań mowa jest o wierzeniach i praktykowaniu różnych

kultów przez ludzi, którzy coś sobie wmówili, ale uważny słuchacz może odsiać ziarno od plew i wyłowić informację, która naprowadzi go na trop prawdziwych wampirów i ich poczynań. W tym przypadku ta informacja przyszła od ciebie. Wiedziałam, że Władca lubi urządzać sobie takie uczyty, zresztą zawsze starannie wybierając główne danie dla siebie. A Mary była naprawdę piękna...

- To jakieś chore brednie - zawyrokowała poirytowana Nancy.

Jessica doskonale zdawała sobie sprawę, że to rzeczywiście brzmi jak bredzenie kogoś niespełna rozumu, ale skoro przycisnęli ją do muru, to niech teraz słuchają. Upierali się przy istnieniu wampirów - słusznie zresztą - lecz nie mieli pojęcia, co to naprawdę oznacza.

- Chcieliście poznać prawdę - przypomniała im.

- Musicie być bardzo ostrożni przez cały czas, bo jeśli się nie mylę i Władca rzeczywiście przybył do Nowego Orleanu, to również tutaj szykuje się podobny zlot wampirów jak w Transylwanii.

Ku jej zaskoczeniu Nancy rzekła:

- To straszne, ale wierzę ci. - Jej głos przeszedł w szept. - Byłam tam, dlatego wiem, że mówisz prawdę. Ja tylko chcę, żeby to były brednie.

Nagle Jeremy poruszył się gwałtownie.

- Słuchajcie, przecież musimy wszystkich ostrzec! Całe miasto! Co ja mówię, jakie miasto? Trzeba ostrzec cały świat!

Jessica westchnęła.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Nie możesz zacząć siać paniki ani doprowadzić do takiej sytuacji, w której ludzie naprawdę zwalczający wampiry zaczną być zamykani w szpitalach psychiatrycznych. Żeby

działać skutecznie, musimy działać w ukryciu. Nancy spojrzała na Jeremy'ego.

- Chodźmy, możemy przynajmniej ostrzec naszych przyjaciół.

Możemy też rozdać im krzyżyki i poprosić, żeby nosili je ze względu na pamięć o Mary.

- Proszę jednak, żebyście wrócili tutaj przed zmrokiem.

- Ale nie zdążymy do tego czasu ostrzec wszystkich przyjaciół.

- Władca chce dopaść was dwoje, a nie ich. Będzie rozwścieczony na Mary za to, że nie zdołała cię nakłonić do wpuszczenia jej tutaj.

- Jeśli on ją skrzywdzi... - zaczął gniewnie Jeremy.

Nancy wzięła go za rękę.

- Jeremy, ona nie żyje. Ta nasza Mary już nie żyje. Dobrze mówię, Jessico, prawda?

Przez chwilę panowało milczenie, gdyż Jessica zastanawiała się, ile może im powiedzieć.

- Władca jest zły, jest niewyobrażalnie okrutny. Obawiam się, że Mary, która padła jego łupem, nie ma już nic wspólnego z tą osobą, którą znaliście i kochaliście. Owszem, będzie wyglądać i mówić jak ta sama dziewczyna, ale tak naprawdę będzie tylko spełniać jego rozkazy. Jej już nie ma, to on działa poprzez istotę, która tylko fizycznie jest dawną Mary. Jeremy, musisz być bardzo silny. Ze względu na jej dobro.

- Żebym mógł ją zabić, tak? - spytał z goryczą.

- Jeśli zajdzie taka konieczność.

- Ale może udałoby się...

- Nie masz pojęcia, z czym próbujesz walczyć. Musisz przez cały czas uważać i informować mnie natychmiast, gdy tylko ona się pojawi.

Rozumiemy się? - Zawahała się, po czym dodała, pragnąc, by naprawdę dotarła do niego powaga sytuacji: - Posłuchaj, Władca mnie nienawidzi, dlatego obierze was za cel, ponieważ wie, że się zaprzyjaźniliśmy. Czasem wybiera sobie ofiary dla czystej rozrywki, a czasem... - Urwała, by nie zdradzić za dużo.

- Podejrzewam, że Władca postanowił zniszczyć moje życie, przy czym uderzy mnie najboleśniej, kolejno atakując bliskie mi osoby. Dlatego musisz być twardy, Jeremy, musisz oprzeć się Mary, choćby to było nie wiem jak trudne. Zrozum, ona ma rozkaz cię zabić.

Nancy zmarszczyła brwi, ale najwyraźniej nie miała wątpliwości co do tego, w jak poważnym niebezpieczeństwie się znajdują.

- On zrozumie, już ja o to zadbam - oświadczyła z całym przekonaniem.

- Dobrze, chodźmy już - rzekł zgnębiony Jeremy.

- Tylko wróćcie przed zapadnięciem zmroku - przestrzegła Jessica.

- Czemu Władca chce cię zniszczyć?

- To długa historia.

Czekał na dalszy ciąg, lecz Jessica milczała uparcie, więc w końcu się poddał.

- W porządku... Ale coś mi się zdaje, że ma to związek z tym jego dłuższym zniknięciem. Dlatego ty też na siebie uważaj, dobrze?

- Będę uważać - obiecała.

Kiedy wyszli, usiadła wygodniej, splotła ręce na kolanach, odetchnęła głęboko.

- Nie poszło mi najgorzej - powiedziała na głos.

Potem wyjęła kalendarz z szuflady biurka i zaczęła metodycznie odwoływać wszystkie wizyty pacjentów zaplanowane na ten tydzień.

Z wyjątkiem jednej.

Sean ze znużeniem odchylił bolącą głowę na oparcie fotela i zamknął oczy, czekając, aż aspiryna zacznie wreszcie działać. Miał za sobą koszmarną noc i równie podły początek dnia. Zdażył już zadzwonić do rodziców Mary z informacją, że ciało ich córki znikło. W szpitalu huczało od plotek, przy czym krążyły dwie wersje wydarzeń. Według jednej zwłoki dziewczyny wykradł zboczeniec-nekrofil, według drugiej lekarz stwierdzający zgon popełnił pomyłkę, dziewczyna ocknęła się w kostnicy, być może cierpiąc na utratę pamięci, zdobyła jakieś ubranie i wyszła z budynku, a teraz kręci się po mieście, nie wiedząc, kim jest i dokąd pójść.

Musiał także wyznaczyć policjanta do pilnowania Davida, przy czym nie mógł to być ktoś pierwszy z brzegu, tylko człowiek naprawdę odpowiedni do tej roboty. Za dnia laborant powinien być bezpieczny, lecz noc mogła oznaczać kolejne morderstwo.

Jakby tego wszystkiego było mało, Seana powiadomiono właśnie, że przyszedł Bryan McAllistair.

- Przyślijcie go do mnie - odparł z rezygnacją. Gość wszedł i stanął przed biurkiem, nic nie mówiąc, czekając. Wyglądał na zmęczonego, jakby podobnie jak Sean nie spał przez całą noc.

- Co mogę dla pana zrobić? Bryan usiadł.

- Niech pan zacznie być ze mną szczery.

- I kto to mówi?

- Już ją prawie miałem.

- Tak? - spytał uprzejmie Sean. Gość potrząsnął głową.

- Niech pan nie udaje, doskonale pan wie, że poszedłem do kostnicy. Jessica musiała do pana zadzwonić i przekazać tę informację.

- A co, u diabła, robił pan w kostnicy? Bryan uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Próbowałem powstrzymać wampira. Sean zaniemówił.

- Ona jest teraz wampirem, zdołałem ją wytropić w jednym z lokali ze striptizem, już miałem ją unieszkodliwić, ale w ostatniej chwili uciekła.

Porucznik zamrugnął powiekami i dalej milczał, zaś uśmiech Bryana stał się jeszcze bardziej ponury.

- Nie wiem, co tu się dzieje, ale się dowiem. Pan równie dobrze jak ja zdaje sobie sprawę z tego, że po mieście grasuje najprawdziwszy wampir. Zamierzam go powstrzymać, a w tym zadaniu możemy sobie nawzajem pomóc. - Podniósł się z krzesła. - Proszę zadzwonić, gdy będzie mnie pan potrzebował lub cokolwiek wiedział, ja też będę do pana dzwonił. Teraz tylko przyszedłem powiedzieć, że nie zdołałem jej dopaść i że na pańskim miejscu bardzo bym na siebie uważał, szczególnie w nocy. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Skinął głową i wyszedł.

- A to skurwysyn! - zaklął Sean. - Powinienem był go zaaresztować.

Tylko za co? Za to, że znał prawdę?

Kiedy Jessica wróciła do domu, Stacey i Gareth właśnie skończyli. Wszędzie wisiały warkocze czosnku z wplecionymi w nie dla niepoznaki kwiatami, jakby stanowiły oryginalną dekorację. Wazy ze święconą wodą oraz symbole religijne stały, gdzie tylko się dało.

- Dobra robota - podsumowała Jessica.

- Jak się panienka czuje? - spytał z troską Gareth.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie najgorzej.

- Wiemy, co się stało - rzekła Stacey, której powrót przyjaciółki sprawił wyraźną ulgę.

- Domyśliłam się. Pójdę się trochę przespać, potrzebuję odpocząć. - Już miała wejść na schody, lecz zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Czy któreś z was widziało Bryana McAllistaira?

- Ja nie - odparła Stacey i pytająco spojrzała na Garetha, a ten przecząco potrząsnął głową.

Jessica westchnęła ze znużeniem, naprawdę leciała z nóg.

- Idę, bo zasypiam na stojąco. Porozmawiamy później.

Na piętrze zawahała się, gdyż naraz pomyślała o tym, by wejść do pokoju swojego zagadkowego lokatora i przejrzeć jego rzeczy. Mimo ogromnego zmęczenia czuła, że powinna to zrobić, i to jak najszybciej. Chociaż znajdowała się na górze zupełnie sama, ostrożnie rozejrzała się dookoła, wyjęła z kieszeni klucz uniwersalny i kilka sekund później wślizgnęła się do pokoju Bryana, cicho zamykając za sobą drzwi.

W pokoju panował porządek, na biurku stał laptop, nigdzie na wierzchu nie leżały żadne papiery. W szufladach również nie. Jessica przejrzała zawartość komody i szafy, znalazła jedynie trochę ubrań, nic ponadto. Sfrustrowana, wróciła do biurka, włączyła laptopa, przejrzała zawartość folderów. Nic interesującego. Albo komputer był nowy, albo naprawdę istotne pliki zostały w jakiś sposób ukryte. Jessica połączyła się z Internetem, a ponieważ folder „Historia” nie został wyczyszczony, sprawdziła, z jakimi stronami Bryan łączył się ostatnio i czego szukał.

Zaskoczona, aż cofnęła się o krok.

Potem zacisnęła zęby i powiedziała sobie, że niepotrzebnie reaguje tak nerwowo, bo przecież w świetle ostatnich wydarzeń to oczywiste, że przeglądał witryny traktujące o wampiryzmie we wszelkich możliwych postaciach. Niektóre ze wzmianek na tych stronach dotyczyły przypadków, z którymi była powiązana. W tym też nie było nic dziwnego.

Nic? Tknięta przeczuciem, podeszła do szafy i przeszukała kieszenie ubrań. Nagle od strony korytarza dobiegł ją jakiś cichy odgłos, więc czym prędzej wyłączyła komputer i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Widać ze zmęczenia zaczynała wyobrażać sobie różne rzeczy.

Wymknęła się ostrożnie, zamknęła drzwi na klucz, weszła do własnego pokoju. Boże, ależ była wykończona! Zrzuciła pantofle, ściągnęła bluzkę przez głowę, zsunęła spódnicę, pozwalając, by ubrania upadły na podłogę, udała się do łazienki, wzięła długi, gorący prysznic.

Poprzedniej nocy była w siódmym niebie. A teraz...

Kim on był, do diabła i co tutaj robił?

I na co mu osinowy kołek?!

I gdzie on się w ogóle podziewał?

Obudził w niej wyjątkowo głębokie emocje, nawet nie pamiętała, że jest do takich zdolna. Przypominał jej... Przypominał kogoś, kogo nie mogła już spotkać ponownie, ponieważ od dawna nie żył.

Otuliła się szlafrokiem, wróciła do sypialni, padła na łóżko, wbiła wzrok w sufit. I w tym momencie uświadomiła sobie, że nie jest sama.

- Nareszcie - odezwał się cicho niski głos. - Czekałem na ciebie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez sekundę czuła panikę. To przecież niemożliwe, żeby...

Spędziła lata, uciekając, tkwiąc w kolejnych kryjówkach całe dni i noce, potem przyszły lata, gdy wierzyła, że uwolniła się na zawsze, aż wreszcie zrozumiała, że nigdy nie odzyska spokoju, jeśli nie spojrzy prawdzie w oczy i sama nie zostanie łowcą, nie zaś tropioną ofiarą. Z biegiem czasu czuła się coraz pewniej, lecz gdzieś w głębi serca zawsze pamiętała o najgorszej możliwości, o powrocie najbardziej przerażającego zła.

Usiadła gwałtownie, zapominając o całym zmęczeniu, gotowa się bronić. Nikt jej jednak nie atakował, przynajmniej nie fizycznie.

Bryan siedział w wielkim bujanym fotelu naprzeciwko łóżka, zaś Jessica nie miała pojęcia, od jak dawna znajdował się w sypialni, równie dobrze mógł tam być, kiedy weszła do pokoju i rozebrała się, nawet nie rozglądając się dookoła. Co za niefrasobliwość! Nie tylko go nie zauważyła, ale też nie wyczuła jego obecności, a to niedobrze.

Starając się odzyskać opanowanie, odgarnęła włosy z czoła, podciągnęła kolana, otoczyła je ramionami i powoli uniosła jedną brew.

- Co robisz w moim pokoju? Odpowiedział jej ponurym uśmiechem.
- A co ty robiłaś w moim?
- Staralam się dowiedzieć, kim jesteś - stwierdziła spokojnie.
- Moje referencje mówią same za siebie.
- Twoje referencje to pic na wodę.

- Pozwolę sobie mieć inne zdanie na ten temat. Wszystkie moje papiery są absolutnie autentyczne, ale nie wiem, czy to samo dałoby się powiedzieć o twoich.

- Mój dyplom wisi na ścianie mojego gabinetu - poinformowała sucho. - Możesz sobie obejrzeć.

- Nie muszę, na pewno wygląda dokładnie tak, jak trzeba. - Wstał, podszedł i usiadł na łóżku. - Co robiłaś w szpitalu?

- Znałam tę dziewczynę - odparła z oburzeniem.

- I dlatego poszłaś złożyć wizytę jej zwłokom, przebrana za sprzątaczkę?

- A co ty robiłaś w szpitalu, przebrana za lekarza? - zaatakowała gniewnie.

- Poszedłem zabić wampira - rzekł wprost.

- Chyba za długo przysłuchiwałeś się własnym wykładom, profesorze. Nastąpił efekt...

- Daruj sobie, dobrze?

- Co mam sobie darować?

- Nie próbuj żadnych psychologicznych zagrywek. Dobrze wiesz, z czym mamy do czynienia.

Jessica patrzyła - nie, nie patrzyła, gapiała się na niego szeroko otwartymi oczami. Kim on był, u licha?

- Wiesz, czym teraz jest ta dziewczyna. - To nie brzmiało jak pytanie, lecz jak stwierdzenie. - Ty wiesz i ten twój przyjaciel z policji też wie. Ciekawe, skąd w odróżnieniu od innych macie tak dobrą orientację w całej sytuacji?

Westchnęła.

- Odpowiedź jest prosta, mieliśmy już tutaj do czynienia z wampirami. A skąd ty znasz prawdę? Też już się z tym zetknąłeś? Gdzie?

- Wszędzie - rzekł krótko. - W wielu różnych miejscach na świecie, ale teraz rozmawiamy o tym, co jest tu i teraz.

- Ach, rozumiem... Podjąłeś się zadania uwolnienia świata od wampirów?

- Nie sądzę, by jakiegokolwiek osobie mogła udać się podobna sztuka. Podobnie jak wszystkie inne istoty, wampiry mają silnie rozwinięty instynkt przetrwania, w dzisiejszych czasach niektóre z nich przyjęły strategię ukrywania się na widoku i żyją w społeczeństwie jako gospodynie domowe lub maklerzy giełdowi. Moim głównym zadaniem jest dopadnięcie konkretnego wampira.

- O? To ciekawe.

- Tego, który był w Transylwanii, wybrał Mary na swoją ofiarę, a teraz najprawdopodobniej znajduje się w Nowym Orleanie. Nazywają go Władcą.

- Władcą? - powtórzyła.

On nawet znał imię wroga! Skąd? Wiedział też o przybyciu Władcy do miasta i o jego wcześniejszej obecności w Transylwanii. Zastanowiła się nagle, czy ta konferencja w Rumunii w rzeczywistości nie była sprytnie zarzuconą przynętą, która miała ją tam zwabić. Czyż Jessica podskórnie nie przeczuwała czegoś złego? Przecież instynkt ostrzegał ją przed tym wyjazdem, sam kolor nieba był niepokojący, nawet jej przyjaciele mieli obawy związane z tą podróżą.

Jeszcze nim zjawiła się w Transylwanii, odgadywała, że nie udało się unieszkodliwić Władcy na dobre. Ciemność powróciła, jakby wiecznie

miała powracać. Ale nie zamierzała tego wyjaśniać nikomu, a już zwłaszcza nie człowiekowi, który sam powinien się wytłumaczyć ze swoich podejrzanych działań.

- Poszedłeś zabić Mary?

- Tak, nie ma innego wyjścia, odkąd została niewolnicą Władcy.

Jessica przyglądała mu się przez jakiś czas w milczeniu.

- W takim razie wychodzi na to, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Czy aby na pewno? Bardzo niewiele o tobie wiem.

- A ja o tobie.

- Te dzieciaki ci zaufały - rzekł cicho. - I zobacz, jak to się skończyło.

Zabolało ją to oskarżenie, zwłaszcza że było trafne.

- Nie wiedziałam o tym balu, dopóki nie dostałam notki od Jeremy'ego, a wtedy natychmiast zawiadomiłam policję. Ty też byłeś w Transylwanii, ale w odróżnieniu ode mnie nie kiwnąłeś palcem, żeby pomóc. Ja przynajmniej coś zrobiłam.

- Zostawmy Transylwanię w spokoju, teraz trzeba uporać się z sytuacją w Nowym Orleanie. Ale masz trzymać się z dala od tego wszystkiego.

- Co? - oburzyła się.

- Nie wiem, jaka jest twoja wiedza na temat Władcy, ale uwierz mi, kiedy mówię, żebyś nie porywała się na walkę przeciwko złu, z jakim dotąd jeszcze się nie zetknęłaś.

- O - powiedziała tylko.

- W ciągu wieków różni pogromcy wampirów, rycerze, a nawet sami królowie próbowali go dopaść i zabić, lecz żadnemu się nie udało.

Nauczył się niezliczonych sztuczek, potrafi umknąć przed tymi, którzy go ścigają, nieustannie przenosi się z miejsca na miejsce. - Naraz wstał i zaczął chodzić po pokoju, jego głos zdradzał ukryte, gwałtowne emocje. - Poświęciłem życie odszukaniu tej istoty i powstrzymaniu jej raz na zawsze. Na całej ziemi nie ma większego zła. - Odwrócił się ku Jessice. - Musisz się wycofać z tej rozgrywki, twoi przyjaciele również. Niezależnie od tego, na ile oceniacie swoje siły i jak wielka wydaje wam się wasza wiedza, stoicie przed złem, którego mocy nawet sobie nie wyobrażacie!

Ściągnęła brwi, zaskoczona jego gniewem, a potem odparła wolno, uważnie dobierając słowa:

- To nie jest tak, że ja chcę spotkać się z nim twarzą w twarz, wierz mi. Ale nie ma znaczenia, czego chcę, ponieważ nie mam wyboru, nie mogę się wycofać. Z powodu wydarzeń w Transylwanii jestem w to wszystko zamieszana, czy mi się to podoba, czy nie.

- Zrozum, musisz się wycofać, bo nie mogę jednocześnie pilnować ciebie i walczyć z nim.

- Nikt ci nie każe mnie pilnować, sama potrafię o siebie zadbać - ucięła ostro. - Za kogo ty się w ogóle masz? Za bohatera, wielkiego pogromcę wampirów?

- Nie, za człowieka, który ma zadanie do wykonania, a tym zadaniem jest zabicie Władcy.

- Ale chyba nie tylko jego? Pewnie najchętniej pozabijałbyś wszystkie wampiry bez wyjątku?

- Oczywiście.

- Tak bez zastanowienia? A nie przyszło ci do głowy, że niektóre z nich...

Wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Chcesz mi powiedzieć, że niektóre z nich mogą być dobre? Jeśli tak, to znajdujesz się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż sądziłem. Uwierz mi, coś takiego jak dobry wampir naprawdę nie istnieje.

Spuściła wzrok.

- Teraz ja pozwolę sobie mieć inne zdanie na ten temat. Słyszałam o takich przypadkach.

Wziął głęboki oddech, więc Jessica sądziła, że zamierzał dalej spierać się z nią na ten temat i szykował się do wygłoszenia dłuższej przemowy, lecz ku jej zaskoczeniu zbliżył się i powiedział cicho:

- Jest w tobie coś takiego... Przypominasz mi kogoś, kogo znałem.

Ton jego głosu poruszył jakąś strunę w jej sercu, głęboko ukrytą, od dawna uśpioną.

- Może już się kiedyś spotkaliśmy? - spytała zmienionym głosem.

- Nie. - Poglądził ją kciukiem po policzku. - Tamta była... zła. I już nie żyje, zresztą nawet gdyby żyła, musiałbym ją zabić. A co do Władcy, to kiedyś już byłem blisko, tak blisko, że czułem trupi jad jego oddechu. Dopadnę go wreszcie i pokonam, ale jeśli mam to uczynić, muszę wiedzieć, że ty trzymasz się z dala od tego, że jesteś bezpieczna.

Serce podskoczyło jej w piersi, lecz Jessica wciąż nie pojmowała, jak może żywić tak głębokie uczucie do człowieka, którego spotkała zaledwie parę dni wcześniej. I skąd to dziwne wrażenie, jakby znała go od dawna? I czemu budził w niej wspomnienia o miłości jej życia? Jej ukochany nie żył już od tak dawna...

- Nie doceniasz mnie - oświadczyła. Usiadł obok Jessiki.

- Zaufaj mi - poprosił.

- Zacznę ci ufać, gdy ty zaczniesz we mnie wierzyć. A teraz chciałabym usłyszeć coś więcej o Władcy.

- Trudno mi powiedzieć, od jak dawna podążam jego tropem, ale obserwuję jego działania wystarczająco długo, by wiedzieć, jak potężną mocą dysponuje. Podobno domina, która organizuje dla niego takie ucztę jak ta w Transylwanii, to ostatnie wcielenie hrabiny Katherine, którą uśmiercono za panowania Ludwika XIV. Oczywiście Katherine to tylko jedno z jej imion, ta istota została powołana do życia znacznie wcześniej i co jakiś czas pojawiała się pod różną postacią w różnych miejscach świata. Mówią, że była też w Chinach i w Egipcie, ponadto w krajach, gdzie z różnych powodów ludzie znikali częściej niż gdzie indziej, więc jej działalność nie była łatwa do zauważenia. Jeśli te wszystkie pogłoski są prawdziwe, ona również musi umrzeć. Ty po prostu nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak niebezpieczni są ci dwoje. Błagam, posłuchaj mnie i nie mieszaj się do tego.

Wbiła wzrok w swoje splecione dłonie, potrząsnęła głową.

- Proszę mnie o coś niemożliwego.

- Nie zgadzam się, żebyś była w niebezpieczeństwie. Nie wiem, co w tobie jest takiego, ale... Nie mogę cię tak zostawić, żeby iść i dokończyć moje zadanie.

Powoli podniosła na niego wzrok.

- To co zrobimy? - spytała cicho.

- Byłoby najlepiej, gdybyś mnie posłuchała. Widzisz, ja... ja już raz zawiodłem, już raz nie zdołałem kogoś ochronić. I straciłem ją. Jesteś równie dzielna i niezależna jak ona. Kiedy cię dotykam, paraliżuje mnie strach, że tak samo stracę ciebie, jak straciłem ją.

- Proszę, nie lękaj się o mnie - wyszeptała. Znajdował się tak blisko, że nagle ogarnęła ją ogromna tęsknota, silniejsza niż wszelki lęk o to, co może przynieść przyszłość. Dawno, dawno temu serce Jessiki przepełniała nadzieja, niezależnie od tego, z jakimi trudnościami przychodziło jej się zmierzyć, a było ich wiele. Potem zaszło coś...

Jednak teraz, dzięki jego dotykowi, nadzieja obudziła się w niej na nowo, zjawiając się jednocześnie z tym przeszywającym, zarazem słodkim i bolesnym pragnieniem. Nagle wszystko inne przestało mieć znaczenie, a Bryan chyba myślał to samo, ponieważ już nic więcej nie powiedział, tylko pocałował ją.

Tym razem zrobił to bez takiej szalonej desperacji jak poprzedniej nocy, tym razem jego pocałunki wyrażały to, co było ukryte w głębi jego serca i duszy, co było najprawdziwsze. Jessica odpowiedziała w podobny sposób, szukając odpowiedzi na pytania, których żadne z nich nie zadało na głos oraz próbując zaspokoić swoją potrzebę, swoją tęsknotę za tym, co wydawało się stracone na zawsze. Chwilę potem nie pamiętała już o żadnych pytaniach i odpowiedziach, błędziła dłońmi po jego twarzy, potem po jego ciele, pozbywając się tej przeszkody, jaką stanowiło ubranie. Rozkoszowała się siłą, z jaką się w siebie wtulili, przesunęła rękami w dół po jego plecach, całowała go po szyi, ocierała się o niego zmysłowo, zachwycona tym, że w jego ramionach znajduje zapomnienie, że może się zatracić do szaleństwa.

Nie myślała o niczym, nie czuła lęku, zapomniała o przyszłości, liczyło się tylko tu i teraz, nic więcej. Liczyło się tylko szalone bicie jednego i drugiego serca, dotyk jego ust na jej piersi, dotyk jej palców na jego męskości. Ich ciała splotły się, razem przeturlały się po łóżku,

szukając nowych pozycji, nowych sposobów dotykania się, cieszenia się sobą nawzajem. Ciepło wewnętrznej strony ud, pieszczota językiem w intymnych miejscach, potem znów uścisk, żar pocałunków, aż wreszcie poczuła go w sobie jak gorącą, stał, nastąpił spazm, eksplozja rozkoszy, obopólne zaspokojenie, ulga.

Leżała oszołomiona, powoli wracając do rzeczywistości, rozkoszując się bliskością ich mokrych ciał, napawając się ciepłem jego ramion. Przez lata sądziła, że już nigdy nie zazna czegoś podobnego. Czowała się przy nim tak bardzo bezpieczna, a mimo to broniła się przed pokusą, by do końca poddać się uczuciu. Potrzebowała zachować dystans.

- Jessico?

Sam jego głos, niski i lekko chropawy, co czyniło go jeszcze bardziej zmysłowym, działał na nią jak pieszczota.

- Jestem taka zmęczona - odszepnęła, zresztą zgodnie z prawdą.

Westchnął, lecz nic już nie mówił. Udała, że zasnęła, a kilka minut później spała naprawdę.

Znów nawiedziły ją koszmary.

Była sama, była kim innym, zupełnie gdzie indziej, bardzo dawno temu.

Poczęta w grzechu, urodzona w czasie wojny, nauczyła się walczyć mieczem i szyc z łuku. Nauczyła się zabijać.

I nauczyła się najtrudniejszej rzeczy ze wszystkich - odwagi.

W jej głowie pozostało trochę wyblakłych wspomnień o tamtych bardzo dawnych czasach, gdy walczyła po dobrej stronie w obronie słusznej sprawy, gdy trzeba było ratować innych, gdy cały kraj był zagrożony. A potem...

A potem przyszła śmierć, lecz w jej przypadku nie oznaczała wiecznego spoczynku, lecz przebudzenie w męczarniach i straszliwy głód, który zdawał się od wewnątrz rozdzierać ją na strzępy, ale najgorszy ze wszystkiego był szyderczy śmiech jej znenawidzonego wroga, który drwił z niej, nazywał swoją niewolnicą i powtarzał, że wszyscy, których kochała, zginęli, on zaś wygrał, a ona jest jego łupem wojennym.

Władca - gdyż tak sam siebie nazywał - był naprawdę potężny, lecz oparła mu się od samego początku i ani razu nie poddała się pokusie, by zaspokoić ten straszliwy, sprzeczny z naturą głód. Nawet jeśli jej dusza zostanie potępiona, to jej wola nie podda się, nie pozwoli się nagiąć. Ten zaciekły opór stał się całym sensem jej istnienia. Potem uciekła i przez lata żyła dziwnym życiem osoby, która w rzeczywistości umarła.

Korzystając ze swej wiedzy i umiejętności, ściagała tych, którzy naprawdę zasługiwali na potępienie, ratowała z ich rąk niewinne ofiary, będąc wdzięczna, że może zrobić coś dobrego, lecz mimo tych wysiłków uważano ją za przeklętą istotę, wysłanniczkę ciemnych mocy.

Wreszcie Władca zdołał ją odnaleźć.

Ona jednak przez te wszystkie lata stała się znacznie silniejsza, więc gdy się spotkali na skalistym wzgórzu w Szkocji, nie zdołał jej pokonać, gdyż spodziewał się pojmać ją gołymi rękami, tymczasem ona przybyła uzbrojona w zastrzone osino-we kołki. Nie zginął jednak, jedynie został ranny i zbiegł z miejsca walki.

Kolejne ich zmagania miały miejsce w zasnutych gęstą mgłą Karpatach, w miejscu, gdzie rządził terror i strach. Zabiła po kolei każdego z trzynastu strażników, którzy mieli za zadanie powstrzymać ją przed dostaniem się na zamek Władcy. Czy udałoby jej się pokonać wroga,

gdyby nie to, że zdołała go zaskoczyć? Tego nie mogła wiedzieć. Pod postacią mgły wślizgnęła się do komnaty, w której siedział za stołem, pogrążony w lekturze starożytnych tekstów i przebiła go kołkiem...

Lecz to nie wystarczyło, by go zniszczyć, więc rozpoczęła się walka. Władca, by ją udęczyć, przypomniał, jak zabił jej ukochanego rycerza Ioina - a to zamierzone okrucieństwo obróciło się przeciw niemu, ponieważ ból wywołany tym wspomnieniem zdwoił jej siły, przez co niemal rozsiekała go na kawałki. Z piersi i ramion tryskała mu krew, głowa wampira trzymała się na skrawkach skóry. Uciekał, a ona ścigała go przez labirynt podziemnych krypt, wreszcie znikł jej z oczu, zaszył się w jakiejś kryjówce.

Mimo straszliwego zmęczenia znalazła w sobie siły, by obrócić podziemia w wieczne więzienie, wypełniła je symbolami religijnymi, wyjścia zamknęła za pomocą sztab ze srebra. Gdy skończyła, usłyszała złowieszczy szept, to on składał przysięgę.

Uwolni się i znajdzie ją.

Obudziła się, zlana zimnym potem. Niech lichy porwie Bryana McAllistaira, bo chociaż dzięki niemu przeżywała chwile słodkiej ekstazy, jakiej istnienia nawet sobie nie wyobrażała, to również przez niego dręczyły ją koszmary z przeszłości.

Znowu obudziła się sama, on znikł tak samo jak poprzednio. Skierowała wzrok za okno i zobaczyła, że dzień minął i niedługo zacznie się zmierzchać. Wskoczyła z łóżka, runęła do łazienki, wzięła szybki prysznic i ubrała się pospiesznie, czując, że nie ma czasu. Zbiegła na dół jak burza, niemal przewróciła Stacey.

- Jess...

- Gdzie jest nasz lokator?

- Bryan?

- A mamy innego? - ucięła. - Widziałas go? Wiesz, gdzie jest?

- Wyszedł na miasto. I zabronił mi wypuszczać cię z domu.

- Co takiego?

- Kazał mi zatrzymać cię tutaj i pilnować, żebyś nie wyszła. Dzisiaj pod żadnym pozorem nie możesz wychodzić po zmierzchu.

- On coś wie! Coś się szykuje dzisiaj w nocy.

- Słuchaj, on mnie naprawdę przeraził, mówił z takim zaangażowaniem... Naprawdę nie możesz nigdzie wyjść.

- Muszę.

- Nie, nie musisz.

- Stacey, trzeba mu pomóc, inaczej może zginąć. Ty zostajesz tutaj, dzwonisz do Jeremy'ego i mówisz, żeby przyszli tu razem z Nancy... Nie, lepiej znajdź ich, choćbyś miała z razem Garethem przeczesać całe miasto i przyprowadź ich tutaj.

- Zaczekaj! Przynajmniej...

- Muszę iść - przerwała przyjaciółce, wypadła z domu, wskoczyła do samochodu i odjechała. Nie miała czasu na rozmowy, zwłaszcza te niepotrzebne, które nic nie zmieniały.

Zaparkowała pod domem Canadych, niecierpliwie zabębniła pięścią do drzwi. Otworzyła jej Maggie, która położyła palec na ustach.

- Ciszej, właśnie położyłam dzieciaki na godzinkę - szepnęła.

Jessica skinęła głową.

- Chyba mam poważne kłopoty.

- Domyślam się. Ta biedna dziewczyna nie żyje, ciało znikło...

Burmistrz naciska na wyjaśnienie sprawy, a Sean nie może zdradzić, co naprawdę robi.

- Maggie, on chce dopaść wampira! Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Oczywiście, przecież to jego praca.

- Nie Sean, tylko Bryan McAllistair. Nie mogę tego rozgryźć. Kim on właściwie jest i w jakim celu tu przybył? Skąd wie? I jak dużo wie?

- Chodźmy do kuchni - zaproponowała Maggie. - Rozmawiając w holu, możemy-pobudzić dzieciaki.

Na stole w kuchni leżała rozłożona gazeta, jakby Maggie czytała ją przed przyjściem przyjaciółki. Pani domu zrobiła kawy, tymczasem Jessica nerwowo chodziła w tę i z powrotem.

- Słuchaj, on zjawił się w szpitalnej kostnicy z osinowym kołkiem, gotów zabić Mary. Tylko że ona obudziła się zdumiewająco szybko, więc nie zdążył. Powinna potrzebować dobrych paru godzin ciemności.

- Kiedy się obudziła?

- Tuż po zmierzchu.

Maggie zabębniła palcami po stole.

- Tylko Władca mógł tak szybko ją wezwać, to jego robota.

Powinniśmy byli domyślić się wcześniej. I nie puścić cię do Transylwanii.

- Daj spokój, nie mogę się przez całe życie ukrywać.

- Powinniśmy byli odgadnąć - powtórzyła. - Od lat nie widziałam takiego nieba. Moim zdaniem zostałeś tam celowo zwabiona.

- Ale jak to możliwe? Przecież Władca nie mógł wiedzieć, że tu jestem, że mieszkam w Nowym Orleanie.

- Czemu nie? Jeśli tropił cię od dawna... Potrząsnęła głową.

- Na wszelki wypadek postarałam się zostawić dowody, że nie żyję.

- A jednak kto wie, czy nie mam racji? Szkoda, że innych tu wtedy nie było, za nic nie powinnaś była jechać sama, bez żadnej pomocy. Moim zdaniem weszłaś prosto w pułapkę.

- Czekaj, zbaczamy z tematu. Rozmawialiśmy o Bryanie, ciągle nie wiem, co o nim sądzić.

- Rozumiem, że nie jest wampirem? - spytała Maggie, po czym odpowiedziała sama sobie: - Nie jest, wiedziałabym przecież...

- Ale kim jest? Wie o istnieniu wampirów, na pewno już ileś zabił, a za cel stawia sobie zabicie Władcy.

- Nic dziwnego, jeśli jest pogromcą wampirów. Władca to wcielenie zła.

- On budzi we mnie lęk.

- Bryan? - Maggie napiła się kawy i uniosła brew. - Wydawało mi się, że on działa na ciebie w zupełnie inny sposób.

Jessica zaczerwieniła się.

- To też... Ale właśnie to mnie niepokoi. Nie czułam się tak... nie pragnęłam... - Potrząsnęła głową. - Mam wrażenie, jakbym znała go od wieków i jakbyśmy należeli do siebie.

- Ale?

- A jeśli on odkryje, kim jestem? Nie, to niemożliwe - zapewniła szybko zarówno samą siebie, jak i przyjaciółkę.

Czekała na odpowiedź, lecz Maggie milczała w zamyśleniu, wreszcie rzekła:

- Powinnyśmy dowiedzieć się o nim tak dużo, jak się da. - Postukała palcem w gazetę.

- Co tam masz?

- Tytuły jego kolejnych wykładów. Następny ma być poświęcony Katherine, hrabinie Valor. Może ją też ściga?

- Nie, Katherine Valor została zabita, byli świadkowie, można o tym przeczytać w książkach historycznych - zaproponowała Jessica, po czym wyszeptała: - Maggie, skąd to poczucie, że ja go tak bardzo dobrze znam?

- A jeśli rzeczywiście kiedyś go znałaś? - podsunęła przyjaciółka.

- To niemożliwe. On mi przypomina... Ale ja widziałam, jak zginął. Maggie, ja widziałam jego śmierć!

- Na razie nie myśl o tym. Teraz musisz skupić się na znalezieniu Mary, to aktualnie jest najważniejsze zadanie. Aha, o tego młodego laboranta, który został ukąszony, nie musisz się martwić, na rozkaz Seana cały czas ktoś go pilnuje. Znajdź Mary i chroń tych jej dwoje przyjaciół, bo Władca będzie chciał ich dosięgnąć. A co do naszego profesora, to ja postaram się zdobyć jakieś wiadomości o nim. I powiem ci, że zabiorę się do tego nawet zaraz.

- Nie możesz nigdzie biegać, przecież masz dzieci, rodzinę...

- Ależ ja nie zamierzam nigdzie biegać, ja po prostu podłączę się do Internetu.

Bryan nie spał ani przez moment, nie pozwolił sobie nawet na chwilę odpoczynku. Leżąc u boku Jessiki, doświadczał przyływu gwałtownych uczuć, które i tak nie pozwoliłyby mu zasnąć. Przede wszystkim czuł palącą potrzebę chronienia tej kobiety. Doświadczał także zgrozy, dokładnie takiej samej, jaka prześladowała go w Transylwanii pod

postacią czegoś mrocznego, przygniatającego, duszącego. Chwilami jednak ustępowała, a wtedy po prostu trwał z Jessicą w ramionach, napawając się poczuciem łagodnego ciepła w duszy, poczuciem kompletnego zaspokojenia. Miał wrażenie, że znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien być, że jego miejsce jest przy niej, tak ufnie przytulonej do niego. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek doznawał czegoś podobnego.

Z całego serca pragnął przy niej zostać.

Ale jeśli miał zostać, musiał się od niej oderwać, by zacząć działać. Zanim wyszedł na miasto, porozmawiał ze Stacey, na poły ją prosząc, by zatrzymała Jessicę w domu, na poły jej niemal grożąc. Nie wiedział, czy to okaże się skuteczne, lecz sam nie mógł tego dopilnować, musiał się spieszyć.

Pojechał do gabinetu Jessiki, a kiedy nikt nie odpowiadał na pukanie, po prostu otworzył zamek wytrychem. W środku nie zastał nikogo. Gabinet został dobrze zabezpieczony przed wtargnięciem wampira, lecz Bryan nie martwił się o to, że Mary okaże się dość silna, by wtargnąć do środka, lecz o to, że Jeremy wpuści ją z własnej woli.

Kiedy tak stał na środku gabinetu, wahając się, co powinien zrobić, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Otworzywszy je, ujrzał ładną, choć wyraźnie przepracowaną kobietę przed czterdziestką, której towarzyszył naburmuszony siedemnastolatek.

- Witam, czym mogę służyć? - zagadnął uprzejmie Bryan.
- My do pani Frazer - odparła kobieta.
- Obawiam się, że dzisiaj nie przyjmuje wizyt.
- Och... - Kobieta wyraźnie zmartwiła się odpowiedzią.
- A może ja mógłbym w czymś pomóc?

Ku jego zaskoczeniu nastolatek ożywił się nagle.

- Hej, to przecież pan! Bryan pytająco uniósł brew.

- To pan jest tym profesorem. - Z wyrazem entuzjazmu na twarzy obrócił się ku matce. - Pisali o nim w gazetach, wykląda na temat wampirów.

To ją przeraziło, wyglądała, jakby chciała odwrócić się i uciec.

- Rzeczywiście jestem profesorem - potwierdził Bryan i dodał szybko: - Opowiadam o wierzeniach i legendach oraz ostrzegam ludzi przed uprawianiem różnych kultów.

Przez chwilę kobieta przyglądała mu się w milczeniu, a potem zaczerwieniła się, wygłaszając swoją prośbę:

- To może przekona pan mojego syna, żeby nie szedł dziś w nocy na cmentarz?

Bryan przeniósł życzliwy wzrok na chłopaka, starannie ukrywając podekscytowanie, chociaż puls mu przyspieszył. Czyżby...?

Nastolatek wzruszył ramionami.

- Wie pan, jesteśmy w Nowym Orleanie.

- Jakbyśmy mieli mało kłopotów... - mruknęła jego matka.

- Spotykasz się z przyjaciółmi na cmentarzu? - zagadnął Bryan. -

Widzisz, problem w tym, że ciemne, odosobnione miejsca przyciągają element kryminalny.

Kobieta zdecydowała się i wyciągnęła rękę.

- Myra Peterson. A to mój syn Jacob.

- Bryan McAllistair. Czy mógłbym z pani synem porozmawiać przez chwilę w cztery oczy?

Zawahała się.

- Chyba mógłbym pomóc - dodał.

- Jest pan przyjacielem pani Frazer? Współpracuje pan z nią? Ale przecież nie jest pan psychologiem, tylko wykładowcą.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Mimo to mogę pomóc.

- Kiedy... No dobrze. Dziękuję.

Bryan spojrzał na chłopaka z ponurym uśmiechem.

- Idziesz, Jacob?

Chłopak wyglądał na zaskoczzonego, zaintrygowanego i trochę przestraszonego zarazem. Wszedł do gabinetu, Myra Peterson została w niedużej poczekalni. Bryan zamknął za nimi obite drzwi gabinetu, wiedząc, że nie będzie przez nie nic słyszeć.

- Po jaką cholere chcesz iść na cmentarz? - warknął ostro.

Jacob odwrócił się ze zdumieniem.

- Co?

- Słyszałeś. Po co, kurwa, wybierasz się na cmentarz?

Chłopakowi dosłownie opadła szczęka.

- Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób. Powiem mamie.

- Jazda, leć, poskarż się. Ale najpierw powiesz mi, co będziecie robić na cmentarzu.

Poskutkowało.

- Podobno do Nowego Orleanu ma przybyć ktoś... Jakiś najpotężniejszy wampir, czy coś w tym stylu. A wtedy dostaniemy wszystko, czego dusza zapagnie.

- Ciekawe, na co wampirowi cmentarz? Jacob zaczerwienił się.

- Wiem, że w szkieletach nie ma krwi, ale... Ale oni tam przyjdą.

- Wampiry? Skinął głową.

- Ktoś cię nieźle wrabia, mały.

- Hej, ja...

- Czujesz potrzebę przynależenia do jakiejś grupy, tak? No i fajnie.

Prawie każdy czuje. Tylko że akurat nie tędy droga. Zastanów się, czego chce prawdziwy wampir? Krwi i niewolników, nic więcej. Dlatego trzymaj się od nich z daleka.

Chłopak odwrócił wzrok.

- No ale... Ale bycie wampirem... jest super.

- Słuchaj no, taki wampir chce wyssać z ciebie całą krew i na tym koniec. Albo zrobi z ciebie wampira, wtedy wrócisz, ale będziesz cały czas umierał z głodu, zabijesz swoich najbliższych, żeby go zaspokoić. A potem jakiś starszy, silniejszy i sprytniejszy wampir użyje cię, żeby w razie czego to ciebie złapano, a nie jego. I wtedy już na zawsze po tobie.

Jacob patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, w których widniał strach.

- Co? - spytał ostro Bryan. - Myślałeś, że te istoty mają ochotę się z tobą zakumplować z czystej życzliwości?

- Pan... Pan mówi, jakby... Jakby wampiry istniały naprawdę.

Bryan wzruszył ramionami.

- Tak czy owak mieszanie się do czegokolwiek związanego z wampiryzmem zawsze prowadzi do katastrofy. Czego dowiedziałeś się o tym cmentarzu?

- Niczego.

- Łżesz, mały. Łżesz, aż się kurzy. Jacob nerwowo oblizał usta, spuścił wzrok.

- Na którym cmentarzu macie się spotkać?

Chłopak milczał, przestępując z nogi na nogę. Bryan podszedł, chwycił go za ramiona, mocno potrząsnął i zmusił Jacoba, by ten na niego spojrzał.

- Ta dziewczyna, która była na imprezie w Transylwanii, nie żyje. Czy została zabita przez wampira? Tego się nie dowiesz z żadnej gazety. Czy sama wróci jako wampir? Możliwe. A jeśli wróci, to czy ktoś będzie ją ścigał i w końcu przebije jej serce kołkiem i poderżnie gardło? Na pewno. Dlatego nie chodź na żadną podobną imprezę, mały, bo skończysz tak samo. Gdzie to ma być?

- Nie wiem. Poważnie! Ja tylko słyszałem pogłoski, żeby iść na cmentarz. Ale nie na Saint Louis, tylko ten obok.

- Jak owce na rzeź... - mruknął Bryan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jessica prawie wybiegła z domu Canadych, wiedząc, że ma bardzo mało czasu przed zapadnięciem zmroku. Mimo zapewnień Maggie pojechała do szpitala, by własnym okiem ocenić sytuację. Faktycznie w izolatce Davida czuwał policjant. Pokręciła się chwilę po korytarzu, udając, że szuka innego pokoju, w rzeczywistości zaś próbowała przyjrzeć się funkcjonariuszowi. Oczywiście powinna ufać Seanowi, ale...

Był mieszanego pochodzenia, wysoki, potężnie zbudowany, przystojny. Ujrzała błysk srebrnego łańcuszka na smagłej szyi, dałaby głowę, że zawiesił na nim krzyż.

- I co z nim? - spytał policjant pielęgniarke, która na chwilę zajrzała do Davida.

- Coraz lepiej. Zaczął mówić, ale nic nie pamięta. - Zniżyła głos prawie do szeptu. - Wie pan, to jednak trochę upiorne. Jeszcze nigdy nie zginął nam nieboszczyk z kostnicy.

- To na pewno tylko głupi dowcip - zapewnił ją uspokajającym tonem.

- No nie wiem... Od kilku dni dziwnie mi ciarki latają po krzyżu. - Skinęła mu ręką, uśmiechnęła się i odeszła.

Jessica opuściła szpital i pojechała do swojego gabinetu, mając nadzieję znaleźć tam Jeremy'ego i Nancy, lecz nie zastała nikogo. Rozejrzała się dookoła, odnosząc wrażenie, że całkiem niedawno ktoś tu był i wyszedł niemal przed chwilą. Wyczuwała w powietrzu jakieś

napięciu, jakby coś się wydarzyło. Zamknęła oczy, próbując się skoncentrować. Czyżby Władca?

Nie, to był ktoś niepokojący, lecz nie zły, nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej. Wyszła z gabinetu i niemal krzyknęła z zaskoczenia, gdy wpadła na Dużego Jima.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - tłumaczył się z zakłopotaniem.

- Co ty tutaj robisz? Przecież nie przyszedłeś umówić się do mnie na wizytę.

- Przeczytałem w gazecie, co się stało. Boję się o ciebie.

- Nic mi nie jest.

- Musisz bardzo uważać, ja zawsze czuję głęboko w moich starych kościach, kiedy sprawy układają się źle. Znasz mnie i wiesz, że to prawda.

- Twoje kości nie są aż takie stare, Jim.

- Nie podoba mi się to wszystko. Ani trochę. W dodatku wielu naszych przyjaciół jest daleko.

- Wiem. Maggie zamierza ich obdzwonić.

- Niebo robi się coraz bardziej czerwone. Zło cię ściga i jest coraz bliżej.

Rozejrzała się.

- Jesteś sam, mam nadzieję?

- Tak. Barry Larson to porządny chłop, ale nie obawiaj się, o niczym nie wie, czasem tylko sobie żartujemy z tego, że moja babka była kapłanką wudu, to wszystko.

- Jim, musisz zachować ostrożność, całe miasto powinno zachować ostrożność, najchętniej poprosiłabym Seana o wprowadzenie godziny policyjnej.

- Zamknęliby go u czubków.

- Zdaję sobie z tego sprawę i wyłącznie to mnie powstrzymuje.

- Zadzwoń, gdy tylko będziesz mnie potrzebować. Zjawię się od razu.

Uściskała go serdecznie.

- Wiem. Dzięki.

- I jeszcze jedno... Moim zdaniem w twoim otoczeniu ktoś nie jest tym, kim się wydaje.

Ściągnęła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała ostro.

- Jeśli Władca przybył do Nowego Orleanu, musi tu mieć jakiegoś pomocnika. Kogoś blisko ciebie.

Popatrzyła na Dużego Jima i odetchnęła głęboko. On miał rację! Miał rację, lecz nie chciała w to wierzyć, więc potrząsnęła głową.

- W Transylwanii była tylko ta trójka dzieciaków oraz Bryan McAllistair, ale to łowca wampirów. Postawił sobie za cel zabicie Władcy.

- Taak? A skąd o tym wiesz? Bo on tak powiedział, prawda? Hmm... I zobacz, gdzie się zatrzymał. Miasto jest duże, a on zamieszkał akurat u ciebie.

- Nie, to nie może być on. Nie wierzę.

- A ja ci radzę, uważaj na niego. On nie potrzebuje zaproszenia, żeby wejść do twojego domu...

- Pomocnikiem może być ktokolwiek, zresztą nikt taki nie musi istnieć, przecież w Transylwanii Władca nie potrzebował żadnej pomocy - przypomniała, lecz nie zdołała przekonać Dużego Jima.

- Ktoś mu służy, i to ktoś z twojego najbliższego otoczenia - ostrzegł.

- Wybacz, ale muszę już iść - rzekła, kończąc nieprzyjemny dla niej temat. - Mam prośbę, miej uszy otwarte na to, co ludzie mówią u was w klubie. Może się czegoś dowiesz. - W tym momencie zadzwoniła jej komórka, więc Jessica odebrała, zerknąwszy uprzednio na numer na wyświetlaczu. - Cześć, Maggie.

- Przyjedź do mnie. Natychmiast.

- Ale ja miałam znaleźć...

- Lepiej przyjedź do mnie. Mówię poważnie. Jeszcze zdążysz przed zmrokiem.

Jessica zakończyła rozmowę i spojrzała na przyjaciela.

- Jim, pamiętasz, jak wygląda Jeremy, prawda? Widziałeś go w szpitalu. Gdybyś przypadkiem gdzieś go zobaczył, powiedz mu, żeby koniecznie poszedł razem z Nancy do mnie do domu. To naprawdę ważne.

Maggie otworzyła drzwi, ledwie Jessica zdążyła podjechać pod dom Canadych.

- Co się stało?

- Znalazłam ciekawe starożytne teksty - wyjaśniła Maggie.

- W Internecie?

- Och, w Internecie jest wszystko, trzeba tylko cierpliwie poszukać.

Chodź.

Znowu weszły do kuchni; tym razem stół zaścielały zadrukowane kartki.

- Siadaj. Masz, tu jest stary babiloński zapis, a tutaj tłumaczenie. „Powstaje, gdy czas dojrzeje, gdy sukuby po ziemi krążą. Nie bóg, nie człek, nie zwierz, staje do walki ze złem.” A tu jest tekst watykański z dwunastego wieku.

- Po łacinie. Dzięki.

- Tłumaczenie masz na odwrocie. „Tak jak demony, tak i aniołowie będą. A jak walka we świecie nie jest jeno walką w duszy, tak powstaną moce diabelskie, które zasieją strach pośród niewinnych. Ale także wojownicy powstaną, tchnieniem życia obdarzeni, by walkę z nimi prowadzić. Tedy nie traćcie wiary i bądźcie silni odwagą. Ta walka po wieki wieków trwać będzie, jako iż jest światłość i ciemność, miłość i złość. Tak więc On w litości swojej tchnie życie w tych, co rycerzami byli i pośle ich do boju, by miast rozpaczy budzili nadzieję. A oni bój wieczny toczyć będą.”

Jessica odłożyła kartkę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Jak to znalazłaś?

- Siedziałam przy komputerze, odkąd wyszłaś. Znalazłam też z tuzin innych źródeł dotyczących owych wojowników, masz tutaj wszystkie wydrukowane. Powiem ci, że ja kiedyś o nich słyszałam.

Pamiętam, że był taki okres, gdy w Europie sporo o nich mówiono i cieszyli się niemal zabobonnym strachem. Ty też musiałaś coś słyszeć.

- Wiesz, kiedy tak mówisz, zaczyna mi się przypominać... Owszem, obito mi się coś o uszy o tych wojownikach, ale sądziłam, że to byli wysłannicy Kościoła w czasach, gdy wierzono, że stara zielarka to czarownica i narzeczona szatana, że ludzie podpisują pakt z diabłem

własną krwią i tańczą nago na polanach przy świetle księżyca. Myślisz więc, że Bryan McAllistair jest jednym z tych wojowników?

- Więcej. Myślę, że jest najpotężniejszym z nich. Moim zdaniem to on był tym rycerzem, który osłonił ucieczkę świeżo koronowanego Roberta Bruce'a, gdy żołnierze Edwarda I niemal wycięli Szkotów w pień.

Jessica opadła na krzesło.

- To niemożliwe.

- Owszem, możliwe.

- Mówisz o początku czternastego wieku, miałby więc ponad siedemset lat.

- Nie znalazłam nigdzie wzmianki o tym, jak długo mogą żyć.

- Za to ja pamiętam z historycznych opracowań, że rycerz Roberta Bruce'a zginął podczas osłaniania odwrotu króla.

- Nie wszystko jest tym, czym się wydaje - przypomniała jej Maggie.

- Moim zdaniem powinnaś teraz wracać do domu i nie wychodzić stamtąd.

- Wiesz, że nie mogę. Nie wierzę w twoje rewelacje, ale obiecuję uważać na siebie.

- Najlepiej trzymaj się z daleka od Bryana McAllistaira. Dobrze?

- To będzie trudne, skoro mieszka w moim domu.

- W takim razie poproś, by go opuścił. Jessica spuściła oczy w poczuciu winy i zarumieniła się po same uszy,

- O nie! - jęknęła Maggie. - Ty go nie wyprosisz. Ty z nim sypiasz!

- Tak - przyznała się po chwili Jessica. - Jest w nim coś takiego... - urwała, nie wiedząc, jak ująć w słowa to, co czuła.

- Ale przynajmniej bądź bardzo ostrożna. Tylko o to proszę.

Jessica wstała, przyjaciółka odprowadziła ją do drzwi.

- Aha, widziałam się z Dużym Jimem, on uważa, że Władca ma pomocnika w kimś z mojego otoczenia. Ten ktoś mógł być w Transylwanii.

- Jedno z tych studentów? - spytała sceptycznie Maggie.

- Nie, Bryan, twój wojownik w lśniącej zbroi.

- Nadal twierdzę, że mam rację co do niego.

- Ale tam był jeszcze ktoś... Zjawił się przede mną i zaczął walczyć z Władcą. Właśnie wtedy wśród gości wybuchła panika. Ja obrałam strategię wyczekiwania na dogodny moment, ponieważ on ma taką władzę nad wszystkimi, którzy mu służą, że jeśli coś mu zagrozi, to oni bez sekundy namysłu rzucają się całym stadem i zginą, byleby tylko go ochronić. Jego trzeba wziąć przez zaskoczenie, inaczej nawet nie dostaniesz się w jego pobliże. Czekałam więc, obserwując wszystko i oceniając sytuację, lecz nim zdołałam wykonać pierwszy ruch, zaczęła się walka.

- Jeszcze raz proszę, trzymaj się z dala od Władcy. On chce cię zabić.

- Dlatego tym razem muszę działać szybciej od niego. Tylko że czasu jest tak mało, a wydarzenia toczą się lawinowo!

- Może jednak powinnaś się wycofać i pozwolić, żeby Bryan się z nim rozprawił, w końcu to ceł jego życia.

- Nie, sama muszę stoczyć walkę z moim osobistym wrogiem.

- Proszę cię, odpuść sobie - błagała Maggie. - Nie posłuchasz mnie, prawda? - spytała ze smutkiem, widząc zdeterminowany wyraz twarzy przyjaciółki.

Jessica potrząsnęła głową, jeszcze raz uściskała Maggie i wyszła. Spojrzała w niebo, powoli nabiegające czerwienią. Coś się miało stać.

Jeszcze tej nocy.

Ku swemu zaskoczeniu Bryan zdołał znaleźć Nancy i Jeremy'ego, siedzieli w klubie zaledwie o przecznicę od Bourbon Street, sącząc jakiegoś zielonego drinka i słuchając łagodnego rocka. Usiadł przy ich stoliku.

- Cześć, profesorze - rzekł z przygnębieniem Jeremy.

Nancy przywitała się również, lecz postarała się, by jej ton zabrzmiał bardziej pogodnie.

- I co u was?

- Świetnie - wycedził ponuro Jeremy. - Moja najlepsza przyjaciółka nie żyje, waszym zdaniem została wampirem, który chce mnie zabić, dlatego zamierzacie przebić ją osinowym kołkiem. Jej matka w kółko do mnie wydzwania, a ja nie mam odwagi odebrać i porozmawiać z nią. W dodatku wygląda na to, że resztę życia będę musiał spędzić w ukryciu. Boję się, ale chcę ją zobaczyć. Gdybym powiedział to do kogoś innego, zamknęliby mnie w psychiatryku.

- Całkiem zgrabnie udało ci się podsumować sytuację w kilku krótkich zdaniach - stwierdził Bryan. - Ale teraz pora się zbierać, robi się późno. Zaprowadzę was do domu Jessiki. Teraz - rzekł stanowczo.

- Ale ona zainstalowała nas w swoim gabinecie - zaproponowała Nancy.

- W Rezydencji Montresse jest bezpieczniej, tam będziecie mieli towarzystwo.

- Jasne. - Jeremy popatrzył na niego oskarżycielskim wzrokiem. - Liczysz na to, że Mary przyjdzie i będziesz mógł ją zabić.

Nancy wzięła przyjaciela za rękę.

- Jeremy, ona już nie żyje.
 - Ale wygląda tak samo. I kiedy mnie wołała po imieniu...
 - Jest straszliwie głodna, to wszystko - uciał Bryan i wstał od stolika.
- Idziemy.

Rezydencja Montresse okazała się bardzo piękna, prowadząca pensjonat Stacey szalenie miła, chociaż trochę apodyktyczna, a stróż Gareth milczący i trochę niesamowity, bo niby w ogóle nie było go widać, ale czasami człowiek czuł jakiś dziwny dreszczyk, przelatujący po krzyżu, odwracał się i widział, że Gareth za nim stoi.

Ale dom rzeczywiście wydawał się bezpieczny, w dodatku już samo towarzystwo zupełnie wyluzowanej i szalenie pewnej siebie Stacey trochę podniosło ich na duchu.

- Wierzysz w to wszystko? - spytał Jeremy, gdy zaprowadziła go do pokoju gościnnego na piętrze, gdzie tak samo jak wszędzie w domu wisiały różne symbole religijne. - Przecież to jakieś wariactwo.

Uśmiechnęła się.

- Przez większość czasu w życiu panuje równowaga i względny porządek, ale czasem rzeczy stają na głowie.

- Czyli wierzysz w istnienie wampirów.

- Tak.

- Ale... ale jak to możliwe?

- Istnieją różne światy, które zazwyczaj egzystują obok siebie, ale czasem dochodzi do kolizji pomiędzy naszym światem a innym. Co powiesz na takie wyjaśnienie?

- Że brzmi jak bełkot.

- Cóż, innego wytłumaczenia ode mnie nie usłyszysz. Idę zobaczyć, co u Nancy, a ty rozgość się tutaj.

- Gdzie jest Jessica? Muszę z nią porozmawiać.

- Nie wiem, gdzie jest, ale wiem, że macie oboje tu zostać i uważać na siebie, zwłaszcza ty.

- Muszę porozmawiać z nią o Mary i przekonać ją, że cokolwiek się stało, Mary nie jest zła. To po prostu niemożliwe.

Stacey potrząsnęła głową.

- Ta obecna Mary jest dziełem złej istoty i musisz się z tym pogodzić. Niedługo wrócę, bo nie powinieneś być sam.

Jeremy podszedł do drzwi balkonowych i zaciągnął zasłony. Na karniszach wisiały ozdobne girlandy z kwiatów ze zręcznie wplecionymi w nie warkoczami czosnku.

Mocno zacisnął palce na mającym go chronić srebrnym krzyżu, a wtedy przypomniał sobie, z jaką gwałtownością Mary zerwała z szyi swój własny i odrzuciła jak najdalej od siebie.

Stacey zapukała do sypialni Jessiki, lecz odpowiedziała jej cisza, co znaczyło, że przyjaciółka jeszcze nie wróciła. Potem zapukała do Bryana - z takim samym rezultatem. Dziwne, przecież dopiero co przyprowadził tych dwoje. Na wszelki wypadek Stacey użyła klucza uniwersalnego i zajrzała do pokoju, chociaż zazwyczaj nie robiła takich rzeczy, jednak sytuacja była wyjątkowa. Nikogo.

Zadzwonił jej telefon komórkowy, czym prędzej wyłowila go z kieszeni.

- Jessica, nareszcie! Powinnaś jak najszybciej wracać do domu.

- Nie mogę, ale dopilnuj, żeby Bryan nie wychodził.

- Kiedy jego nigdzie nie ma! Właśnie przyprowadził te dzieciaki, ulokowałam je w pokojach, a on w tym czasie zniknął. Jessica zaklęła cicho.

- Gdybyś go jednak zobaczyła, powiedz, że koniecznie musi zostać, bo może przyjść Mary. Albo wymyśl cokolwiek innego, w każdym razie znajdź sposób, żeby zatrzymać go w domu. Przekonaj go jakoś.

- Postaram się. Słuchaj...

- Tak?

- Mary rzeczywiście przyjdzie, prawda?

- Tak. Mary przyjdzie.

- Jeremy...

Odkąd Stacey wyszła z jego pokoju, siedział nieruchomo na krześle, cały czas tępo wpatrując się przed siebie.

- Jeremy... Jęknął.

- Nic nie słyszę. Wcale tego nie słyszę - rzekł głośno.

Ale znowu usłyszał jej głos.

- Proszę cię...

Wiedział, że nie powinien tego robić, a jednak wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Za oknem była Mary, tym razem już nie naga, ale to niewiele pomogło, nadal wyglądała zjawiskowo. Wzięła skądś białą suknię, podobną do sukni ślubnej, odsłaniającą ramiona, podkreślającą kształt biustu i smukłość talii. Stała w powietrzu, biały materiał falował wokół niej, zdawała się niewinna jak sam anioł.

Jeremy powiedział sobie, że widział podobne sceny na filmach, więc powinien wiedzieć, czemu ona patrzy na niego takim spragnionym wzrokiem. Jest głodna i nie może się doczekać, aż się naje...

- Och, Mary... - rzekł ze smutkiem.

- Jeremy, tak się boję. Zmusił się, by jej odpowiedzieć:

- Mary, ty nie żyjesz.

- Nie! Jestem tutaj i potrzebuję twojej pomocy. Nie skrzywdzę cię, przysięgam. Boję się. Nie mogę tam iść. Jeśli pójdę, to już po mnie. Musisz mnie wpuścić, musisz mnie tu zatrzymać, wtedy będę bezpieczna.

Teraz jest wampirzycą, powiedział sobie. W dodatku wykorzystywała go przez całe życie, chciała to zrobić ponownie, tym razem potrzebując jego krwi. Przyszła go zabić.

- Jeremy...

Czy wampiry mogą płakać? Widocznie tak, ponieważ po jej bladych policzkach stoczyły się ogromne łzy.

- Mary, proszę cię, nie płacz.

- Boję się. On mnie wzywa... On mi wydaje rozkazy... Pomóż mi, nie pozwól mi tam iść, zatrzymaj mnie tutaj, zatrzymaj mnie przy sobie.

Otworzył drzwi, wyszedł na balkon, wyciągnął rękę, Mary spłynęła w dół i dołączyła do niego. Zdziwił się, gdyż wcale nie była lodowato zimna, jak się tego spodziewał. Mocno otoczył ją ramionami, odwzajemniła uścisk, przycisnęła wargi do jego ust. Dygotała jak w febrze.

Po chwili poczuł jej miękkie, mocno drżące wargi na swojej szyi.

Serce zabiło mu mocniej. Czyli jednak... Nigdy nie potrafił jej się oprzeć, nigdy nie umiał odmówić. I teraz umrze przez nią.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zmierzch zapadł dziwnie gwałtownie, księżyc wstał wcześniej, cały czerwony, jakby broczący krwią. Jessica jechała szybko w stronę Bourbon Street, bo chociaż powiedziała Stacey, że nie może wrócić, znienacka opadło ją przeczucie, że musi wracać natychmiast, a potem równie szybko wyjść, bo czekało ją kolejne zadanie, ale najpierw musi sprawdzić, co dzieje się w domu.

Prędzej, prędzej!

Czemu nie odgadła, że ściemni się niemal w jednej chwili? Powinna była się domyślić. I czemu instynkt nie podpowiadał jej, gdzie odbędzie się to coś, co szykowało się tej nocy? Tak na logikę na miejsce spotkania w Nowym Orleanie najprawdopodobniej zostanie wyznaczony cmentarz - ale który?

Ponownie zerknęła na niebo. Księżyc wyglądał groźnie, lecz wciąż jeszcze nie była to Czarcia Pełnia, zalewająca wszystko krwistą poświatą. Kiedy wysiadła z samochodu, poczuła, że coś jest nie tak, więc pędem wpadła do środka, gdzie czekała w pełni gotowa do akcji Stacey, która oblała się wodą święconą, a w dłoni trzymała pistolet nabity specjalnie przygotowanymi kulami ze srebra i osikowego drewna.

- Mogłam cię zabić! - krzyknęła na widok Jessiki.

- Ale nie zabiłaś. Dobrze cię wyszkoliłam i mam do ciebie zaufanie.

- Dobrze, że wróciłaś. Przyznam się szczerze, że nigdy w życiu się tak nie bałam. Cały czas mam wrażenie, że jeszcze ktoś tu jest.

- Bo jest! - rzekła z przekonaniem Jessica. - Gdzie Jeremy?

- Na górze. Jego pokój jest doskonale zabezpieczony, dopilnowałam wszystkiego.

Jessica już biegła po schodach.

- Ale nie możesz zabezpieczyć go przed nim samym, prawda?

Minęła swoją sypialnię, sypialnię Bryana, szarpnęła trzecie drzwi, alarmując tym właśnie zasypiającą Nancy.

- Co się dzieje? - przestraszyła się dziewczyna.

- Nic, śpij dalej.

Czwarte drzwi. Pusty pokój. A na balkonie objęci Jeremy i Mary.

Zdawało się, jakby Jessica dosłownie przeleciała nad podłogą, w jednej sekundzie znalazła się przy nich, lecz Jeremy natychmiast zasłonił ukochaną swoim ciałem.

- Stój! Nic mi nie zrobiła, przysięgam. A ja nie wpuściłem jej do twojego domu. Jeśli chcesz ją zabić, najpierw musisz zabić mnie.

- Jessico, proszę - odezwała się zza jego pleców Mary. - On mówi prawdę, nie zrobiłam mu żadnej krzywdy.

- Sama zobacz. - Jeremy przechylił głowę na bok, by pokazać szyję, na której nie było żadnego śladu.

Jessica wiedziała, że nie powinna się wahać, nie miała sekundy do stracenia. Na balkon wypadła Stacey, wyciągając broń przed siebie, lecz przyjaciółka przytrzymała ją.

- Pokaż rękę, Jeremy - rozkazała. - Podwiń rękawy i pokaż żyły.

Zrobił tak, ukazując nienaruszoną skórę. Owszem, wampiry miały jeszcze inne sposoby, lecz Jessica nie sprawdzała już dalej, gdyż nie wątpiła, że Jeremy nie kłamie. Kto wie, może jeszcze uda się uratować Mary?

- Stacey, przynieś jej picie.

- Co?

- Słyszałaś.

- Ale jak możesz ufać...

- Trzeba w coś wierzyć, Stacey. Proszę, pospiesz się. Idź już.

Przyjaciółka wybiegła.

- Nie zrobisz jej krzywdy, prawda? - szepnął błagalnie Jeremy.

- Nie zabiłam nikogo, przysięgam - odezwała się Mary. - Raz omal do tego nie doszło, ale na szczęście przeszkodzono mi. A potem... Cóż, natknęłam się na kota... I na kilka ptaszków. Rottweiler okazał się zbyt groźny. Okropnie jestem głodna, ale nie zrobiłam nic Jeremy'emu i nigdy nie zrobię. Przyszłam tu tylko po to, żeby mnie powstrzymał.

- Przed czym? Mary zawahała się.

- Przed czym? - powtórzyła niecierpliwie Jessica ostrym tonem.

- Przed pójściem na ucztę. Dziś w nocy. Zostałam wezwana, ale boję się tam iść.

- Gdzie? Tylko konkretnie.

- Na cmentarz.

- Który?

- Tam mamy się spotkać... - Mary sprawiała wrażenie, jakby coś zaczęło ją rozpraszać, jakby nie mogła zebrać myśli. Przycisnęła dłonie do skroni. - Władca mówi, że to będzie moja pierwsza uczta. Mówi, że odtąd należę do niego. A kiedy przyjdę, dowiem się, kim naprawdę jestem i poznam jego prawo, które jest prawem dla nas wszystkich... Z cmentarza zostaniemy zabrani do jakiegoś miejsca nad rzeką.

- Z którego cmentarza? - ponowiła pytanie Jessica.

Wróciła Stacey, przynosząc zwykłą plastikową butelkę, którą podała Jessice, a ta wyciągnęła ją w stronę Mary. Dziewczyna wreszcie odważyła się wychylić zza placów Jeremy'ego.

- Co to jest? - spytała podejrzliwie, ściągając brwi.

- Antidotum - warknęła Jessica. - Mów, o który cmentarz chodzi.

Otrzymawszy tę informację, wydała kilka poleceń - najważniejsze brzmiało, by Mary pozostawała wyłącznie w jednym miejscu i nie ruszała się z niego pod żadnym pozorem - i wybiegła.

Bryan starał się jak najdłużej nie ujawniać swojej obecności. Choć ulica przy cmentarzu była jasno oświetlona, by odstraszyć potencjalny element przestępczy, rozłożyste dęby, obrośnięte zwieszającym się mchem luizjańskim, rzucały cień, w którym można było się ukryć. W dodatku niedługo po przybyciu Bryana parę latarni tajemniczo zgasło.

Widział jakiś ukradkowy ruch przy bramie cmentarnej, słyszał szepty, a w pewnym momencie nawet śmiech. Potrząsnął głową, w duchu przeklinając głupotę tych, którzy mając ochotę na trochę seksu i trochę dreszczyku, wchodzili prosto w pułapkę. To przez takich jak oni dotąd nie zabił Władcy, chociaż kilkakrotnie znajdował się już bardzo blisko osiągnięcia swego celu. Za każdym jednak razem wróg wymykał się w chwili, gdy Bryan ratował jakieś niewinne owieczki... No, nie aż takie niewinne, pomyślał. Ale przynajmniej niemające na sumieniu tego rodzaju zbrodni.

Brama była wysoka, z kutego żelaza, pochodziła z epoki wiktoriańskiej, kruszejący mur wzniesiono z kamieni. Bryan ocenił jego wysokość i jednym zwinnym susem znalazł się na szczycie, potem zeskoczył cicho. Natychmiast uderzyła go obecność czegoś złego, czegoś

groźnego, wyraźnie wyczuwał niepokojące miazmaty. Wciąż trzymając się w cieniu, podążył wąską alejką wśród eleganckich mauzoleów, okazałych pomników, zapomnianych grobowców, wśród starych drzew, których korzenie rozsadzały kamienne płyty, wśród rzeźb aniołów, czasem uszkodzonych, zdających się płakać.

Przy jednym z mrocznych grobowców ujrzał czekającą postać.

Dziewczyna ubrała się tak, jakby chciała przypominać domine, włożyła wysokie skórzane buty i króciuteńką spódniczkę, lecz włosy miała ufarbowane na wiele wściekłych kolorów i krótko obcięte w stylu punk.

- Cześć - powiedziała, wyłaniając się z cienia.

- Masz fajny strój, pasuje do ciebie. Przyszedłeś na spotkanie, co? To będzie niezła zabawa. Najbardziej szalona w twoim życiu.

Mówiąc, przysuwała się coraz bliżej, a gdy Bryan uśmiechnął się zachęcająco, zbliżyła się jeszcze bardziej, wyciągając rękę.

- Chcesz zacząć od razu? - spytała zmysłowym szeptem. - Zrobić to tu i teraz? Jestem gotowa. Czekałam na kogoś takiego jak ty. Hej, co z tobą?

- Zachichotała. - Zobaczysz, za kilka sekund będziesz umierał z pożądania jak wszyscy inni mężczyźni. Kobiety też. - Zachichotała ponownie. - Będę spełnieniem twoich najśmielszych snów. No chodź, zaraz się przekonasz, daj mi szansę, wystarczy jeden pocałunek... - Jej głos stał się nieco syczący. - Zaufaj mi.

Wspięła się na palce, oblizując wargi. Bryan czekał z uśmiechem, doskonale wiedząc, co nastąpi, gdyż widział to już wiele razy. Przytuliła się, rozchyliła usta, kły błysnęły czerwono w szkarłatnej księżycowej poświacie.

Już sięgała do jego szyi, gdy błyskawicznym ruchem wyrwał spod płaszcza trzymany w pogotowiu osinowy kołek i przebił jej serce, nim zdążyła się zorientować, co się dzieje. Krzyknęła, przez krótki moment patrzyła na niego z nienawiścią, a potem rozsypała się w proch, który upadł na ziemię u jego stóp.

- Spełnienie snów, akurat - mruknął. - Raczej koszmarów.

Zastanawiał się, ile jeszcze ich spotka tej nocy. Miał szósty zmysł, gdy chodziło o wyczuwanie wampirów, odgadywał więc, że w ciągu najbliższych godzin czeka go sporo pracy. Skoro przybywał sam Władca, wzywając wszystkich, to wiele wampirów ośmieli się wyjść ze swoich kryjówek, nawet jeśli tkwiły w nich od dawien dawna.

Istniały różne rodzaje wampirów, jedne doskonale radziły sobie w nowoczesnym świecie, korzystając ze zdobyczy technologii, inne ograniczyły swoje apetyty do żywienia się krwią zwierząt, jeszcze inne myślały wyłącznie o przetrwaniu. Tej nocy ściągały tu wszystkie, posłuszne rozkazowi Władcy, który przypominał im, że są potężne, a ludzie to tylko bydło na rzeź.

Jessica myliła się, nie istniało coś takiego jak dobry wampir. One żyły, żeby zabijać.

Głębiej naciągnął kapelusz na czoło i ruszył przed siebie.

Jessica kroczyła pośród nich śmiało i pewnie, spowita w pelerynę z kapturem, a idąc, obserwowała wszystko i bacznie nasłuchiwała rozmów. Oto grupka młodych fanatyków powieści o wampirach przyszła w strojach z osiemnastego wieku. Oto stadko chichoczących nastolatków z tatuażami i kolczykami, gdzie tylko się da, strzelało oczami na wszystkie strony.

Każda ubrała się na czarno, chociaż jedne zamiatały spódnicami ziemię, a

innym prawie było widać pośladki. Oto kilku podpitych, zachowujących się coraz głośniej.

A pomiędzy tymi i innymi grupkami samotne postacie - przechadzające się niespiesznie, dokonujące wyboru... To ci, którzy przybyli nie tyle się zabawić, co pożywić. Pożywić się kosztem tych, którzy dawali się tak łatwo zwieść, spragnieni jakiejś rozrywki w życiu. Jessica wyczuwała ledwie wstrzymywany głód tych upiornych myśliwych, czuła ich narastające wyczekiwanie, wiedziała, jak bardzo muszą być wdzięczni Władcy za zorganizowanie dla nich takiej uczyty.

- On przybędzie - odezwał się ktoś, zatrzymując Jessicę.

Ujrzała wysokiego i szczupłego bruneta, który nie wydawał się stary, stare miał jedynie oczy - znużone, zdradzające duże doświadczenie. I lubieżne.

- Ale któż wie o tym lepiej niż ty, najbardziej ukochana z jego sług? Cały świat wie o tobie, domino. - Skłonił głowę jak przed królową.

Czyli dobrze sobie poradziłam, rozsiewając w Transylwanii plotki o dominie, pomyślała. Władca nie wiedział, że ma partnerkę, ale wszyscy inni wiedzieli o tym doskonale, Jessica o to zadbała, więc gdy tamtej nocy przybyła do ruin zamku, nikomu nie przyszło do głowy, by zakwestionować jej obecność, przeciwnie, przyjęto ją jako gospodynię balu, okazywano szacunek i podziw. Dobrze odegrała swoją rolę.

Teraz jednak Władca wiedział o istnieniu swojej rzekomej kochanki, więc pewnie będzie miał się na baczności. Kto wie, czy nie zwołał tego balu w Nowym Orleanie, by ją zwabić, by zjawiała się znowu...

Jessica powinna była poszukać sobie jakiegoś pomocnika, a nie po raz kolejny działać sama. Mogła przynajmniej uprzedzić Seana. I co, zaryzykować jego życie? W żadnym wypadku.

W Transylwanii była pewna siebie oraz miała po swojej stronie element zaskoczenia, a mimo to poniosła porażkę, gdyż przeliczyła się, błędnie oceniła sytuację. Sądziła, że wystarczy sprytnie wyczekać na odpowiedni moment... Spóźniła się zaledwie o kilka sekund, lecz właśnie tych kilka sekund przesądziło sprawę i Mary zginęła. Jessica czuła, że zawiodła, dlatego nie miała sumienia prosić nikogo o pomoc tej nocy, gdyż nie chciała, żeby znowu ktoś przypłacił życiem jej pomyłkę. Tym razem jednak sytuacja była groźniejsza, gdyż Władca zapewne jej oczekiwał;

Zacisnęła zęby. Niezależnie od tego, co się miało stać, musiała wierzyć w samą siebie, a przede wszystkim musiała wierzyć w słuszność tego, co robiła. Najważniejsze, że stała po stronie dobra.

Uśmiechnęła się.

- To nie rozpocznie się tutaj - odparła, próbując zarzucić przynętę i nakłonić rozmówcę do zdradzenia tego, co wiedział. Nie miała pojęcia, co zaplanował Władca. Na pewno wybrał na ucztę jakieś miejsce bardziej oddalone od miasta, światła i policji, ten cmentarz wcale nie był taki bezpieczny z jego punktu widzenia i nie nadawał się do jego celów. Tylko gdzie znajdowało się to inne miejsce? - Władca nie lubi zostawiać po sobie... nieporządku.

- Wiem. Słyszałem o tym tuzinie powozów, które mają po nas zajechać i zawieźć tam, gdzie będziemy mogli zaspokoić nasze pragnienie.

Powozy? Pomyślała, że raczej pojawią się limuzyny. Władca był zbyt sprytny, by chciał ryzykować wzbudzenie jakichkolwiek podejrzeń. Oczywiście poza samymi jadącymi nikt nie zauważył tej kawalkady wozów, Władca potrafił spowodować, że ludzie nic nie widzieli - nawet w biały dzień.

- Cieszę się, że cię wreszcie ujrzałem. W Transylwanii mówiono, że przybędziesz, powitasz nas wszystkich i dasz sygnał do ataku. - Przysunął się bliżej. - Musisz uważać. Tamtej nocy ktoś podszył się pod ciebie. Ona zabiła wielu naszych. W dodatku pojawił się wojownik. - Zadrżał na samo wspomnienie.

Jessica zacisnęła zęby. Wojownik... Cały czas nie wiedziała do końca, co właściwie się tam wydarzyło. Tej nocy musiała zachować szczególną ostrożność.

- Dzisiaj jesteśmy najzupełniej bezpieczni, Władca osobiście chroni nas swą potęgą - zapewniła. - Skąd przybyłeś? - spytała, gdyż mówił po angielsku z lekkim akcentem.

- Z Francji. Od razu po Transylwanii wiedzieliśmy, że Władca zwoła jakieś wielkie zgromadzenie, ponieważ wszyscy łakniemy zemsty. Niestety, tamtej nocy straciliśmy wiele starożytnych wampirów z powodu podstępu i zdrady, lecz Władca przeżył.

On nie zostanie pokonany nigdy. - Przysunął się jeszcze bliżej. - Nie miałem dotąd przyjemności zostać ci przedstawionym. - Skłonił się. - Henri, hrabia de Vallier. - Znalazł się jeszcze bliżej, zaczął jej szeptać do ucha: - Żyję od wielu lat, mam ogromne doświadczenie...

- Doprawdy?

- O tak. Wyssałem krew z wielu piękności, lecz każda z tych kobiet umarła w ekstazie, powtarzając moje imię.

Dotknęła jego twarzy.

- Naprawdę odbierałeś życie niewinnym? Napawałeś się szlochom umierających?

Uśmiechnął się, jakby zostali najlepszymi przyjaciółmi.

- Podobno żyjemy już w innych czasach, podobno teraz powinniśmy myśleć o dobru, nie musimy być potworami. Ale to mrzonki, bo jesteśmy, czym jesteśmy. Mimo to ja też staram się szukać nowych dróg, najczęściej pożywiam się tymi, którzy i tak nie pragną już dłużej żyć. Nadal jednak mam wielką słabość do kobiet, pięknych młodych kobiet. W zamian za to, co biorę, mogę im dać coś, czego nigdy wcześniej nie zaznały... -

Zmysłowo przesunął palcami po jej ramieniu. - Wiem, że jesteś ukochaną Władcy - szepnął. - Wszyscy wiedzą.

- O? - Posłała mu zachęcające spojrzenie.

- I wiem także, że oprócz żywienia się ludzką krwią bardzo lubisz zabawiać się z tymi, którzy należą do naszego rodzaju. Władca doskonale rozumie, czym jesteśmy i czego potrzebujemy. Nasz tak zwany król jest idiotą, wierząc, że ludzkość zaakceptuje nas, kiedy zacniemy żyć według jej reguł. Ale czym jest ludzkość? Stadem, które dostarcza nam pożywienia, niczym więcej. Władca to wie, dlatego czcę jego, zaś króla mam za głupca. I chociaż kuszisz mnie bardziej niż sam grzech, nie poważę się sięgnąć po własność naszego Władcy.

- Nie należę do Władcy, tylko do samej siebie - odparła.

Robiło jej się słabo, gdy pomyślała o tych wszystkich młodych kobietach, które Henri uśmiercił. O takich kobietach jak Mary. Nie, to

było co innego. Henri wypijał całą krew, więc jego ofiary umierały, zaś Władca potrafił swoje ofiary wezwać do życia

- nie, nie do prawdziwego życia, lecz do pewnego rodzaju istnienia - by służyły jego celom. Który z tych dwóch rodzajów okrucieństwa był gorszy? Jessica nie wiedziała. Zamierzała zabić Mary, a jednak nie zrobiła tego, jakby nawet istnienie jako wampir było lepsze od śmierci. Tylko czy aby na pewno?

Jednak w pewnych sprawach Henri miał słuszość - ludzkość nigdy ich nie zaakceptuje, ponieważ są, czym są. Czy można z nimi przestawać bez strachu, nawet jeśli...

Rozległ się chichot którejś z dziewcząt, a wtedy Henri oblizał wargi. Jego kły zaśniły czerwono w świetle księżyca.

- Kuszące... - mruknął. - A ja jestem naprawdę głodny. Może jakaś zakąska na miły początek, zanim zaczniemy prawdziwą ucztę?

- Uważaj - ostrzegła go. - Nie możemy zostawiać ciał na widoku, mogłyby zostać szybko odkryte.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i otoczył ją ramieniem.

- Nic nie może się równać z biciem młodego serca, z urodą młodego, ciepłego ciała. Bardzo bym chciał posmakować teraz świeżej, gorącej krwi. Co więcej, muszę jej teraz posmakować. Ale, moja droga domino, odstąpię ci pierwszy łyk.

Udając, że rozważa jego propozycję, niepostrzeżenie sięgnęła pod pelerynę.

Uderzyła, nim zdążył się zorientować. Kołek był niewielki, lecz bardzo ostry, gładko wszedł między żebra. Henri patrzył na nią, przez moment nie rozumiejąc, a potem w jego oczach pojawiło się

niedowierzanie i ślepa furia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, jego wargi wywinęły się, do końca odsłaniając kły. A potem rozsypał się w proch.

Znowu znajdowała się sama w cieniu mauzoleum, na dachu którego trwał anioł z utraconymi skrzydłami. Jej przystosowane do ciemności oczy doskonale widziały w mroku tych, którzy krążyli po cmentarzu, chciwi uczyty.

Oraz tych, którzy szli jak owce na rzeź.

Sprytny trik, złudzenie oka - jak zwykle Władca uciekł się do swoich ulubionych chwytów. Limuzyny zaczęły przybywać, było ich kilka tuzinów, Bryan obserwował je z ukrycia, stojąc w cieniu grobowca w kształcie piramidy. Zaczęło się od mgły, czerwonych waporów, które wiły się i skręcały jak żywe, wypełzając na ulice otaczające cmentarz i osłaniające przybycie kawalkady smukłych czarnych aut. Słyszał było podekscytowane szepty, odgłosy pierwszych flirtów, gdy niewinne owce i drapieżniki wsiadały do samochodów. Razem.

Widział młodych ludzi całych w czerni, kobiety w iście królewskich sukniach z aksamitu i koronki, osoby w historycznych strojach, przebrane za bandytów, słodkie sierotki lub uwodzicieli, widział też zwykłe współczesne stroje, w jakich można wyskoczyć wieczorem do baru i sączyć drinka, słuchać nowoorleańskiego jazzu. Wszyscy oni znikali w czerwonej mgle.

Obserwował, czekał. Ostatnia limuzyna zapełniła się, trzasnęły drzwiczki, Bryan wykonał długi skok i wylądował na jej dachu, położył się na brzuchu i tak pojechał w ślad za całą kawalkadą, która sunęła ulicami niczym procesja upiórów. Obejrzał się. W świetle księżyca

kamienne anioły wyglądały tak, jakby próbowały ożyć, poruszyć się, krzyknąć ostrzegawczo. Ale mogły tylko stać i płakać.

Przybyli na starą, od dawna opuszczoną plantację, kompletnie zaniebaną, zarośniętą, gdyż natura próbowała odzyskać, co do niej należało. Czerwona mgła nieodłącznie towarzyszyła pojazdowi, więc wysiadający goście mieli wrażenie, że zostali przeniesieni gdzieś na koniec świata, do piątego wymiaru, do szkarłatnego snu. Gąszcz krzewów, zarośla, pnącza, liście pod nogami, niesamowita mgła, czerwone światła płonące w oknach domu.

Jessica bezceremonialnie przepchnęła się pomiędzy gośćmi, by jak najszybciej wejść do domu i ocenić sytuację. W holu grał wielki plazmowy telewizor, widać gdzieś w domu podłączono generator. Ozdobne schody prowadziły na piętro, na parterze zaś urządzono bar, w którym urzędował młody człowiek, gotów serwować drinki, w tym oczywiście Krwawą Mary.

- Witaj, domino. Wiedziałem, że przyjdiesz. Serce zabiło jej mocniej. A więc Władca spodziewał się jej.

Popatrzyła na młodego człowieka, nachyliła się nad barem, aż ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Jessica wbiła wzrok w jego oczy.

- Masz stąd wyjść. Natychmiast.

- Wyjść -powtórzył posłusznie. - Jak? Którędy?

- Tylnym wyjściem. Kieruj się do rzeki i idź wzdłuż niej, aż znajdziesz jakąś łódź. A teraz wynoś się stąd i to jak najszybciej, zrozumiano?

Popatrzył na nią z powagą, skinął głową i znikł w tłumie, kierując się w stronę tylnych drzwi. Jessica oceniła wzrokiem osoby znajdujące się

najbliżej niej, po czym chwyciła za kłapy mężczyzną w surducie z epoki edwardiańskiej.

- Ty - rzekła dobitnie. - Staniesz za barem. Chciał zaprotestować, lecz wargi Jessiki wykrzywił niepokojący uśmiech.

- Chcesz, żeby cię wybatożyć? Dobrze wiesz, kim jestem, dlatego zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Skłonił się głęboko, niemal upadł przed nią na kolana.

- Błagam, bym mógł ci służyć.

- Bardzo dobrze. Zrób, co mówiłam.

Wszedł za bar, zaś Jessica zaczęła krążyć wśród gości niczym gospodyni przyjęcia, jednym wydając szorstkie rozkazy, innym zaś szepcząc do ucha zmysłowe zaproszenia, a wszystkie jej działania służyły temu, by oddzielić bezbronne owce od drapieżników. Te pierwsze miały pozostać na dole, skąd miały szansę uciec, te drugie z kolei...

- Proszę o uwagę - oznajmiła głośno. — Wszyscy czekamy na Władcę, niech nikt nie śmie zacząć głównej zabawy przed jego przybyciem. A kiedy tak będziemy czekać... - jej głos stał się niski, sugestywny, przeszedł w pomruk - jako gospodyni balu pragnę osobiście przyjąć każdego z was w mojej komnacie na piętrze. Oczywiście po kolei, nie naraz. Ci, dla których jest to pierwsze przyjęcie, niech czekają na swoją kolej. Ci, którzy są... doświadczeni, mają pierwszeństwo. Zapraszam pojedynczo lub w parach, jeśli tak preferujecie. Bezwzględnie obowiązuje zasada starszeństwa. - Wykonała gest dłonią. - Bar jest otwarty, wszystkiego jest pod dostatkiem, częstujcie się, proszę. I przychodźcie na górę, zabawimy się...

Znowu przeszła przez tłum, wyławiając najbardziej niebezpieczne spośród zgromadzonych drapieżników, te najstarsze, najbardziej wytrawne, które wybiorą sobie najlepsze, najświeższe kąski. Wyszeptała starym wilkom do uszu osobiste zaproszenia, weszła na górę i zaczęła się w pokoju sąsiadującym z tym, którego zapewne zamierzał użyć Władca, gdyż wyglądało podobnie jak to w Transylwanii - wielkie łoże, ozdobna toaletka...

Czekała w ciemności, zastanawiając się, ile ma czasu, zanim przybędzie Władca. Kiedy przyszedł pierwszy z gości, nie traciła cennych chwil na udawanie, że go uwodzi, tylko zaatakowała z miejsca. Podobnie jak Henri, rozsypał się w proch. Następny tak samo. I następny.

Zjawiała się chichocząca para. Owce. Z gniewem odesłała ich na dół, każąc czekać na swoją kolej. Potem warstwa pyłu na podłodze rosła. Wchodzili, już w korytarzu chełpiąc się, ile ofiar mają na swoim koncie, gdyż chcieli wyrzucić na niej wrażenie. Jessica dziwiła się ich głupocie, która płynęła z ogromnej pychy, gdyż sądzili, że tak silnym wampirom jak oni nic nie może grozić. Oczywiście nie wszyscy przyjdą i nie wszystkich zabije, wielu zostanie, lecz przynajmniej uda jej się nieco zwiększyć swoje szanse. Teraz pytanie, jak powstrzymać Władcę, który niedługo przybędzie i wydobyc stąd niewinne ofiary.

Wreszcie wyślizgnęła się na korytarz. Wiedziała, że obok komnaty, w której nastąpi uwiedzenie, jak zwykle przygotowano pokój do oglądania tej sceny. I rzeczywiście znalazła elegancki pokój z wielkim weneckim lustrem, kamerą do nagrywania, kanapą. Władca lubił uśmiercać wybraną piękność na oczach widowni, która patrzyła z zafascynowaniem, lubił

wzbudzać strach ofiary i podziw swoich widzów, gotowych potem wielbić go jeszcze bardziej.

Tym razem Jessica zdążyła, gdyż miejsce przy toalecie było jeszcze puste, żadna dziewczyna w białej sukni nie czesała długich włosów. Gdzie on był? Czy już przybył?

Nagle z dołu dobiegł przeraźliwy krzyk, a Jessica aż podskoczyła ze zdenerwowania. Czyżby znowu przeliczyła się w swoich kalkulacjach? Rzuciła się ku drzwiom, lecz nagle na jej ramię opadła czyjaś ręka, straszliwie silna ręka o palcach jak ze stali i rozległ się szept: - A teraz umrzesz.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

David czuł się na tyle dobrze, że nie rozumiał, czemu lekarze chcą go dalej trzymać w szpitalu w charakterze chorego. Nie pojmował też, czemu pilnuje go policjant, w dodatku trochę dziwny. Powiesił coś w oknie, a chociaż David starał się nie myśleć, że nowoorleańska policja to banda świrów, nie było to łatwe, ponieważ tym czymś okazały się warkocze czosnku.

Facet nazywał się Giovanni Santini i jak na wariata był całkiem miły. David wywnioskował z rozmowy z nim, że to pilnowanie ma coś wspólnego ze zniknięciem jednego ciała z kostnicy. Nie pamiętał dokładnie, co się tam wydarzyło, pamiętał tylko piękną nagą kobietę z fantastycznym biustem.

- Wszystko w porządku?

David drgnął, ponieważ Santini od jakiegoś czasu siedział cicho i wydawał się spać.

- Tak. Chciałbym już wrócić do domu.

- Niedługo, synu-pocieszył go Santini, dyskretnie dotykając dużego srebrnego krzyża, który nosił na szyi.

Ku swemu zaskoczeniu David znalazł taki sam krzyż na własnej piersi, od razu kiedy odzyskał przytomność.

- Gdybyś czegoś potrzebował, to mów - ciągnął policjant.

- Potrzebuję wrócić do domu i wyspać się porządnie, bo tutaj co godzinę budzi mnie pielęgniarka, żeby zmierzyć mi temperaturę. Mam dosyć.

Santini roześmiał się.

- Przykro mi, synu, ale na razie nic się na to nie poradzi. A teraz śpij.
- Tak jest, panie władzo.

David rzeczywiście się zdrzemnął, lecz w pewnym momencie coś go obudziło, a raczej ktoś, tym razem nie była to pielęgniarka, tylko lekarz, trzymający go za rękę i świecący mu w twarz latarką, więc David widział jedynie zarys potężnej sylwetki.

- Obróć się na bok, synu - powiedział lekarz. - Muszę pobrać ci krew.
- W środku nocy? - zdziwił się chłopak.

- Tak, bo chciałbym mieć na rano wyniki z laboratorium. To potrwa chwilę, potem możesz znowu spać.

David przewrócił się więc na bok, lecz nagle uderzyło go, że to „spać” zabrzmiało dziwnie sycząco, więc odwrócił głowę... i wrzasnął, co sił w płucach.

Ujrzał swoją rękę i wbite w nią kły.

Santini zerwał się z krzesła w mgnieniu oka, ale lekarz, nie odrywając się od Davida, ani nie oglądając się za siebie, zamachnął się i uderzony w pierś policjant przeleciał przez pokój. Drzwi izolatki otworzyły się, do środka wpadł drugi umundurowany funkcjonariusz.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął, wyciągając broń. Dopiero w tym momencie lekarz puścił Davida, w ułamku sekundy znalazł się przed policjantem, chociaż nawet nie było widać, jak się poruszył, po prostu w jednym momencie znajdował się przy łóżku, a w następnym przy drzwiach. Pistolet z brzękiem upadł na podłogę, policjant został uniesiony jedną ręką w górę, lekarz ugryzł go w szyję i zaczął głośno ssać krew, oblizując usta.

Santini potrząsnął głową, podniósł się i skoczył ku wampirowi, lecz ten znowu wiedział o jego obecności i ponownie wystarczył mu tylko jeden cios, by powalić przeciwnika. Ohydny odgłos chleptania trwał dalej, David, chciał krzyczeć o pomoc, ale nie mógł, wszystko zasnuła czerwona mgła.

- Nie! - Jessica odwróciła się gwałtownie, trzymając w ręku zaostrzony kołek.

Nie widziała wroga, lecz głos z całą pewnością nie należał do Władcy. Ktoś z całej siły uderzył ją w rękę, kołek przeleciał przez cały pokój i uderzył o ścianę przy drzwiach, lecz Jessica umiała walczyć, odczekała więc ułamek sekundy, wyskoczyła w powietrze i potężnym kopnięciem posłała tamtego o dobrych kilka metrów do tyłu. Z dołu ponownie dobiegł krzyk.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je, chwyciła leżący na podłodze kołek i pomknęła korytarzem, a potem pokonała schody jednym ślizgiem w powietrzu. Wylądowała miękko na ugiętych nogach, gotowa do wymierzenia ciosu. Tuż przed nią straszliwie chuda kobieta w obcisłej czarnej sukience wczepiła palce we włosy młodego chłopaka i właśnie miała wbić kły w jego szyję. Na całym parterze drapieźniki atakowały owce, nie czekając na sygnał do ataku, lecz Jessica nie rozglądała się, przebiła pierwszego wampira, którego miała pod ręką i szkieletowata kusicielka rozsypała się w proch.

Ze plecami Jessiki rozległ się wściekły syk, obróciła się i zrobiła błyskawiczny unik, gdy stary siwowłosy wampir skoczył na nią. Sekundę potem wbiła mu kołek w plecy. Naraz obok niej ktoś przeleciał i na jej

oczach rozsypał się w proch, więc odwróciła się ponownie, kompletnie zaskoczona.

Mężczyzna w kapeluszu i długim skórzanym płaszczu podróżnym pojawił się ponownie. Również zbiegł z góry, to on znajdował się w pokoju z lustrem, gdzie zaatakował Jessicę. Teraz szył z kuszy, z niesamowitą szybkością wyławiając wzrokiem te wampiry, które były najbliższe zabicia kogoś. Jessica, wiedzona szóstym zmysłem, przykucnęła nagle, gdy ktoś właśnie chciał rozplatać jej gardło nożem, zaraz potem nóż upadł na podłogę, a obok niego upadła kupka prochu.

Krzycząc przeraźliwie, ludzie w panice wyskakiwali przez okna i uciekali przez drzwi, podczas gdy oni dwoje rozprawiali się z wampirami. Wreszcie zostali sami, owce uciekły, drapieźniki zostały obrócone w proch. Jessica ujrzała kuszę skierowaną w swoją stronę, mężczyzna właśnie sięgał po kolejną strzałę.

Jessica przeleciała przez pomieszczenie i uderzyła o niego w momencie, gdy zacisnął palce na strzale. Upadli, ona zerwała się na równe nogi, żeby uciec, lecz on zdążył chwycić ją za kostkę i przewrócić na ziemię. Zaraz potem przygniótł Jessicę do podłogi swoim ciałem, zrzuciła go z siebie, znowu starała się uciec, lecz on złapał ją za ramię i cisnął nią o poręcz schodów. Oszołomiona, potrząsnęła głową, przytrzymała się poręczy, skoczyła, kopnęła napastnika obunóż w tors. Zatoczył się do tyłu.

Okazało się, że był równie szybki jak ona, bo wyrósł przed nią, gdy biegła do drzwi. Chciała go uderzyć, lecz ponownie zdołał ją przewrócić. Upadła obok noża, którym poprzednio próbował zadźgać ją jeden z wampirów i chwyciła za rękojeść w momencie, gdy mężczyzna usiadł na niej okrakiem, żeby ją unieruchomić.

W ostatniej chwili powstrzymała się przed użyciem noża.

Mężczyzna również przestał walczyć, siedział i patrzył na nią.

Wyzywająco spojrzała mu prosto w oczy.

- Słodki Jezu - wyszeptał. - Ty?

Ból w jego głosie sprawił jej większe cierpienie niż wszystko, przez co musiała przechodzić przez całe wieki.

Sean niemal chodził po ścianach, ponieważ czuł doskonale, że coś się wydarzy, nie wiedział tylko, w którym miejscu miasta. Dowiedział się, gdy zadzwonił telefon.

Kiedy w rekordowym tempie dotarł do szpitala, jeden z młodych policjantów wymiotował na podłogę przy drzwiach izolatki, przy nim stał George Mendez. Obaj byli na patrolu i akurat znajdowali się najbliżej szpitala, gdy przyszło wezwanie.

- Sierzancie Mendez, czego zdołaliście się dowiedzieć?

- Nasi ludzie nie żyją, eksperci od medycyny sądowej zaraz tu będą, już ich wezwaliśmy. Musiałem wejść do środka, panie poruczniku. -
Zawahał się. - Musiałem, bo dzieciak wciąż żył, trzeba było go wynieść. Oprócz mnie do środka wchodziła tylko pielęgniarzka, która znalazła ciała. Miała dyżur, usłyszała krzyk, wybiegła na korytarz, zobaczyła, jak Clark wchodzi do środka, a kiedy nie wyszedł, zadzwoniła po ochronę i poszła sprawdzić, co się dzieje. Kiedy przybiegła ochrona, pielęgniarzka stała w drzwiach i krzyczała. Zadzwonili na 911.

Sean zajrzał przez uchylone drzwi. Łóżko było puste, pościel trochę powalana krwią, lecz niewiele. Za to reszta pomieszczenia...

Reszta przypominała jatkę.

- Wygląda to tak, jakby Clark i Santini rzucili się na siebie. Teraz... teraz nawet trudno rozpoznać, który jest który. - W oczach Mendeza, jednego z najporządniejszych ludzi, jakich Sean znał, pojawiły się łzy. - Santini należał do moich najlepszych przyjaciół. I był dobrym policjantem. Clark też był najzupełniej w porządku. Ktoś bardzo się postarał, żeby zrobić z nich dwóch zabójców, którzy rzucili się na siebie ze skalpelami, tylko że to wierutna bzdura.

- Panie poruczniku, rękawiczki i ochraniacze na buty. - Policjant, który przyjechał z Seanem, podał mu je, starając się nie patrzeć w stronę drzwi.

- Ja nie miałem ochraniaczy - wymamrotał George Mendez. - Ja... zostawiłem dodatkowe ślady.

- W porządku, sierżancie. Czyli mówicie, że dzieciak żyje?

- Tak. Właśnie robią mu transfuzję.

- Może się z tego wyliże.

- Może... - rzekł bez przekonania George. Sean ostrożnie wszedł do izolatki. Jego ludzie zginęli, niemal leżąc jeden na drugim, obaj trzymali w zaciśniętych palcach skalpele, mieli poderżnięte gardła, tylko że Santini został cięty raz - z ogromną siłą, gdyż głowa trzymała się tylko na kości - zaś szyja Clarka została straszliwie poharatana wieloma płytszymi cięciami. Sean nie wątpił, że miały one ukryć ślady po ugryzieniu.

Już miał się podnieść, gdy zauważył coś jeszcze. Wolna ręka Clarka leżała bezwładnie z rozcapierzonymi palcami, obok niej coś zostało wypisane krwią na podłodze. Jedno słowo.

Imię.

Sean zaklął w duchu i udając, że uważnie przygląda się ręce Clarka, zamazał litery. Wstał, wyszedł z izolatki, napotkał spojrzenie Mendeza i zrozumiał, że tamten widział napis oraz to, co Sean zrobił chwilę wcześniej. Mimo to sierżant nadal patrzył na niego z pełnym zaufaniem.

- Mam pilnować tego dzieciaka? - spytał z przygnębieniem George.

- Byłoby dobrze. Ale pamiętajcie, sierżancie, nie wolno wam zasnąć ani na sekundę, żeby nikt was nie zaskoczył. Musicie być w każdej chwili przygotowani.

Policjant zaśmiał się ponuro.

- Och, jestem przygotowany. Przecież siedziałem tu przy tej biednej dziewczynie, przy Mary. Proszę spojrzeć na moje włosy, panie poruczniku. Całe mokre od wody święconej. - Westchnął. - Santini walczył dzielnie, to widać. Myśli pan, że jest teraz aniołem?

- Być może - odparł Sean, bo co miał odpowiedzieć?

- Ty - powtórzył, patrząc na nią.

- Profesor McAllistair, proszę, proszę - odpowiedziała.

Wyciągnął rękę, a Jessica aż skurczyła się wewnątrz, lecz on tylko zdarł jej z głowy czarną perukę oraz niewielką skórzaną maseczkę z twarzy.

- Włożyłaś szkła kontaktowe? Tylko wzruszyła ramionami.

- Czyli to ty jesteś jego dominą, tak? - spytał ostro.

- Żadna domina nie istnieje.

Sięgnął pod połę płaszcza, zapewne po jedną ze strzał, więc Jessica zaczęła mówić szybko:

- Posłuchaj mnie. Domina została wymyślona, to ja rozprzestrzeniałam plotki o niej, żeby móc wejść na którąś z uczt Władcy

bez wzbudzania podejrzeń. Przed Transylwanią domina nigdy nie pojawiła się osobiście, przysięgam.

- Czyli brałaś udział w tamtym balu. Poszłaś się najeść?

- Nie, idioto. Jak mogłeś nie zauważyć, co się tu przed chwilą działo? Zabiłam więcej tych potworów niż ty.

Uniósł brew.

- Wątpię. Zresztą to o niczym nie świadczy, wampiry często atakują jeden drugiego. A ty jesteś wampirem.

Skąd wiedział? Popatrzyła na niego przestraszona i wstrząśnięta, z trudem przełknęła ślinę, a kiedy zdołała się odezwać, jej głos zabrzmiał bardzo cicho:

- Istnieją dobre wampiry. Jego rysy ściągnęły się boleśnie.

- Nie, nie istnieją.

- Owszem, jestem na to dowodem. Jak myślisz, czemu tyle osób zdołało uciec z zamku w Transylwani, kiedy ty walczyłeś z Władcą?

- Dzięki tobie?

Twardo spojrzała mu w oczy, jakby mówiła: „Tylko spróbuj temu zaprzeczyć”.

- Gdzie jest Władca? - spytał.

- O Boże! - jęknęła.

- Nie masz prawa wymieniać tego imienia. Zirytowała się.

- Och, zamknij się, dumniu, nie masz o niczym pojęcia! On wciągnął nas w pułapkę, teraz to widzę. My tutaj walczymy ze sobą, a on jest gdzie indziej i morduje kolejne ofiary. Po pierwsze, odwrócił naszą uwagę, po drugie liczył na to, że pozabijamy się nawzajem. Niech cię licho, ja tak samo jak ty przyszedłam zniszczyć go raz na zawsze!

Może to go przekonało, a może pomógł jej przeraźliwy krzyk dobiegający z podwórza za domem. Bryan zerwał się na równe nogi, Jessica również, oboje skoczyli ku tylnym drzwiom. Bryan był pierwszy, jego widok wywołał ryk wściekłości, ktoś porzucił swoją ofiarę i skoczył w stronę przeciwnika, śmignęła strzała i ciemna postać rozpadła się w powietrzu.

Jessica usłyszała rozpaczliwy szloch, a potem szorstki głos Bryana:

- Ugryzł cię?

- N-nie... Nie wydaje mi się - odparł żałośnie kobiecy głos.

On już poradzi sobie dalej sam, uznała Jessica. W końcu był wojownikiem, prawda?

Tymczasem Władca grasował zupełnie gdzie indziej.

Dziewczyna miała za mocny makijaż i za krótką spódnicę, była trupio blada, dygotała i patrzyła błędnym wzrokiem, jakby była pijana albo nawet brała narkotyki. Bryan zastanowił się, czy będzie potem cokolwiek pamiętała z tego, co się wydarzyło. Może i lepiej, żeby nie pamiętała.

- Chodź tutaj - zażądał niecierpliwie.

- Jesteś...jesteś jednym z nich?

- Chodź tutaj, mówię. Na litość Boską, nie mam czasu! Zabiorę cię stąd, ale najpierw muszę się upewnić...

- Nie ugryzł mnie, przysięgam. Nie zabijaj mnie!

Westchnął, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Na jej szyi ujrzał tylko czerwoną plamę; będzie miała potężny siniak. To cud, że zdołała krzyknąć, chociaż wampir niemal ją udusił w żelaznym uścisku. Bryan uważnie obejrzał jej ramiona i odkryte części ciała, lecz nie znalazł śladów ukąszenia.

- Wygląda na to, że jesteś w porządku. Ale jeśli kłamiesz...

Potrzymał ją chwilę za ręce, czekając, co podpowie mu instynkt, jak dotąd niezawodny. Nie, raz go zawiódł - w przypadku Jessiki. Ale nic dziwnego, że się pomylił, ponieważ nic nie wskazywało... Wciąż pamiętał, jak czuł mocne bicie jej serca pod swoją dłoń. Pamiętał jej ciało, gorące jak ogień.

Zaklął nagle.

- Gdzie są twoi przyjaciele? Z kim tu przyjechałaś?

- Z dwiema przyjaciółkami, Cindy i Jane, ale one uciekły, bo biegły szybciej, a mi się obcas w coś zaplątał i nie mogłam... - Urwała, wybuchnęła krótkim, spazmatycznym płaczem, padła Bryanowi na pierś i zemdląca.

- Cholera.

Nie mógł jej tak zostawić, musiał ją zabrać w bezpieczne miejsce. Władca rzeczywiście ich oszukał, odciągnął od miasta, a sam zapewne zdołał dokonać tego, co sobie zamierzył na tę noc.

Bryan wziął dziewczynę na ręce i zawrócił w stronę domu. Nawet nie wołał Jessiki, bo wiedział, że już jej nie ma w pobliżu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jessica wpadła do domu, nie wiedząc, co zastanie, bojąc się, że Władca przybył pod jej nieobecność i wydał rozkazy Mary, która nie zdołałaby mu się oprzeć. Wobec potęgi Władcy Nancy i Jeremy nie liczyli się w ogóle, zaś Stacey i Gareth niewiele.

Gareth pilnował drzwi wejściowych, zaś na widok swej chlebodawczyni uniósł brwi, co wcale jej nie zdziwiło, gdyż nigdy wcześniej nie pokazała mu się w stroju z czarnej skóry, koronki i lateksu. Miała jednak znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż przebieranie się.

- Gdzie pozostali? - spytała bez tchu. - Nic im nie jest?

- Nie - odparł, nieco zaskoczony. - My jesteśmy bezpieczni, to panienka poszła na bal. Czy Władca...

- Nie pojawił się - przerwała mu. - Nie przybył tutaj? - spytała z niedowierzaniem, gdyż była przekonana, że właśnie w tym celu wywabił ją poza miasto.

- Nie, nic złego się nie działo. Całą noc pilnuję drzwi, ale właśnie niedawno sprawdzałem, jak jest na górze. Stacey i Jeremy czuwają, oczywiście Mary też nie śpi. Za to Nancy śpi słodko jak niemowlę.

Jessica weszła na schody, słyszała, jak Gareth starannie rygluje za nią drzwi. Zgodnie z jej poleceniem Mary nie ruszała się z najdalszego kąta, gdzie została szczelnie otoczona krzyżami, czosnkiem i naczyniami z wodą święconą. Całkiem wygodnie się urządziła, dostała poduszkę i koc, pod ręką miała butelkę z antidotum.

Stacey i Jeremy siedzieli naprzeciwko niej, przytomni i czujni. Na widok Jessiki zerwali się z miejsc, na ich twarzach odmalowała się ulga.

- Dzięki Bogu, że wróciłaś! Ale wyglądasz okropnie. Co się stało? Czy on...?

Jessica potrząsnęła głową.

- Władca nie przyszedł. Zostaliśmy wyprowadzeni w pole - wyjaśniła, podeszła do łóżka i opadła na nie, straszliwie znużona.

Jeremy cały czas patrzył na nią wielkimi oczami.

- Dobry Boże... - wyjąkał.

Zapomniała, że on dotąd nie miał pojęcia, kim była domina.

- Czyli on się nie pojawił... Ale i tak wyglądasz okropnie - stwierdziła Stacey.

- I tak też się czuję.

- W takim razie zaraz weźmiesz prysznic - zaordynowała Stacey, jak zwykle pewna siebie i skłonna do dyrygowania innymi. - Każę Garethowi przygotować ci coś do jedzenia. Zaraz zacznie świtać, więc już nic nie powinno się wydarzyć, przynajmniej mam taką nadzieję. Musisz odpocząć. - Spojrzał na Mary, która w swoim kącie wyglądała jak uwięziony anioł. - Ona też niedługo zaśnie. Wtedy będziemy musieli... - Aż podskoczyła, gdy nagle zadzwonił telefon stojący przy łóżku. - Przekierowałam wszystkie rozmowy na ten aparat - wyjaśniła. - Ale kto mógłby dzwonić o tej porze? Mam odebrać?

- Ja odbiorę. - Jessica przekreśliła się na łóżku i sięgnęła po słuchawkę. - Słucham.

- Jessica? Dzięki Bogu! - zawołała z niekłamana ulgą Maggie.

- Z czym dzwonicz?

- Gdy tylko zrobi się jasno, przyjedź do mnie.

- Co się stało? - Serce w niej zamarło. - Chodzi o Władcę, tak? Co zrobił?

- Powiem ci, kiedy się zobaczymy.

- Już do ciebie jadę.

- Nie! Zaczekaj do świtu, nie wychodź teraz. Jessica zacisnęła palce na słuchawce.

- Ile ofiar?

- Dwie. Znaleziono je z poderżniętymi gardłami.

- Gdzie?

Maggie zawahała się.

- W szpitalu. Dwaj ludzie Seana. Zostań w domu do wschodu słońca, słyszysz? Przysięgam, że nie powiem ci. ani słowa więcej, jeśli przyjedziesz wcześniej.

- Dobrze. Do zobaczenia niedługo. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Stacey - Właśnie się dowiedziałam, gdzie Władca był tej nocy.

- Gdzie?

- W szpitalu. Zabił dwóch policjantów. To na razie wszystko, co wiem. Będę musiała się zbierać.

- Ale najpierw grzecznie weźmiesz prysznic i przebierzesz się.

Jessica skinęła głową, wstała i poszła do swojej sypialni, zastanawiając się, czy Bryan wróci do domu. I czy uwierzy, gdy ona mu wyjaśni, co tutaj zaszło? I czy to możliwe, żeby on rzeczywiście był...?

Nie.

Ale gdyby jednak był, to czy wiedział, że ona...? Nie.

Bo gdyby wiedział, już by ją zabił. Tylko ile czasu zajmie mu domyślenie się prawdy?

Bryan już z daleka widział pod szpitalem policyjne wozy oraz - chociaż jeszcze było ciemno - powoli rosnący tłum gapiów, żądnych dowiedzenia się, co się stało. Wniósł nieprzytomną dziewczynę na izbę przyjęć i dopilnował, by się nią zajęto, a potem wyszedł i wmieszał się w tłum.

- Skąd tyle policji? - spytał. - Co tutaj zaszło?

- Jeszcze dokładnie nie wiadomo - wyjaśniła przejęta starsza pani. - Podobno ktoś bestialsko zamordował dwóch policjantów. Ale inni mówią, że sami się na siebie rzucili i się pozabijali.

- Ja słyszałam, że głowy mają prawie poobcinane - dorzuciła jakaś dziewczyna.

Bryan pomyślał, że jest tylko jeden sposób, żeby zasięgnąć informacji z pierwszej ręki. Dalej udając gapia, przespacerował się w stronę miejsca, gdzie stało kilku policjantów, czekających na rozkazy i zatrzymał się nieopodal nich.

- Cała ta sprawa jest upiorna - odezwał się po chwili jeden z policjantów. - Zaczęło się od tego, że zniknęły te zwłoki.

- Pieprzyć zwłoki. Dwóch naszych nie żyje - odparł drugi.

Przez minutę panowała cisza.

- Wierzycie w to, co mówią? Że się wykończyli nawzajem? Ale Santini nawet nie lubił zakładać kajdanków przestępcom, więc jak mógłby rzucić się na Clarka?

- Może to Clark rzucił się na niego, a Santini tylko się bronił?

- Bzdura - odezwał się policjant, który dotąd milczał. - Pierdolona bzdura. Musieliby poderznąć sobie nawzajem gardła jednocześnie. Tylko jak to możliwe?

Znowu zapadło milczenie, tym razem dłuższe, wreszcie pierwszy z policjantów westchnął.

- Idę się odlać. Oderwał się od wozu patrolowego, o który się opierał i poszedł w kierunku bocznego wejścia do szpitala, zaś Bryan dyskretnie podążył za nim. Korytarze były puste. Bryan zdecydował, że najpierw da policjantowi wejść do toalety, poczekał za drzwiami, a gdy tamten wyszedł, ogłuszył go spraw nie i zaciągnął z powrotem do łazienki.

- Wybacz, przyjacielu, po prostu potrzebny mi twój mundur.

Na piętrze zauważył pokój oznaczony taśmą policyjną i udając, że przysłano go na górę do pilnowania izolatki, zdołał dotrzeć w pobliże drzwi. Zauważył, że jeszcze nie zabrano ciała.

- Hej, ty, Harrison! - odezwał się nagle barczysty policjant, stojący nieco dalej na korytarzu. - Co ty tu robisz? Powinieneś być na dole i tam pilnować porządku. Niedługo burmistrz ma wygłosić oświadczenie, nie wiadomo, jakie będą reakcje.

- Przekazano mi, że mam się do pana zgłosić, sierżancie Mendez - odparł Bryan, przeczytawszy naszywkę na mundurze i spojrzał tamtemu prosto w oczy.

George Mendez dotknął palcami krzyża, który nosił na piersi, a potem nagle wyraz jego twarzy zmienił się. Nie odrywając wzroku od Bryana, przeżegnał się z całym nabożeństwem.

- Pan nie jest Harrisonem - rzekł cicho.

- Nie. Ale muszę obejrzyć ciało.

- Nie powinien pan podszywać się pod policjanta- odparł Mendez, lecz bez większego przekonania i odsunął się, by zrobić mu przejście.

- Sierzancie, proszę dopilnować, żeby nikt mi nie przeszkodził.

- Tak jest. - Mendez stanął tak, by zablokować korytarz.

Na szczęście dla Bryana jakiś fotoreporter właśnie podjął próbę dotarcia jak najbliżej miejsca zbrodni, co odwróciło uwagę pozostałych policjantów. Wślizgnął się do pokoju, obejrzał łóżko, obejrzał ciała. Zobaczył rany, skalpele i krew, a na koniec jego wzrok padł na rozmazaną smugę na podłodze. Tam zostało coś napisane, lecz ktoś zatarł napis.

Wstał, przeszedł obok wciąż oszołomionego

Mendeza i niedługo potem opuścił szpital, z powrotem przebrany w swoje rzeczy. Przed frontowymi drzwiami ujrzał kordon policjantów, broniący dostępu dziennikarzom. Wśród nich dostrzegł Bobby'ego Munro.

Kiedy Jessica przyjechała do domu Canadych, było bardzo wcześnie, dzieci jeszcze spały.

- Co się stało w nocy? Mówiłaś, że dwóch ludzi Seana nie żyje.

- Tak. Ktoś zaaranżował to w taki sposób, żeby wyglądało na bójkę między policjantami, którzy pozabijali się nawzajem. Tylko jak mogliby nawzajem popodrzynać sobie gardła skalpelami? Rany są bardzo głębokie. Musieliby to zrobić w tym samym momencie, a nie widzę takiej możliwości.

- Byłaś tam? - zdziwiła się Jessica.

- Nie musiałam, Sean opisał mi wszystko bardzo dokładnie. Robota Władcy, nie mam co do tego wątpliwości. To on przyszedł do szpitala.

- Podczas gdy ja spodziewałam się go na balu... Znakomicie to zaaranżował. Stary dom, ludzie udający wampiry, wampiry udające ludzi... Wiedział, że przyjdę. Czuję się tak, jakby zwabił mnie specjalnie, jakby...

- Jakby to wszystko zostało starannie zaplanowane - dopowiedziała Maggie. - Od samego początku. Znalazł cię. Po tych wszystkich latach, kiedyś kluczyłaś, próbowałaś zatrzeć ślady, zbudowałaś! zupełnie nowe życie i stworzyłaś sobie nową tożsamość. Ale on i tak cię znalazł i teraz zabawia się, pokazując ci swoją siłę.

- Żeby wytropić mnie w Nowym Orleanie i dowiedzieć się, że pracuję jako psycholog, a potem doprowadzić do zwołania kongresu w Rumunii, zaproszenia mnie tam i urzędzenia w tym czasie przyjęcia, potrzebowałby lat.

- I miał je. Miał bardzo wiele lat, żeby obmyślić zemstę- przypomniała jej Maggie. - Powiedz mi, co wydarzyło się na balu dziś w nocy. Poszłaś i zniszczyłaś kilku drani?

- Mniej więcej.

- Bryan też się pojawił?.

- Tak.

- Wtedy, gdy byłaś przebrana za dominę?

- Owszem.

- I nie próbował cię zabić?

- Próbował.

- Wielki Boże! Chyba go nie zabiłaś? Jess, nie zabiłaś wojownika, prawda?

- Nie.

- No to co się stało?

- Znaleźliśmy się w impasie.

Maggie przyglądała jej się przez długą chwilę, potem ocknęła się.

- Czekaj, cały czas stoimy w holu. Chodźmy do kuchni, zaparzyłam kawę.

Kiedy już usiadły przy stole z kubkami parującej kawy, Maggie ponownie przycisnęła przyjaciółkę:

- Opowiedz mi, co się stało. Tylko ze szczegółami.

- Czekałam w pokoju z lustrem, żeby zaskoczyć Władcę. Przedtem jako usłużna gospodyni zabawiłam w sypialni niektórych z jego gości. Starsi mieli pierwszeństwo.

- Bardzo słusznie.

- Ale w pokoju z lustrem już ktoś czekał.

- Bryan?

- Tak. Władca wciąż nie przybywał, ale na dole w końcu się zaczęło, nie czekali na sygnał. Pobiegliśmy tam, walczyliśmy z nimi, potem walczyliśmy ze sobą, a potem... rozmawialiśmy.

- Przestaliście ze sobą walczyć i zaczęliście rozmawiać? - spytała z niedowierzaniem przyjaciółka, a potem nachyliła się nad stołem i rzekła dobitnie: - Teraz zyskałam całkowitą pewność. To jest rycerz króla Roberta Bruce'a.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Czemu? Skoro ja wiem, kto to jest, ty powinnaś wiedzieć tym bardziej, byliście kiedyś kochankami.

- Kiedy to było siedemset lat temu - zaprotestowała.

- Ponieważ masz romans mniej więcej raz na dwa stulecia, powinnaś bez większego trudu rozpoznać największą miłość swojego życia.

Jessica wstała, przeszła się po kuchni, odwróciła się gwałtownie, oparła ręce o blat stołu.

- Maggie, jeśli to jest... - Urwała i skrzywiła się boleśnie. - Jeśli to był Ioin MacDuncan, to czemu przez tych kilkaset lat nie usłyszałam żadnej wzmianki o tym, że on żyje?

- A kto powiedział, że wojownicy są żywi? Kto jak kto, ale ty chyba sporo wiesz o innych rodzajach istnienia?

- Ale on właśnie żyje naprawdę, jest realną osobą z krwi i kości i... i ognia. To żaden anioł, zapewniam cię.

- Po pierwsze żadna z nas nie spotkała dotąd wojownika, więc nie wiemy, jak to z nimi jest. Po drugie, zdarzają się dziwne przypadki. W końcu ja sama byłam wampirem przez dwieście lat. Czy słyszałaś o innym przypadku, że ktoś został ugryziony, a potem ozdrowiał? Bo ja nie.

Jessica z powrotem opadła na krzesło.

- Sama już nie wiem... Maggie, on już zrozumiał, czym jestem. Ale jeszcze nie odgadł, kim jestem.

- Będziesz musiała mu to powiedzieć.

- Co?!

- Zrozum, sytuacja stała się naprawdę niebezpieczna. Najpierw Mary, teraz dwaj policjanci, zamordowani w upiorny, okrutny i teatralny sposób, a właśnie tak lubi postępować Władca. Uwielbia dawać przedstawienia. I będzie dawał kolejne, bo chce się zemścić na tobie. Jesteś jedyną osobą, która zdołała zadać mu takie obrażenia, że musiał do siebie dochodzić przez paręset lat, więc cię nienawidzi i teraz będzie cię osaczał i dręczył.

Jessica pokręciła głową.

- A jeśli to wszystko przypadek? Przecież specjalnie po to stworzyłam Katherine, hrabinę Valor, żeby przekonać go, że jednak w końcu stałam się złą i zginęłam.

- Czasem prawda wychodzi na jaw i to za pomocą dziwnych wydarzeń. Zresztą skąd wiesz, od jak dawna on jest na wolności? Wystarczyło, że osunęła się ziemia nad kryptą i powstała szczelina albo...

- Urwała nagle, szeroko otwartymi oczami patrząc w stronę drzwi. Jessica zamarła na moment, potem odwróciła się powoli.

Bryan.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Nie słyszałam pukania - rzekła chłodno Mag-gie, podnosząc się z za stołu.

- Ponieważ nie pukałem. - Uśmiechnął się. - Nie potrzebuję zaproszenia, żeby wejść, nie jestem wampirem. A co z panią, pani Canady? Nie jest pani wampirem, pani mąż też nie, a jednak wiecie o ich istnieniu. W dodatku wyczuwam coś w państwa rodzinie i w tym domu...

- Nie wiem, co pan wyczuwa w tym domu, za to wiem, że wszedł pan do niego nieproszony. To pan powinien się wytłumaczyć.

- W moim przypadku nie ma nic do wyjaśniania., Mój jedyny cel stanowi zabijanie wampirów. - Popatrzył na Jessicę. - A szczególnie jednego, którego tropię od wielu lat, bardzo wielu. Obie panie chyba doskonale wiedzą, o jakiej istocie mówię, prawda?

Wymieniły spojrzenia, zaś Maggie wzrokiem zachęciła przyjaciółkę, by ta wyjawiała całą prawdę, lecz Jessica nie chciała tego robić. W dodatku cały czas nie była przekonana, że to rzeczywiście jest Ioin, przecież

odgadłaby to chyba? Ale czy od pierwszej chwili nie wydawał jej się dziwnie znajomy? Jednak...

- Do czasu mojego wyjazdu do Transylwanii nie byliśmy świadome, że Władca powrócił. Przez jakiś czas pozostawał... rozbrojony, jeśli mogę tak to ująć.

Podszedł do stołu i twardo spojrzął na Jessicę.

- Czyli dopiero w Rumunii pojawiłaś się jako domina?

- Tak, przedtem tylko szerzyłam o niej pogłoski. Uznałam takie przebranie za najskuteczniejsze, lepiej było wejść na ten bal jako domina niż jako Złotowłosa, nie sądzisz? - Westchnęła. - Bardzo się mylisz co do nas. Nawet nie masz pojęcia, ilu z nas walczy przeciwko temu, czym się staliśmy, przeciwko tej naturze, którą narzucono nam przymusem.

- Poszłaś więc tam, żeby zabić Władcę?

- Tak.

Gwałtownie odwrócił się do Maggie, tak gwałtownie, że aż drgnęła.

- Pani jej pomaga w... w tym, co Jessica naprawdę robi, chociaż ja wciąż nie mam pewności, co to rzeczywiście jest. Pani mąż też wie, co się tutaj dzieje.

- Doskonale wiem, co Jessica robi i rozumiem ją znacznie lepiej, niż się panu wydaje. Sama byłam kiedyś wampirem.

- Jak to „była” pani?

- Byłam, ponieważ już nie jestem. Ale to długa historia.

- Mam czas - rzekł spokojnie Bryan. Maggie popatrzyła na niego równie spokojnie i milczała.

- Kim w takim razie jest Sean? - spytał po dłuższej chwili.

- Dokładnie tym, kim jest - oświadczyła. - Policjantem.

Z powrotem odwrócił się do Jessiki.

- W porządku. Czy tylko wy dwie macie się za to, co nazywasz dobrymi wampirami, czy jest was więcej?

- Jest nas więcej.

- A ostatniej nocy nie zabiłaś przypadkiem jednego z twoich przyjaciół?

- Nie. I też nie zaczęłam wywijać kołkiem po to, żeby zrobić na tobie wrażenie i przekonać cię do siebie. Walczymy z wampirami, które mordują, ale nie zabijamy bez zastanowienia i bez rozeznania, w odróżnieniu od ciebie, bo właśnie chyba to stanowi główny cel twojego życia. My dostrzegamy różnicę między dobrem a złem.

- Gdzie w takim razie są wasi przyjaciele? Czemu wczoraj nie pomagali?

- Lucien i Jade obecnie przebywają w Afryce, ścigając starożytnego demona.

- Lucien? Wasz król?

Bryan wiedział znacznie więcej, niż Jessica podejrzewała, znał nawet imię wampira, którego obwołano królem, a który z biegiem czasu stał się orędownikiem dobrej sprawy, dlatego wiele wampirów odwróciło się od niego i zaczęło czcić Władcę.

- Profesorze, mam dość tego przesłuchiwania nas w moim własnym domu - ucięła Maggie. - Jeśli chce pan uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, najpierw musi pan odpowiedzieć na nasze. Chyba wiemy, kim pan jest. Wojownikiem. Czy to znaczy, że jest pan kimś w rodzaju... anioła?

Jessica aż parsknęła.

- Anioła! Też coś. Zerknął na nią z ukosa.

- Nie, nie jestem aniołem. Ale wojownikiem tak. Moim celem jest walka ze złem. - Znowu spojrzął na Jessicę.

- Nie jestem zła.

- W takim razie jakim cudem możesz egzystować nadal?

- Zmiłuj się, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie słyszałeś o bankach krwi?

- I gdzie przechowujesz tę krew?

- Skoro jesteś taki sprytny, to czemu nie przeszukałeś mojego domu?

- Przeszukałem lodówkę.

- No to najwyraźniej nie jesteś dość spostrzegawczy, ponieważ przeoczyłeś ukrytą szufladę.

Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Bryan przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- I co teraz? - spytał cicho. - Ostatniej nocy zostaliśmy wszyscy wyprowadzeni w pole. Bał okazał się pułapką, Władca w ogóle nie zamierzał się tam pojawiać. Trochę mnie dziwi, że nie odszukał Mary, nie zmusił jej do uległości i do tego, żeby razem z nim pozabijała wszystkich obecnych w Rezydencji Montresse. Zamiast tego poszedł dać popis swojego okrucieństwa. Ci dwaj policjanci znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, co przypłacili życiem.

- Pan wie, co się stało w szpitalu? - zdziwiła się Maggie.

Skinął głową, a potem skupił całą uwagę na Jessice.

- Moim zdaniem on igra z tobą, pokazuje ci, do czego jest zdolny, zanim wreszcie przyjdzie po ciebie samą.

- A co, jeśli igra z tobą? - zasugerowała. - Jeśli to na ciebie zarzuca przynętę?

Czekała na jego odpowiedź z zapartym tchem. Jeśli nie jest nim, zaprzeczy. Oprócz niej istniała tylko jedna osoba, której Władca nienawidził z całej mocy, a tym kimś był wierny rycerz króla Roberta Bruce'a, jego prawa ręka, Ioin MacDuncan.

Nie zaprzeczył.

- Wiem, kim pan naprawdę jest - poinformowała Maggie z właściwą sobie bezpośredniością.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Wie pani?

- Tak. Pan ma na imię Ioin, to dzięki pańskiej bezprzykładnej odwadze król Szkotów Robert Bruce zdołał uniknąć śmierci na polu walki, kiedy to w zasadzce zginęła nieślubna córka króla. - Maggie zdołała powstrzymać się od zerknięcia w stronę przyjaciółki. - Pan zginął, żeby ocalić króla, żeby osłonić jego odwrót. Podobno dokonał pan cudów, w pojedynkę stawiając Czoła dziesiątkom wrogów. Ale po bitwie nie odnaleziono pańskiego ciała. Znikł także pewien zakonnik, który walczył po waszej stronie.

Ku zdumieniu Jessiki spuścił wzrok, jakby poczuł się zawstydzony.

- Proszę nie nazywać tego odwagą. Ja... ja byłem wtedy jak szalony.

- Czyli to wszystko prawda? - wyszeptała oszołomiona Maggie.

- Czyli... czyli ty nie zginąłeś? - spytała Jessica, starając się nie zdradzić. - I po tej bitwie zostałeś Wojownikiem?

- Nie, nie po bitwie. To znaczy nie od razu. Ocknąłem się kilkaset lat później, towarzyszył mi ojciec Gregore. -Milczał przez chwilę. - Żył

potem jeszcze wystarczająco długo, żeby zdążyć mi przekazać wiedzę o zupełnie innej epoce, żeby nauczyć mnie wszystkiego na nowo. I żeby w pełni uświadomić mi, jak wiele zła zostało uczynione przez tego, kto był moim najbardziej nienawidzonym wrogiem, gdyż zabijał, gwałcił, torturował i znęcał się nawet nad małymi dziećmi dla czystej rozkoszy bycia okrutnym. Przywrócono mnie do życia, żebym w końcu wytropił i zniszczył tego potwora, niezależnie od tego, ile wieków miałbym na to poświęcić.

- Przeniósł spojrzenie na Jessicę i dodał: - Mam również niszczyć wszystkie inne istoty tego rodzaju, by pozbawić go sług i naśladowców, by wypłenić ze świata ten gatunek zła.

- Czyli przez te wszystkie lata szukałeś Władcy? - spytała Maggie.

- Nie tylko. Miałem znaleźć jeszcze kogoś - wyznał, splatając palce i zaciskając je mocno.

- Musiałem odnaleźć i zabić córkę króla. Widzicie, ja ją kochałem. Ona także walczyła wraz z nami, broniąc niewinnego ludu przed okrucieństwami najeźdźcy. Ale Władca zdołał ją pojmać i skazać własnym złem, szatańskim złem, gdyż zawarł pakt z samym diabłem, co stało się źródłem jego ogromnej mocy. Widzicie, istnieje coś takiego jak nieśmiertelna dusza. Pragnąłem odnaleźć moją ukochaną, by przywrócić jej duszy pokój, który odebrał jej Władca. - Rozłożył ręce gestem bezradności. - Ona jednak najprawdopodobniej nie żyje, jestem niemal pewien, że występowała jako angielska hrabina, przebywająca na dworze Ludwika XIV. Jednak w końcu ją przejrano i uśmiercono. Czasem jednak nachodzą mnie wątpliwości. Na świecie jest tyle miejsc, w których można

się ukryć... Może ona ocalała i żyje gdzieś w kolejnym przebraniu. -
Nachylił się nad stołem. - Jessico Frazer, teraz twoja kolej.

Zamrugła oczami.

- Cóż mogę powiedzieć? Jak już wiesz, zostałam ugryziona przez wampira.

- Gdzie i kiedy?

Zawahała się. Powiedzieć prawdę? Po tym, co właśnie od niego usłyszała? Nigdy.

- W Dublinie na początku osiemnastego wieku.

- W Savannah w 1760 - powiedziała jednocześnie Maggie.

Zamilkły, wymieniając przerażone spojrzenia.

- O? - zdziwił się uprzejmie Bryan. - W takim razie prawda okaże się jeszcze ciekawsza, niż podejrzewałam.

Nie zdążyły jednak wymyślić żadnego przekonującego kłamstwa, nie miały też szansy wyznać prawdy, gdyż nagle zamarły, słysząc, jak otwierają się drzwi, a czyjeś kroki zmiierzają w stronę kuchni.

Jessica siedziała najbliżej wejścia, więc pierwsza ujrzała zdenerwowanego Seana.

- Jess, chwala Bogu, że ta jesteś! Jest gorzej, niż myśleliśmy, ale nie odważyłem się powiedzieć tego

Maggie podczas rozmowy telefonicznej. Władca wie, że mieszkasz w Nowym Orleanie, wypisał na podłodze krwią ofiar twoje imię. Twoje prawdziwe imię. Igrainia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bryan wydał zdławiony okrzyk, zaś Sean zamarł w progu, gdyż dopiero teraz go spostrzegł.

- McAllistair!

Lecz Bryan nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, wbił wzrok w Jessicę.

- Igrainia... - powtórzył nieswoim głosem. Zerwała się na równe nogi, jakby zaraz miał ją zaatakować.

- Nie masz prawa mnie oceniać. Wydaje ci się, że dużo o mnie wiesz, ale zapewniam się, że się mylisz.

- I to bardzo - poparła ją Maggie.

Sean podszedł do żony i położył dłoń na jej ramieniu.

- Zostaw, oni muszą to rozwiązać między sobą.

- Tak? A wiesz, jak on zamierza to rozwiązać? On chce ją zabić!

Jessica nie sądziła, by Bryan usłyszał chociaż jedno słowo od momentu, gdy Sean wypowiedział jej prawdziwe imię. Dawny Ioin wpatrywał się w nią bez słowa, a ona czuła, jak robi jej się zimno. Czuła się zagrożona, ale nie fizycznie. Miała wrażenie, jakby próbował przypuścić atak na jej duszę.

Wszyscy czworo byli tak spięci, że aż podskoczyli, gdy od strony schodów rozległ się dziewczęcy głosik:

- Mamo?

Jessica podjęła decyzję.

- Zostawiamy was. Wyjdziemy i przedyskutujemy sytuację.

- Kiedy ja cię z nim nie wypuszczę - zaprotestowała Maggie.

- Nic mi nie będzie - oświadczyła Jessica. Przyjaciółka zamierzała zaoponować ponownie,

lecz Sean ją powstrzymał.

- Zgadzam się, musicie rozstrzygnąć to między sobą. Pamiętajcie jednak, że naszym nadrzędnym celem jest powstrzymanie Władcy, wszystko inne nie ma w tej chwili znaczenia. Czy wyrażam się jasno?

- Ma pan całkowitą rację - zgodził się Bryan, po czym spojrzał na Maggie. - Jessice nic nie grozi z mojej strony. Na razie.

- Na razie?! - wybuchnęła Maggie, gotowa walczyć do upadłego.

- Mamo!

Jessica uściskała przyjaciółkę, a potem wzięła ją pod rękę i zaprowadziła w stronę schodów.

- Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie - odparła szeptem Maggie. - Kochasz go. Kochałeś go wtedy i kochasz go teraz. A on cię uwiedzie pieszczotami, uśpi twoją czujność i zabije cię.

- Nie, nie dam się tak głupio podejść. Przetrwalam tyle czasu, to i teraz dam sobie radę.

- Ale on stanowi dla ciebie śmiertelne zagrożenie, odkąd wie, kim jesteś.

- To działa w obie strony. Ja też mogłabym go zabić.

- Owszem, teoretycznie mogłabyś, tylko że nigdy tego nie zrobisz.

- Idź i zajmij się córką, a ja zajmę się sobą. Obiecuję być bardzo ostrożna.

Maggie obejrzała się na stojących w holu mężczyzn.

- Musi pan wyprowadzić się od niej - zażądała gniewnie.

- Daj spokój - poprosiła Jessica. - Teraz musimy skupić się na walce z Władcą.

- Wróćcie tu na trzecią - rzekł Sean. - Postaram się ściągnąć jak najwięcej naszych przyjaciół, spróbujemy coś wspólnie zaplanować, zamiast siedzieć i czekać na jego kolejny ruch. I na kolejne ofiary - dodał z goryczą.

- Dobrze, wracamy o trzeciej - obiecała Jessica i wyszła, a Bryan podążył za nią.

- Widzę, że przyjechałaś samochodem. To twój normalny środek lokomocji?

- Jak mam to rozumieć? Pytasz, czy potrafię zmienić się w mgłę albo zmienić kształt?

- Zakładam, że możesz to zrobić.

- Owszem, mogę, ale nie robię, chyba że zachodzi taka konieczność. Bardzo lubię prowadzić samochód. Wsiadaj więc i jedziemy.

Kiedy wyjechała na ulicę, zerknęła na Bryana.

- A ty? Co ty potrafisz jako superbohater? Przeskoczyć ponad budynkiem?

- Tylko gdy zachodzi taka konieczność - odciął się. Siedział i patrzył przed siebie w zamyśleniu, coraz mocniej ściągając brwi.

- O co chodzi?

- Moim zdaniem ktoś z twojego bezpośredniego otoczenia musi służyć Władcy, coraz więcej na to wskazuje. Od jak dawna znasz Stacey?

- Nawet nie waż się jej podejrzewać.

- Czemu? Wie o tobie wszystko, zna każdy twój krok.

Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz. Poznałyśmy się poprzez Kościół.

- Kościół? - zdumiał się.

- Ty rzeczywiście nie masz o nas zielonego pojęcia - stwierdziła z irytacją.

- Wybacz, ale w ciągu tych kilku wieków nie spotkałem wampirów, które chodzą do kościoła.

- A ile z nich o to spytałeś? - odpaliła. Przez długą chwilę panowała cisza.

- To nie Stacey - zapewniła Jessica z żarem w głosie. - Ona i Gareth czuwają nade mną od dobrych paru lat.

Spojrzał na nią ponuro.

- Nie możesz być taka naiwna. Co dla Władcy oznacza kilka lat? Nic.

- Milczał przez chwilę, a potem gwałtownie wybuchnął: - Dobry Boże! On mnie tak nienawidził za życia, że skierował swoją furję przeciw tobie, nie tylko cię zabił, ale też chciał uczynić z ciebie równie złą istotę jak on sam, a wszystko dlatego, że cię kochałem! A teraz nienawidzi cię jeszcze bardziej... Cała ta sytuacja, w której się teraz znaleźliśmy, to moja wina - dodał z ogromną goryczą. - Powinienem był odgadnąć, że on tu się zjawi. Powinienem był osobiście czuwać przy Mary, odkąd tylko została zaatakowana. Zawiodłem tutaj i zawiodłem w Transylwanii.

Ze zdziwieniem słuchała tej tyrady, wyglądało bowiem na to, że Bryan jest bardziej rozgniewany na samego siebie niż na nią. Mówił prawie tak, jakby znowu mogli być sojusznikami i walczyć ramię w ramię, jakby niemal zaczynał wierzyć, że faktycznie mogą istnieć osoby, które wewnętrznie oparły się złu, chociaż ono uczyniło wszystko, by je skazić.

- To ja zawiniłam, nie ty - odparła spokojnie. - Tylko że nasze wyrzuty sumienia w niczym teraz nie pomogą.

- Słuszna uwaga. W takim razie kto?

- Co „kto”?

- Kto znajduje się w twoim bliskim otoczeniu i pomaga Władcy realizować jego zbrodnicze plany? Załóżmy, że to nie Stacey i nie Gareth, którzy są najbliższymi cię. Wiem, że żadne nie jest wampirem, oboje są ludźmi. Od jak dawna ich znasz?

Jessica nie odrywała wzroku od drogi.

- Gareth pracuje dla mnie od dziesięciu lat. Stacey od kilku.

- Bobby Munro - rzekł nagle.

- Bobby? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Czemu nie?

- Ponieważ znam go doskonale i wiem, co o nim myśleć. Często do nas przychodzi, on naprawdę kocha Stacey. Świetny policjant. Równie dobrze mógłbyś podejrzewać Dużego Jima. Odpowiedziała jej cisza.

- Nie, nie, nie zaprotestowała gwałtownie.

- Jim to jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Bryan milczał dalej.

- Słuchaj, możliwe, że Władcy pomaga ktoś obcy. To nie musi być żaden z moich przyjaciół - przekonywała.

- Oboje doskonale wiemy, że wszystko jest możliwe - przypomniał jej sucho. - Ale nie wszystko jest prawdopodobne.

- Nadal nie rozumiesz. Kocham moich przyjaciół i ufam im. Będąc na ziemi od kilkuset lat, nauczyłam się dobrze oceniać innych. Znakomicie znam ludzką naturę, wierz mi.

- Nikt z nas nie wie na pewno, co kryje się w duszy drugiej osoby.

- Jesteś mocno cyniczny jak na anioła - zauważyła.

- Nie jestem aniołem - przypomniał jej.

- To prawda. Jesteś Wojownikiem. W każdym razie stoisz po stronie dobra i światła. Byłoby miło, gdybyś zechciał przyjąć do wiadomości fakt, że w innych też może być trochę dobra.

Przyjechali na miejsce, Jessica zgasła silnik i przez minutę siedzieli w milczeniu. Bryan patrzył na okna obwieszane girlandami czosnku nie tylko od wewnątrz, ale i od zewnątrz.

- Dom jest świetnie chroniony przed wampirami, jak widzę. W takim razie jak wejdiesz do środka?

- Ty nadal nic nie pojmujesz. A może nie chcesz?

Wysiadła i pomaszzerowała ku drzwiom, sztywno wyprostowana, oburzona. Dogonił ją przed samą werandą, chwycił za ramię i obrócił twarzą ku sobie. Jessica już miała mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, lecz zauważyła, że on wcale nie patrzy na nią, tylko na dom.

- Nawet tutaj musisz zachowywać ogromną ostrożność - ostrzegł. - Czuję obecność wampira i wcale nie chodzi o ciebie.

Przytrzymała go, ponieważ zamierzał wbiec do środka.

- Wszystko w porządku, to Mary.

- Co?

- Mamy sytuację pod kontrolą.

- Pod kontrolą? Trzeba ją zabić.

- Nie! Sama chciałam to zrobić, kiedy tu przyszła, bo nawet ja wierzyłam, że stała się zła. Ale nie. Oparła się pokusie. Nie jest zła.

- Nie ma...

- Nie waż się więcej mówić w mojej obecności, że nie ma czegoś takiego jak dobry wampir.

Już miała wejść do domu, gdy Bryan zawołał ją po imieniu. Odwróciła się.

- Co?

- Ja się staram. Przysięgam na Boga, że się staram. Ale lepiej uprzedź Mary oraz swoich przyjaciół, że wystarczy jeden niepokojący ruch i już po nich.

- A ja uprzedzam ciebie, że jeśli spróbujesz kogoś z nich sprowokować, okażę się równie bezwzględna.

- O, nie wątpię.

Zagryzła wargi, zła na siebie. Niepotrzebnie powiedziała coś, co umacniało go w jego przekonaniach na temat wampirów.

- Teraz, kiedy wpuściłaś Mary do środka, znajdujesz się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż poprzednio.

- Mary będzie spała przez cały dzień.

- On może przyjść do niej we śnie. Zamarła. To prawda, Władca mógł nachodzić swoje ofiary w snach. Jessica sądziła, że to obecność Bryana wywoływała bolesne sny o przeszłości, tymczasem to wróg dręczył ją koszmarami.

- Naprawdę grozi ci ogromne niebezpieczeństwo.

- Zgadza się. Z twojej strony.

- Powiedziałem, że cię nie zabiję, a ja nigdy nie kłamię.

- Ty w ogóle jesteś uosobieniem cnoty - rzuciła kpiąco.

Ku jej zaskoczeniu, roześmiał się szczerze.

- No, tak daleko to bym się nie posunął. Ale można polegać na moim słowie.

Weszli na werandę, Stacey otworzyła im drzwi.

- Wszystko w porządku? - spytała Jessica.

- Tak. Mary jest tak bezpieczna, jak tylko się da. Przede wszystkim zadbałam o to, żeby nie była głodna. Teraz powinna czuć się tak, jakby zjadła całego indyka na obiad, więc chyba będzie bardziej odporna na wezwania, prawda?

- I tak jak dotąd opiera mu się bardzo dzielnie. Do tej pory nie widziałam czegoś podobnego. To znaczy, widziałam raz.

Bryan odchrząknął, zabrzmiało to dość sceptycznie. Jessica starała się nie zwracać na niego uwagi.

- Gdzie Gareth?

- Pilnuje całej trójki. Gdyby Mary zaczęła jednak sprawiać jakieś kłopoty, Gareth się nią zajmie, niezależnie od protestów Jeremy'ego.

- Dobrze, w takim razie mogę się trochę przespać. Obudź mnie o drugiej, ale koniecznie, słyszysz?

- Masz jakieś plany? - spytała Stacey. - Co teraz robimy?

- Maggie i Sean postarają się ściągnąć pomoc. - Odwróciła się do Bryana. - Idę do łóżka. Dobranoc.

Weszła na górę, a kiedy znalazła się przed drzwiami swojej sypialni, uświadomiła sobie, że on jest za jej plecami.

- Co znowu? - spytała z irytacją.

- Naprawdę masz aż tak wielkie zaufanie do Stacey i Garetha?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, mam. Jakim cudem możesz żyć tak długo i nie nauczyć się jeszcze, że czasem trzeba innym zawierzyć? Nikt z nas nie istnieje samotnie. Przynajmniej nie ja. Nie mogę. Nie chcę.

Miała wejść do sypialni i zamknąć mu drzwi przed nosem, lecz bezceremonialnie wszedł za nią.

- Potrzebuję odpocząć.

- Zgadza się, dlatego nie odstąpię cię ani na krok, ponieważ grozi ci niebezpieczeństwo.

- Zdaniem Maggie największe niebezpieczeństwo grozi mi z twojej strony.

- Nie, nie z mojej - rzekł cicho. - On tu przybył po ciebie.

Obszedł cały pokój, zaglądając do szafy, do łazienki i pod łóżko.

- Wiesz, raczej mało prawdopodobne, że on czai się pod moim łóżkiem.

Wstał.

- Tak a propos, masz bardzo wygodny materac. Nie potrzebujesz trumny?

- W dzisiejszych czasach nikt nie sypia w trumnie. To znaczy, faktycznie, niektórzy ciągle to robią, ale ja i moi przyjaciele nie.

- A ten stary kufer pod łóżkiem? - zagadnął. - Zawiera szkocką ziemię, jak zgaduję?

Wzruszyła ramionami.

- Dziwię się, że dotąd nie rozebrałaś całego domu na kawałki, żeby znaleźć obciążające mnie dowody.

- Bo nie zorientowałem się na początku - przyznał się. - Byłem skupiony na... na czym innym. Ale powinienem był się domyślić, bo nawet po tych wszystkich latach...

- Ja też się nie domyśliłam - odparła. - Czas, jak słusznie mówią, leczy wszystko. Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem?

Powinłam była odgadnąć, pomyślała. Powinłam była zrozumieć, co to znaczy, gdy poczułam... coś, czego nie czułam od tamtego czasu. I przy nikim innym.

Nagle omal nie wybuchnęła płaczem, lecz zdołała się opanować.

Przetrwała tak długo, przetrwa więc nadal. Tak, ale... ale przedtem nie miała pojęcia, że on żyje.

- Już nie pamiętam, co chciałam powiedzieć. Patrzył na nią wyczekująco, a kiedy nic więcej nie dodała, wyszedł na balkon i zapatrzył się w niebo. Po chwili dołączyła do niego.

- Nie ma go w pobliżu - oświadczył.

- Jesteś pewien?

- Tak. Ale był tu całkiem niedawno, chociaż wtedy uznałem to za wybryk mojej wyobraźni. Pomyślałem, że tak bardzo pragnę go dopaść, że zaczynam sobie wyobrażać jego obecność. Ale on naprawdę krążył wokół domu, tylko nie zdołał wejść. - Spojrzał na nią. - Albo nie chciał, ponieważ postanowił wybrać inny, bardziej dogodny dla siebie moment.

- Raczej to pierwsze. Moi przyjaciele, którym moje dobro naprawdę leży na sercu, niezależnie od tego, o co ich podejrzewasz, potrafią sprawić, że jestem tu bezpieczna.

- Ale przede mną nie potrafią cię ochronić? Nic nie może mnie ochronić przed tobą, pomyślała.

- Ty nie jesteś wampirem - rzekła sucho. - W każdym razie teraz jest dzień i on musi odpocząć.

- Nie łudź się. Ty nie zawsze odpoczywasz za dnia, jesteś równie stara jak on.

- Niektóre kobiety nie uznałyby tego za komplement.

- Chodzi mi o to, że jesteście oboje bardzo silni, niewielu innych osiągnie kiedykolwiek podobną moc.

- Właśnie, oboje jesteśmy bardzo silni. On nie jest tutaj jedyną potężną istotą.

- A jednak cały czas boję cię o ciebie.

- Boisz się o mnie czy boisz się mnie?

Nie odpowiedział. Wróciła do sypialni, Bryan poszedł za nią, starannie zamykając drzwi balkonowe, udekorowane warkoczami czosnku i obwieszane krzyżami. Przyjrzał im się uważnie.

- Interesujące... - mruknął. Zirytowała się.

- Słuchaj, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że skoro istnieje ktoś ponad nami, ktoś pragnący dla naszych dusz pokoju, to w sercu każdej myślącej istoty jest miejsce nie tylko na zło, ale również i na dobro?

Zbliżył się, ujął ją za ramiona, głęboko zajrzał w oczy.

- Widziałem wystarczająco dużo.

- Ale wiara polega na tym, że wierzymy w to, czego nie widzimy - odparła cicho.

- A jednak od jakiegoś czasu nie wierzysz we mnie i nie masz do mnie zaufania.

- Sam przyznałeś, że zabicie mnie jest jednym z twoich głównych celów.

- Powiedziałem też, że tego nie zrobię.

- Na razie - przypomniawszy.

- Musimy połączyć siły i pokonać go. Tym razem na dobre.

Ciągle trzymał dłonie na jej ramionach, jego twarz znajdowała się tak blisko. Te oczy...

Jak mogła ich nie rozpoznać?

Zadrżała, lecz nie wiedziała, czy z pragnienia, czy z lęku przed zagrożeniem z jego strony. Nie mogła mu ulec, musiała oprzeć się pokusie, on jednak dotknął jej twarzy.

Może jeszcze i wtedy zdołałaby się oprzeć, ale on szepnął: - Igrainia...

W tym jednym słowie zdołał zawrzeć całą tęsknotę, która przetrwała wieki, całą radość z minionego szczęścia i cały ból z powodu jego utraty. I gdyby w tym momencie zamierzył się na nią, nie zdołałaby się cofnąć ani odwrócić.

Ujął w dłonie jej twarz, nieskończenie czule przesunął kciukami po gładkich policzkach. Kiedy bezwiednie przytuliła się do niego, nachylił się i pocałował ją niespiesznie, zmysłowo, w dotyku jego warg i języka wyczuwała żar, który tlił się w nim przez wieki. Wsunęła palce w ciemne włosy, pocałunek stawał się coraz gorętszy, coraz bardziej szalony. Nie miała pojęcia, jak i kiedy ich ubrania znalazły się na podłodze, w każdym razie tonęli nadzy w swoich objęciach, ani na chwilę nie przerywając pocałunku, który czynił nieistotnym wszystko inne poza ogniem, w którym się spalali i w którym szukali zaspokożenia gorączkowego głodu.

Wreszcie ich wargi oderwały się od siebie, zaczęła całować jego szyję, obojczyki, tors, przesuając się coraz niżej, obsypując go pieścizotami, odkrywając jego ciało na nowo, rozkoszując się jego siłą i twardością, zauważając blizny...

Wydawało się, jakby te wszystkie lata znikły, znowu widziała wiosenne kolory tamtego wężozu w górach Szkocji, czuła tamten wiatr, słyszała ryk fal uderzających o skały, odżyło w niej wspomnienie tamtej niewinności, zaufania, miłości...

Przesuwała palcami po jego biodrach, pośladkach, pieściła go, uwodziła, wzięła go do ust, a wtedy zadrżał i w następnej chwili już była w jego ramionach, już kładł ją na chłodnej pościeli, lecz dla niej było to tak, jakby znów leżała wśród trawy i wrzosów. Jej pieścizoty rozpałiły go do białości i wyglądało na to, że wszystko, co nastąpiło między nimi do tej pory, było załedwie wstępem.

Zawsze był wspaniałym kochankiem.

Udowodnił to po raz kolejny, pieściząc jej piersi, brzuch, pieściząc ją między udami, a potem wszedł w nią i naprawdę wszystko powróciło, słyszeli pomruk zbliżającej się burzy, nad nimi było szaro-niebieskie niebo, pod nimi szorstki wełniany pled rzucony na twardą ziemię, znowu łączyła ich młodzieńcza, świeża namiętność, lecz tym razem ich miłość była dojrzała, mocna, zahartowana przez wieki, silniejsza niż życie i śmierć.

Tak naprawdę burza była w nich, a potem nastąpiło wylądowanie, tak silne, że poczuła się, jakby umierała ponownie, tym razem z ekstazy. Kurczowo chwyciła go za ramiona, oszołomiona radością, która wyniosła ją gdzieś wysoko jak na srebrzystej chmurze. Radość trwała dalej, gdy

chmura zaczęła łagodnie, spokojnie opadać coraz niżej i niżej, aż Jessica z powrotem znalazła się na swoim łóżku we własnym domu przy Bourbon Street.

I w ramionach Bryana.

Nagle jej serce przeszył nieznośny ból, lecz zdołała nie uronić ani jednej łzy.

- Jeśli masz to zrobić, najlepiej zrób to teraz - wyszeptała.

- Co? - Uniósł się na łokciach i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Jestem wampirem. A ty Wojownikiem. Patrzył na nią długo, potem uśmiechnął się jakby ze smutkiem.

- Czasem trzeba wierzyć w to, czego się nie widzi, prawda?

Znowu się położył i przytulił ją do siebie, ona zaś pomyślała, że naprawdę nie miałyby to znaczenia, gdyby ją w tym momencie zabił. Umarłaby w jego ramionach, szczęśliwa.

Pocałował ją w czoło, zaczął gładzić po włosach.

- Gdyby tylko... - rzekł cicho.

- Co?

- Gdybyśmy tylko mogli tak zostać na zawsze. Ale nie mogli i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Chciała coś powiedzieć, lecz położył jej palec na ustach.

- Pora odpocząć.

Milczała więc, napawając się tą cudowną chwilą. Przez wieki sądziła, że jest sama, nauczyła się być silna i niezależna, gotowa stawić czoła każdemu możliwemu niebezpieczeństwu.

Ale czy mogła stawić czoła temu największemu zagrożeniu, jakim okazał się Bryan? Lecz w jego objęciach czuła się absolutnie bezpiecznie,

czuła, że on ją chroni, że jest dla niego bezcenna, że mógłby dla niej umrzeć.

Już raz to zrobił.

Kiedyś. A teraz?

Postanowiła nie myśleć o przyszłości, tylko rozkoszować się tym cudownym poczuciem, że jest otoczona opieką oraz wiarą, że jest kochana.

Wreszcie zasnęła i tym razem nie nawiedzały jej żadne sny, może dlatego, że przed zaśnięciem usłyszała ciepły szept:

- Igrainia...

RS

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bobby Munro wszedł do biura Seana.

- Miałem sprawdzić, kto jest właścicielem tej plantacji nad rzeką.

- No i?

- Nic nam to nie da. To własność gminy.

- Ale ktoś wiedział, że plantacja jest opuszczona i pusta.

- Praktycznie każdy mógł się tego dowiedzieć, panie poruczniku.

- Musimy znaleźć jakiś trop. Te wszystkie alkohole nie znalazły się tam znikąd, trzeba ustalić, kto je tam dostarczył. I komu. Spróbuj zasięgnąć języka w lokalach.

- Kiedy to będzie szukanie igły w stogu siana. - Bobby odchrząknął. - Pan wybaczy, panie poruczniku, ale mamy już tyle na głowie... Zaginione zwłoki ciągle się nie odnalazły, dwóch naszych brutalnie zamordowano, a prasa nie daje nam sekundy spokoju.

- Chyba wiesz, co należy odpowiadać dziennikarzom.

- Bez komentarza - wyrecytował Bobby z westchnieniem.

- Właśnie.

- Ale panie poruczniku...

- Tak?

- Nie, już nic.

- Wiem, że pracy jest dużo i zaczyna brakować nam ludzi, lecz trzeba znaleźć tego, kto na czyjeś zlecenie zorganizował to przyjęcie. To ja tutaj wydaję rozkazy, zgadza się?

- Tak jest, panie poruczniku.

Sean pomyślał, że już niedługo będzie te rozkazy wydawał, jeśli nie nastąpi żaden postęp w śledztwie.

- Weź do pomocy paru chłopaków, ja sam też pokręcę się po mieście i spróbuję zdobyć jakieś informacje.

I rzeczywiście zamierzał tak zrobić, najpierw jednak musiał odwiedzić kogoś w areszcie.

Kiedy Jessica zeszła na dół, znalazła w kuchni wszystkich oprócz Stacey i Mary. Bryan właśnie nalewał sobie kawy.

- Mary ciągle śpi - wyjaśnił cicho Gareth. - Stacey jej pilnuje.

- To dobrze.

- Bryan mówi, że Mary będzie tu absolutnie bezpieczna - rzekł Jeremy, wyraźnie uszczęśliwiony tą informacją.

Jessica spojrzała na Bryana. Wykapał się, ogolił, przebrał w świeżą koszulę. Wyglądał nowocześnie, a przecież... a przecież wcale się nie zmienił. Ona także nie. I mogliby znowu być razem, gdyby nie brak wiary ze strony Bryana, grożący ponownym rozdzieleniem, tym razem na zawsze.

- Pod warunkiem, że nawet na chwilę nie zostanie sama - ostrzegł, odpowiadając na uwagę Jeremy'ego.

Nie wiedziała, skąd to przekonanie, że Mary jest bezpieczna w jej domu, lecz nie mogła go o to spytać.

- Chcesz naleśniki? - zaproponowała Nancy.

- Musisz coś zjeść.

Jessica wcale nie musiała jeść, lecz jadała tak samo jak inni, by przekonać wszystkich naokoło - oraz samą siebie - że jest normalną osobą i prowadzi normalne życie.

- Bardzo chętnie się poczęstuję. Ile jeszcze mamy czasu?

- Godzinę - odparł Bryan. Jeremy spojrział na nich bystro.

- Do czego macie godzinę?

- Jesteśmy umówieni z przyjaciółmi - wyjaśniła Jessica. - Może uda nam się uzyskać pomoc.

- Jadę z wami - zadeklarował. Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Ale ja byłem w Transylwanii, mogę opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Stacey i ja wiemy, co mamy robić - wtrącił Gareth, swoim zwyczajem mówiąc cicho i nieśmiało. - Nancy i Jeremy rzeczywiście mogą się wam przydać. Nigdy nic nie wiadomo.

Nieoczekiwanie Bryan go poparł.

- Właściwie skoro to jest spotkanie, na którym mamy coś zaplanować, to nie widzę powodów, dla których mielibyśmy ich z tego wykluczać.

Jeremy przez chwilę wyglądał na zadowolonego, lecz zaraz potem zmarszczył brwi.

- Nie próbujesz mnie stąd wyciągnąć po to, żeby samemu wrócić i zabić Mary?

Bryan westchnął.

- Nadal wierzę, że to powinno zostać zrobione, ale nie wrócę tu ukradkiem, żeby tego dokonać. Zresztą naszego wroga nie ma nigdzie w pobliżu.

- Skąd możesz wiedzieć? - spytała Jessica.

- Czuję to. Oczywiście wszystko jest możliwe, lecz moim zdaniem na razie osiągnął tutaj to, co chciał. Może teraz uda się do szpitala po

Davidą Hayesą. Na pewno w końcu przybędzie po Mary, chwilowo jednak nie ma go tutaj.

- Osiągnął tutaj, co chciał? Co masz na myśli?

- Jeśli mamy zdążyć do Canady na trzecią, musimy się zbierać.

Porozmawiamy potem.

- Dobrze, zbierajmy się. Rozumiem, że ufasz Stacey i Garethowi, skoro chcesz zostawić Mary pod ich opieką?

- Jestem pewien, że będą jej dobrze pilnować. Inaczej Mary ich zabije. Albo ja, jeśli zawiodą.

Gareth musiał w to uwierzyć, gdyż zrobił się szary jak popiół. Jessica była dumna z niego, gdy wstał i oświadczył:

- Celem mojego życia jest chronienie Jessiki. I nie potrzebuję do tego pańskich grózb, profesorze.

Bryan skinął głową.

- Wierzę ci. A teraz chodźmy już.

Cal Hodges i Niles Goolighan zostali osadzeni w areszcie bez prawa wyjścia za kaucją. Ku zaskoczeniu Seana Cal zgodził się z nim porozmawiać w cztery oczy, bez obecności adwokata. Siedzieli w nieco wilgotnym pomieszczeniu o zielonych ścianach, patrząc na siebie ponad stołem.

- Zgodziłeś się porozmawiać ze mną - zaczął Sean.

- Aha.

- Czemu?

- Bo chciałem patrzeć, jak wijesz się ze strachu. Powinieneś się więc jak glista. Słyszałem o tych dwóch zabitych gliniarzach. Ciągle jeszcze nie rozumiesz? Jesteś głupi i bez jaj.

- Właściwie szkoda, że nie widziałeś tej jatki. Byłaby to lekcja dla ciebie, jak ty sam skończysz - odparł spokojnie Sean i miał wrażenie, że na moment w oczach młodego człowieka mignął niepokój.

Cal opanował się i unióśł dłoń.

- Nie zostanę tu długo.

- Ktoś zamierza cię stąd wyciągnąć?

- Oczywiście.

- Czemu tak myślisz?

- Czas nadchodzi. To wszystko, co wiem. Ale... Sean nachylił się nad stołem.

- On mówi do ciebie we śnie? - zainteresował się uprzejmie.

Zaskoczony Cal bezwiednie ściągnął brwi, co utwierdziło Seana w jego podejrzeniach. Uśmiechnął się.

- Kiedy już nie będziesz mu potrzebny, wyssie cię, przeżuje i wypluje resztki. Czy celowo zaatakowałaś Jessicę Frazer?

Taktyka gwałtownej zmiany tematu poskutkowała.

- Tak. Me. Głupi z ciebie dupek, glino. Zostaliśmy do niej zaprowadzeni. Ta suka zabrała moją siostrę.

- Ale teraz w twoim życiu wszystko się cudownie ułoży, ponieważ on cię stąd wydostanie, ponieważ on się o ciebie zatroszczy.

Zauważył drobniutkie kropelki potu na górnej wardze chłopaka.

- Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz? To nie ja byłem w szpitalu. Nie ja zabiłem twoich kumpli. I nie było mnie na tym balu.

- Zdziwiająco dużo wiesz jak na kogoś, kto siedzi sam w celi.

Cal wzruszył ramionami, a Sean wstał i zbliżył się do niego.

- Skąd? - warknął. - Skąd tyle wiesz?

Jechali elegancką aleją, prowadzącą do domu Canadych, przed którym stało kilka samochodów.

- Czy to twoi przyjaciele już przyjechali? - Jeremy spytał Jessicę.

- Na to wygląda.

- Świetnie. Cała banda wampirów - mruknął Bryan.

- Chcesz pokonać Władcę, prawda? - przypomniała mu. - Ci ludzie są zaprawieni w walce, stawiali czoła potężnym, starożytnym demonom. Potrzebujemy ich pomocy, czy tego nie widzisz?

Nie zaprzeczył, powiedział tylko:

- Idziemy, dzieciaki.

Jeremy widział, że Nancy wyglądała na równie przerażoną jak tamtej nocy, gdy czuwała przy nim w szpitalu w Transylwanii. Kiedy pomógł jej wysiąść z samochodu, kurczowo uczepliła się jego ręki i już nie puściła.

Uśmiechnął się uspokajająco. On sam przestał się bać.

Drzwi otworzyła im piękna rudowłosa kobieta.

- Przyjechaliście w samą porę.

- Maggie, to Nancy i Jeremy. Moi drodzy, to Maggie Canady.

Jeremy na moment uwolnił się od Nancy, by przywitać się z panią domu. Jego przyjaciółka wpatrywała się w Maggie wielkimi oczami.

- Czy pani jest...? - urwała.

- Nie, nie jestem wampirem.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała szybko Nancy, bardzo zakłopotana.

- Ale byłam nim - dokończyła z uśmiechem pani domu. - Wejdźcie, proszę.

Zaprowadziła ich do wielkiego salonu, gdzie ku swemu zaskoczeniu nie ujrzeli żadnych potworów, tylko kilkoro ludzi o skończone pięknych rysach twarzy. Bryan wszedł jako ostatni i zamarł w pół kroku na widok wysokiego ciemnowłosego mężczyzny.

- Lucien? Król wampirów?

- Tak, jestem Lucien - odparł tamten spokojnie. Nancy schowała się za plecami Jeremy'ego, który pomyślał, że gdyby nie byli tu bezpieczni, przyjaciele nigdy nie przywieźliby ich do tego domu.

Jessica stanęła pomiędzy mężczyznami.

- Lucienie, to Bryan McAllistair, Bryanie, to Lucien DeVeau.

Przedstawiła też pozostałych. Najwyższy z mężczyzn miał na imię Ragnor, jego żona Jordan siedziała przy stole z laptopem, by robić notatki. Był też Brent Malone ze swoją żoną Tarą, oraz Jade, małżonka Luciena.

- A więc jesteś Wojownikiem- odezwał się Brent Malone, przyglądając się Bryanowi z szacunkiem.

- A ty nie jesteś wampirem - stwierdził Bryan.

- Nie. - Wargi Brenta wykrzywił lekki grymas. - Wilkołakiem, obawiam się. Wilkołakiem, który walczy ze złem we wszystkich jego przejawach.

- To sprzeczne z tym, czego mnie uczono. Jessica dotknęła jego ramienia.

- Czasy się zmieniają. Stanowimy część czegoś, co nazywamy Przymierzem, teraz nie będę ci tego wyjaśniać, w każdym razie naszym zadaniem jest walka ze złem. Większość z nas to wampiry, ale zdarzają się tacy jak Brent. Jade posiada niektóre z naszych umiejętności, nie

wszystkie jednak, gdyż została ugryziona, lecz nie umarła. Tara i Jordan są normalnymi kobietami.

Jade DeVeau wtrąciła gładko:

- Czas nas goni, powinniśmy zaczynać. Maggie, kiedy Sean ma wrócić?

- Już powinien być, nie wiem, co go zatrzymało. Zaczniemy bez niego, trudno.

Bryan podszedł do kominka, o który oparł się Lucien. Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

- Podobno byłeś w Afryce, by ścigać demona.

- Tak, byliśmy tam, lecz wróciliśmy, gdy tylko dotarły do nas wieści o pojawieniu się Władcy.

- A demon?

- Tamta sprawa musi poczekać, teraz trzeba powstrzymać najgorszego wroga. Mieliśmy nadzieję, że został unieszkodliwiony na zawsze, ale niestety...

- Nie boicie się mnie, prawda?

- A powinniśmy? - odparował Lucien.

- Wiecie, kim jestem.

- Za to ty nie do końca rozumiesz, kim my jesteśmy. Gdybyś rozumiał, żadne z nas nie miałoby powodu się ciebie obawiać ani teraz, ani kiedykolwiek. Naszym wspólnym zadaniem jest pokonanie Władcy. Czy możemy się teraz na tym skupić?

Bryan długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu, wreszcie odezwał się:

- Zaczniemy od Jeremy'ego i Nancy. Niech dokładnie opiszą tamtą noc w Transylwanii, potem ja opowiem o swoim udziale, a Jessica o swoim. Może ktoś z tu obecnych wyłowi z tych relacji coś, co my przeoczyliśmy. - Zajął miejsce na kanapie, skrzyżował ramiona. Jestem przekonany, że w najbliższym otoczeniu Jessiki znajduje się zdrajca, lecz ona nawet nie chce o tym słyszeć. Może wy zdołacie ją przekonać, by bardzo uważnie przyjrzała się każdej z bliskich jej osób.

Jęknęła, lecz Lucien popatrzył na nią z powagą.

- Zgadzam się z tym. Praktycznie należałoby prześwietlić każdego.

- Kawa gotowa - zaanonsowała Maggie. - Możemy zaczynać.

Jeremy uświadomił sobie, że wszystkie oczy skierowały się na niego. W ustach mu zaschło, więc zwilżył wargi językiem.

- Wszystko zaczęło się od tego, że Mary poprosiła, żebym poszedł z nią na przyjęcie...

Niles Goolighan leżał w swojej celi, gapiąc się w sufit i żalując, że dał wiarę obietnicom o wiecznym życiu, o władzy i kobietach. Tak naprawdę podkreśliło go to ostatnie - perspektywa, że żadna babka mu się nie oprze. Do tej pory miał z tym problemy, to już Calowi lepiej szło, gdyż był wyższy, odważniejszy i bardziej wygadany. Niles generalnie trzymał się go i zawsze pozostawał trochę w cieniu. Skończyło się tak, że gnił w pudle.

Prawnik, którego mu przydzielono, zaproponował mu układ. Jego kumpel Cal coś wie o zamordowaniu w szpitalu dwóch policjantów, więc Niles może wie również, a jeśli zechce udzielić informacji mogących naprowadzić na trop mordercy, dostanie znacznie niższy wyrok za napad z bronią.

Niles zaczął zastanawiać się nad propozycją adwokata. Owszem, mógłby udzielić informacji, to było bardzo proste...

Nagle poczuł lodowate zimno. Spojrzał za kratę i ujrzał potężnego mężczyznę w eleganckim ciemnym garniturze.

- Niles...

- Tak?

- Przyszedłem ci pomóc. Zaproś mnie do środka.

Dziwny facet, pomyślał Niles. I czego właściwie tu chce?

- Strażnicy muszą pana wpuścić, bo mnie jakoś nie dają klucza do ręki. - Nagle roześmiał się. - A co tam, do diabła! Właż pan, jak pan chcesz.

Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się natychmiast i nieznajomy wszedł do środka, uśmiechając się, a na widok tego uśmiechu Nilesowi zrobiło się zimno, jakby lodowata ręka zacisnęła się na jego sercu. Skoczył ku ścianie, przywarł do niej plecami.

- Zamierzałeś mnie zdradzić, co, Niles?

- Zdradzić cię? - Chłopak ze zdumienia aż otworzył usta. - To ty... istniejesz naprawdę?

Znowu ten zimny uśmiech.

- Oczywiście, że istnieję naprawdę. Jestem bytem z krwi i kości, A co do ciebie... - Zaśmiał się. - Przydasz mi się. Chociaż więc jesteś żalonym tchórzem, przybyłem spełnić twoje najskrytsze pragnienie.

- Ja nie mam żadnych pragnień - zaprotestował żarliwie Niles.

Chciał krzyknąć, wzywając strażników na pomoc. Nie, nie krzyknąć, łkać jak dziecko. Jednak z jego ust nie zdołał wydobyć się żaden odgłos,

kiedy mężczyzna znalazł się tuż przed nim, a chłopak ujrzał płonące jak ogień oczy, ujrzał kły.

Najprawdziwsze kły.

Usłyszał ohydny chrzęst, gdy tamten wbił mu je głęboko w szyję. A potem...

Potem nie było już nic.

- I to już cała historia? - spytał Lucien, gdy studenci zamilkli.

- Właściwie tak - odparł Jeremy. - Nie mieliśmy pojęcia, kto nam pomógł, dopiero po powrocie do Nowego Orleanu i po... po śmierci Mary dowiedzieliśmy się, kim są Jessica oraz Bryan i co dla nas zrobili.

- Moim zdaniem bał w Rumunii służyć temu, by zwabić Jessicę w pułapkę - rzekł Bryan, wstając. Zaczął chodzić po pokoju. - Wróg nie przewidział jednak, że przybędzie ona w przebraniu dominy. Nie wiedział też chyba, że jestem coraz bliżej, że tropiąc jego ślady, coraz lepiej poznaję jego metody działania. Dlatego też, znając go tak dobrze, jestem pewien, że zdobył tu sobie wyznawcę z kręgu bliskich Jessiki, gdyż znajdując się na jej terenie, a nie na swoim, potrzebował pomocy. Tu nie jest mu tak łatwo jak w Transylwanii. Teraz zabija i wprowadza chaos w mieście z dwóch powodów. Po pierwsze, dręczy w ten sposób Jessicę, po drugie, coraz bardziej zaciska sieć, którą na nią zarzucił, w końcu zaciągnie ją w pułapkę i zniszczy ostatecznie. Zauważcie, że on doskonale wie, co Jessica robi. Zorganizował bal poza miastem, wywabił nas stąd, a sam udał się do szpitala zabijać, wiedząc, że nie stanie mu na drodze nikt dostatecznie potężny, by stawić mu opór. Czy potrzeba więcej dowodów na istnienie informatora?

- Ciągłe nie mogę w to uwierzyć - Jessica odezwała się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Ja zaś jestem przekonany, że Bryan ma rację - odparł Lucien.

Ragnor podszedł do niej, nachylił się, oparł ręce na jej ramionach.

- Ktokolwiek to jest, zapewne nie zamierzał się zdradzić. Pamiętaj, jakimi możliwościami dysponuje nasz wróg.

W tym momencie do salonu wszedł Sean.

- Nie uwierzcie w to - rzekł bez zbędnych wstępów.

- Ale w co?

- Dajcie mi usiąść do komputera.

Odsunęli się, Sean usiadł przy stole, połączył się z Internetem i wprowadził adres witryny propagującej wampiryzm jako sposób na prowadzenie bardziej pasjonującego życia, na zdobycie władzy, pieniędzy, atrakcyjnych partnerów seksualnych, a nawet na odnalezienie swego miejsca w życiu.

Nachylili się, czytając ponad jego ramieniem. Sean wstał i odszedł kilka kroków.

- Ja nie będę patrzył. Widziałem to raz i wystarczy. Jestem tylko człowiekiem.

Nagle monitor rozblysnął oślepiającym światłem, potem nastąpiła czerwona ciemność, wreszcie pojawiła się twarz. Twarz Władcy. To, co mówił, rozbrzmiewało w głowie słuchającego, jakby to były jego własne myśli.

Służ mi. Zaproś mnie do siebie. Oddaj mi hołd. Wypełniaj każde moje polecenie.

Bobby Munro był na ostatnich nogach. Po nocnej służbie nie poszedł do domu, tylko dalej pracował, przez cały dzień chodził po lokalach, próbując dowiedzieć się, kto mógł dostarczyć alkohol na nocną zabawę na starej plantacji. Jego wysiłki nie przyniosły rezultatu, inni policjanci, którzy mieli to samo zadanie, również wrócili z niczym.

Wracając wreszcie wieczorem do domu, przechodził obok baru, w którym grywał zespół Dużego Jima, a gdy usłyszał muzykę, postanowił, że wstąpi na jednego. Usiadł ze szklaneczką nieopodal sceny. Murzyn zauważył go i skinął mu dłonią, policjant odpowiedział uśmiechem, a potem zamknął oczy i słuchał. Uwielbiał dobry jazz. Pomagał nawet na ten łupiący ból głowy...

Niestety, niedługo potem muzycy zrobili sobie przerwę. Duży Jim podszedł i usiadł przy stoliku Bobby'ego. Barry Larson jak zwykle podążył za nim.

- Ciężki dzień, co? - zagadnął saksofonista.

- Na pewno ciężki - przyświadczył Barry. - Słyszałem, że dwaj wasi ludzie nie żyją, przykra historia. Po mieście musi szaleć jakiś psychol. Przecież to niemożliwe, żeby pozabijali się nawzajem w taki sposób, nie?

Bobby spojrział na niego niezbyt przychylnie. Nie lubił faceta. Był niepewny siebie, łaził za Dużym Jimem jak szczeniak i z całych sił starał się wkręcić do jakiejś grupy przyjaciół. Wyraźnie doskwierało mu, że jest sam i jeszcze nie znalazł swojego miejsca w życiu.

- Z całą pewnością nie pozabijali się nawzajem - oświadczył.

- Jak ty się w ogóle czujesz? - spytał Duży Jim.

- Jakoś się trzymam. Najchętniej skorzystałbym z ładnej pogody i poleżał sobie gdzieś na słońcu razem ze Stacey. Ale ona ostatnio jest bardzo zajęta.

- Nagle rozjaśnił się. - Hej, przecież jestem zaledwie kilka kroków od Rezydencji Montresse, a siedzę tu z wami, zamiast lecieć i pobyć ze Stacey przynajmniej przez kilka minut. - Wstał i położył na stoliku trochę pieniędzy. - Chłopaki, stawiam wam piwo, może być?

- Jasne - odparł z szerokim uśmiechem Duży Jim. - Dzięki.

Bobby wyszedł na ulicę w dużo lepszym nastroju i skierował się w stronę domu Jessiki. Bourbon Street jak zwykle była pełna ludzi, policjant słyszał strzępki rozmów, a jego humor pogarszał się niemal z każdym krokiem, gdyż sporo osób z przejęciem rozmawiało o ostatnich tajemniczych wydarzeniach - o zaginionych zwłokach, o śmierci dwóch gliniarzy. I oczywiście o tym, że policja powinna wreszcie coś z tym zrobić, bo od tego przecież jest, wszyscy płacimy na nią podatki... Jęknął w duchu.

Nagle wydało mu się, że ktoś za nim idzie. Chyba rzeczywiście musiał być diabelnie przemęczony. Oczywiście, że musiał ktoś za nim iść, w tłumie na Bourbon Street zawsze ktoś musiał za kimś iść, gdyż przy takiej liczbie ludzi było niemożliwe, by każdy kierował się w inną stronę.

Kiedy zapukał do drzwi domu Jessiki, uchyliła się zasłona w oknie, Gareth wyjrzał podejrzliwie i dopiero wtedy otworzył. W tym momencie Bobby znowu wyczuł, że ma kogoś za plecami, lecz tym razem odwrócił się gwałtownie, gotów sięgnąć po pistolet.

- Ach, to ty. Nie powinieneś tak chodzić za kimś, kto jest uzbrojony.

- Po co przyszedłeś, Bobby? - spytał Gareth, stojąc w progu.

- Chciałem na chwilę zobaczyć się ze Stacey, to wszystko. Nie wiedziałem, że on pójdzie za mną.

- Stacey jest zajęta.

- Daj spokój, Gareth. Mam za sobą ciężki dzień, chciałem tylko się z nią przywitać. Wpuść mnie. Na minutę.

- Dobrze, wejdź, ale zostań w holu. Pójdę ją zapytać, czy zejdzie do ciebie.

Bobby przestąpił próg, po czym odwrócił się.

- Hej, czemu w ogóle za mną poszedłeś?

- Nie wiem. Przeczucie - odparł Duży Jim. - Ja tylko powiem Stacey „cześć” i pójdę sobie.

Bobby jęknął.

- No coraz lepiej! Twój cień też przylazł. Czy ja nie mogę spokojnie zobaczyć się z moją dziewczyną?

Murzyn spojrzał w stronę furtki. Ścieżką biegł zdyszany Barry Larson.

- Jim, co tak nagle wypadłeś z klubu? Przecież jeszcze nie skończyliśmy dzisiejszego występu.

- Zarządzam przerwę. Do diabła, Barry, nie musisz się mnie trzymać jak matczynej spódnicy.

Barry wyglądał na zranionego tą uwagą.

- Przepraszam, po prostu myślałem, że coś się stało.

- No dobra, wejdź. Zaraz pójdziemy dalej grać. Bobby zmusił się do uśmiechu.

- Jasne, wejdź.

Muzyk skwapliwie skorzystał z zaproszenia i rozejrzał się dookoła.

- Ale chałupa, nie?

- Fajna, ale zaniknij drzwi - ponaglił go z irytacją Bobby. - Nie chcemy tu nawpuszczać żadnych robaków.

Stacey siedziała na krześle, nie spuszcżając Mary z oka. Dziewczyna wyglądała na całkiem zadowolona w swoim małym więzieniu, jak długo miała co jeść i mogła oglądać telewizję. Gareth krążył po całym domu, pilnując ich i co jakieś pół godziny zachodził na piętro, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem nerwowo spieszył na dół, upewniając się, czy tam również nic się nie dzieje.

- Stacey? - odezwała się w pewnym momencie Mary.

- Tak?

- Co ze mną będzie?

- Cóż...

- Albo on tutaj przyjdzie i porwie mnie ze sobą, albo ktoś przebijie mnie kołkiem, tak?

- Niekoniecznie. Cała rzecz w tym, żeby odnaleźć właściwą drogę - zaczęła wyjaśniać Stacey, lecz Mary nagle podskoczyła na krześle. - Co się stało?

Dziewczyna przycisnęła dłonie do uszu.

- On tu jest - wyszeptała.

Stacey poczuła, jak dreszcz przeleciał jej po krzyżu.

- Ale ja go tu nie zaproszę, nie chcę, nie chcę, za nic, przysięgam! - krzyczała Mary. Upadła na podłogę i zwinęła się w kłębek, przyjmując pozycję embrionalną. - Nie! Nie!

Stacey skoczyła ku drzwiom.

- Gareth!

Ku swej uldze usłyszała tupot kroków na schodach, po czym zdumiała się, widząc nie tylko stróża, ale również trzech pozostałych mężczyzn. Gareth odwrócił się przed drzwiami sypialni.

- Zejdźcie na dół. Nikt was tu nie prosił.

- Jestem policjantem, słyszałem krzyk, to wystarczy. - Bobby wpadł do pokoju, zaś obaj muzycy podążyli za nim.

No to świetnie, pomyślała Stacey. Teraz już wszyscy będą wiedzieli, co się tutaj dzieje. Pięknie.

Nagle drzwi balkonowe rozprysły się na tysiące kawałków, jakby nastąpiła eksplozja, odłamki poszybowały przez pokój. Pojawiła się dziwna, czarnoczerwona mgła, duszący opar, a potem... Potem okazało się, że przed nimi stoi potężny mężczyzna o rysach pełnych okrucieństwa.

- Dziękuję za zaproszenie - rzekł konwersacyjnym tonem.

Oszołomiona i przerażona Stacey wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, nie pojmując, o czym on mówił. Kto z pozostałych zaprosił go do tego domu? Kto?!

- Przyszedłem po moją własność. Zabrać mi te śmieci, którymi ją otoczyliście.

Stacey usłyszała za plecami płacz Mary. Chciała sprawdzić, kto zamierzał posłuchać rozkazu, lecz nie śmiała odwrócić się plecami do przeciwnika, który nie mógł być nikim innym, tylko samym Władcą.

Jessica patrzyła na stopniowo gasnący obraz na monitorze.

- Zapewne uzyskuje panowanie nad ludźmi za pomocą tego wizerunku i tego przekazu - rzekł Sean. - Zaczął używać nowoczesnych technologii, próbuje działać na zasadzie reklamy podprogowej.

Nagle Bryan gwałtownie poruszył głową, jakby nasłuchując.

Zesztywniał.

- Cholera jasna!

- Zdumiewające, prawda? - zgodził się Sean.

- Tak, ale akurat nie o to mi chodziło. Musimy natychmiast wracać do Rezydencji Montresse.

Jessica zerwała się na równe nogi.

- Co się dzieje?

- On gdzieś zaatakował - rzekł Lucien. - Też to wyczułem. Ja i Ragnor idziemy z wami. Brent, ty i dziewczyny pilnujcie domu.

Wypadli na werandę, Jessica zawahała się, niepewnie zerknęła na Bryana, a on od razu zrozumiał.

- Ty na swój sposób, ja na swój. Spotkamy się na miejscu. Uważaj na siebie.

Zmieniła się w mgłę i niczym cień pomknęła ponad miastem, wiedząc, że Lucien i Ragnor podążają w ślad za nią. Ujrzała rozbite drzwi balkonowe, wpadła do pokoju, przyjęła własną postać i zobaczyła kompletny chaos, piekło.

Władca wtargnął do jej domu, w dodatku nie sam, do pomocy wziął dwa wampiry, które Jessica pamiętała z balu w Transylwanii. Jednym była kobieta, z której łap wyrwała wtedy Nancy, drugim był wysoki mężczyzna o płomiennie rudych włosach.

Kobieta tym razem zaatakowała Stacey, lecz ta - w odróżnieniu od Nancy - walczyła jak lwica.

Duży Jim klęczał na podłodze z uniesionymi rękami, śpiewając w jakimś starym języku, zaś rudowłosy stał nad nim, wyciągając ręce o długich szponach, by nimi przebić Murzynowi gardło.

Ale chyba jeszcze bardziej upiornie wyglądał Bobby Munro, który stał z wyciągniętą bronią, desperacko próbując się zmusić do naciśnięcia spustu, lecz ciało nie słuchało go, sparaliżowane przez wroga, niezdolne do działania. Bobby mógł tylko patrzeć z rozpaczą na to, jak kobieta, którą kochał, walczy o życie z przeciwnikiem znacznie silniejszym od siebie.

Tymczasem Władca skierował kroki ku Mary, śmiejąc się głośno. Wydawał się ogromny niczym cień, który wypełnia całą dostępną przestrzeń. Był absolutnie pewny siebie, kontrolował wszystko, co się działo. Gareth i Barry Larson leżeli na podłodze jak martwi.

Bryan pojawił się jednocześnie z Jessicą, ocenił sytuację jednym rzutem oka i rzucił się na kobietę próbującą zabić Stacey, bo chociaż przede wszystkim pragnął zabić znienawidzonego wroga, widział, że nawet sekunda zwłoki będzie kosztowała dziewczynę życie. Jessica skoczyła na drugiego wampira, by ratować Dużego Jima. Wampir obrócił się błyskawicznie, próbując przebić ją kołkiem, który wyrwał zza paska, zdołała się uchylić w ostatniej chwili. Obok niej coś przeleciało i w powietrzu rozpadło się w proch, zatem Bryanowi powiodło się lepiej niż jej.

Krąg chroniący Mary został przerwany, Jessica zobaczyła ponad ramieniem rudego, jak Władca sięga po dziewczynę.

- Zostaw ją! - wrzasnęła.

W odpowiedzi usłyszała okrutny śmiech. Wróg cisnął Mary przez pokój z całą siłą, oczywiście nie zabiłby jej w ten sposób, skoro była

wampirem, lecz zdołałby strzaskać jej kręgosłup i sparaliżować ją na zawsze. Nie mając wyboru, Jessica wyskoczyła w powietrze, chwyciła dziewczynę, razem uderzyły o ścianę, lecz już ze znacznie mniejszą mocą. Jessica krzyknęła, gdy rudy chwycił ją za włosy i szarpnął ku sobie. Upuściła Mary. Kątem oka ujrzała, jak Władca wymierzył cios w głowę Dużego Jima, a Murzyn zgiął się wpół i osunął na podłogę. Zjawił się Lucien, błyskawicznie odciągnął Jima na bok, zanim Władca zdążył wymierzyć drugi cios, tym razem śmiertelny. Potem król wampirów pojawił się przed Bobbym, osłaniając go sobą, by wróg nie zdołał skreślić policjantowi karku. Ragnor zajął się rudym, w ten sposób pozwalając Jessice, by skoczyła na ratunek Stacey. Za późno.

Władca już prawie był na balkonie, porywając ze sobą jej przyjaciółkę. Bryan był bliżej, zdołał na odlew uderzyć wampira kantem dłoni w krtań. Władca zachwiał się, wydał z siebie wściekły char-kot, cisnął dziewczyną w Bryana, zwalając go tym sposobem z nóg i uciekł, zmieniawszy się w dym.

Proch, w który obrócił się rudy, upadł u stóp Ragnora.

Jessica obróciła się, jej spojrzenie padło na Bobby'ego, który stał, drżąc na całym ciele.

- Bobby, co tu się stało? Jakim cudem on dostał się do środka? Kto go wpuścił?

Barry Larson poruszył się i próbował wstać, a rozwścieczona Jessica skoczyła ku niemu, gotowa rozprawić się z nim. Teraz już знаła zdrajcę.

- Nie! - Bobby wreszcie odzyskał zdolność mówienia. - On chciał go powstrzymać.

- O kim ty mówisz? Jeśli nie Barry, to kto? Bryan ostrożnie położył Stacey obok Mary, obie dziewczyny były nieprzytomne.

- Jessico, a kto jeszcze został? - spytał, patrząc na nią ze współczuciem.

- Gareth? - wyszeptała. Aż robiło jej się niedobrze na tę myśl. Potrząsnęła głową, nadal zaprzeczając takiej możliwości.

Lucien podszedł do leżącego stróża, odwrócił go na plecy.

- Pewnie był kontrolowany wbrew swojej woli, może za pomocą tego obrazu w Internecie.

Bryan dołączył do Luciena.

- Chyba odzyskuje przytomność.

Jessica odsunęła ich, uknęła obok Garetha, który powoli uniósł powieki i spojrzał prosto na nią. Dziwny uśmiech wykrzywił mu wargi.

- Byłaś taka piękna... - Z trudem chwycił oddech. - Ale on jest Władcą. - Zamknął oczy.

- On umiera! - zawołała. - Ale dlaczego?

- Ma wgniecioną czaszkę - wyjaśnił Lucien. Bryan dotknął twarzy umierającego, a ten znów otworzył oczy.

- Czego pragnie twój Władca? - spytał Bryan rozkazującym tonem.

Gareth poruszył ustami, musieli się nachylić, by usłyszeć niewyraźny szept.

- Ciebie... I Igraini. Jak kiedyś.

Jego powieki padły ponownie, a Bryan odsunął się gwałtownie, nie zadając więcej pytań. Mężczyzna był martwy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Drzwi balkonowe nie zostały naprawione, lecz zdołali je zabarykadować deskami i ponownie zawiesić w nich czasnek oraz krzyże. Natychmiast wezwali na pomoc Seana, dzięki czemu mogli oficjalnie zgłosić włamanie, wyjaśnić śmierć Garetha oraz odesłać Barry'ego Larsona do szpitala. Lucien i Ragnor zabrali Mary, ponieważ nie dałoby się wytłumaczyć, jakim sposobem zwłoki zaginione w kostnicy pojawiły się nagle w domu Jessiki, w dodatku w charakterze żywej osoby. Przybyła ekipa śledcza, by zbadać miejsce zbrodni. Nancy i Jeremy pozostali przez resztę nocy w domu Canadych, nad ich bezpieczeństwem czuwał Brent.

Bryan bił się z myślami. Przez tyle lat działał w pojedynkę, powtarzając sobie, że to najlepszy sposób postępowania - i miał rację, wystarczyło tylko zobaczyć, jak Jessica została zdradzona. Z drugiej jednak strony zaczynał czuć, że coś stracił przez swoje podejście. Od śmierci ojca Gregore'a nie ufał nikomu, całkowicie oddany swemu zadaniu, jakim było zwalczanie zła. Ale grupa przyjaciół Jessiki poświęciła się dokładnie temu samemu celowi i potrafili działać razem.

Dawno temu, tak dawno, że wydawało się to tylko snem, on również miał towarzyszy walki, wiernych i niezłomnych. Tamci nosili zbroje, ci zaś dzinsy lub stroje od Armaniego, jednak poza tym praktycznie się nie różnili. Rozmyślając nad tym wszystkim, Bryan obserwował, co się wokół niego działo i układał sobie w głowie, co powinien zrobić.

Wreszcie wspólnym wysiłkiem udało im się stworzyć spójną, prawdopodobną wersję wydarzeń. Złoczyńca włamał się przez drzwi

balkonowe na piętrze, musiał być w rękawiczkach, gdyż nie zostawił żadnych odcisków palców. Zadbał także o to, by nie pozostawić śladów w ogrodzie. Bobby opisał włamywacza jako wysokiego bruneta, który uciekł, gdy pojawił się policjant.

Kiedy już wszyscy złożyli wyjaśnienia, Bryan wyszedł, wiedząc, że zostawia Jessicę bezpieczną wśród naprawdę oddanych przyjaciół. Udał się do szpitala, a ponieważ nie mógł od razu zobaczyć Barry'ego, który wciąż przechodził badania, postanowił zajrzeć do Davida Hayesa i sprawdzić, jak chłopak się czuje.

Spytany o Hayesa pielęgniarz zniżył głos:

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś stracił aż tyle krwi, ale chyba powinien z tego wyjść. Ktokolwiek zaatakował tych gliniarzy, nieźle poharatał mu rękę, ale to nadal nie wyjaśnia...

- Czego? - spytał Bryan, gdy tamten urwał.

- Hayes upiera się, że został zaatakowany przez wampira, i to dwukrotnie. Najpierw zaatakowała go naga dziewczyna w kostnicy, a potem w izolatce mężczyzna w lekarskim kitlu.

- Jest przytomny? Można go odwiedzić?

- Jest przytomny, ale nie wiem, co z wizytą. To zależy od zgody policjanta, który go pilnuje.

Bryan podziękował za informacje. Przed izolatką trzymał straż sierżant George Mendez, który bez słowa komentarza wpuścił Bryana do środka.

- Cześć, Davidzie. Jak się czujesz? Chory spojrzał na niego.

- Czy ja pana znam?

- Jestem profesorem. Badam starożytne legendy i wierzenia. Na przykład o wampirach.

- One istnieją - oświadczył David z całą powagą.

- Wiem.

Na twarzy chłopaka odbiło się zdumienie, gdyż po raz pierwszy ktoś dał wiarę jego słowom. Bryan uśmiechnął się.

- Nikt inny nigdy ci nie uwierzy, dlatego na twoim miejscu przestałbym o tym wspominać, skoro chcesz zostać lekarzem.

- Pan nie rozumie. Jak mam o tym nie mówić? Jestem śmiertelnie przerażony.

- Wszystko będzie dobrze. Wampir, który cię zaatakował, już tu nie wróci, ponieważ skupił się na swoim właściwym celu. Możesz więc tu leżeć spokojnie, dojdź do siebie, nie wrywaj się za szybko do domu, a potem zostań znakomitym lekarzem.

- I to wszystko, co mam zrobić?

- Cóż, nie zaszkodzi, jeśli będziesz jadł dużo czosnku i trzymał w domu dużo religijnych symboli.

- Takich jak krzyże?

- Takich, w których skuteczność wierzysz. Uwierz mi, kimkolwiek jest ta najwyższa istota, która czuwa nad nami, ostatecznie będzie liczyło się tylko to, jak za życia traktowaliśmy się nawzajem.

David wpatrywał się w niego bez słowa.

- Dzieciaku, dostałeś szansę. Skorzystaj z niej - doradził Bryan i skierował się ku drzwiom.

- Hej, profesorze! Czy mogę na pana liczyć, w razie gdybym... gdybym potrzebował jakiejś pomocy?

- Mnie akurat nie będzie tu przez jakiś czas, ale nie obawiaj się, ktoś będzie nad tobą czuwał.

Wrócił na izbę przyjęć, dowiedział się, gdzie znaleźć Barry'ego Larsona i poszedł go zobaczyć. Muzyk na szczęście miał tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. Ku zaskoczeniu Bryana sprawiał wrażenie szczęśliwego i ucieszył się na widok gościa.

- Próbowałem powstrzymać Garetha - zrelacjonował. - I prawie mi się udało!

- Dzielny z ciebie chłop - pochwalił Bryan.

- Wiedziałem, że coś złego dzieje się w tym domu. Duży Jim też to podejrzewał. Nie musicie się martwić o moje zeznania, wszystko sobie przemyślałem. Powiedziałem, że niewiele pamiętam, że przez balkon włamał się jakiś wielki facet i próbowaliśmy go obezwładnić. - Spochmurniał na chwilę.

- Oczywiście wyjdzie na to, że Gareth zginął jak bohater, broniąc domu przed włamywaczem, no ale trudno.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Bryan wyszedł i wrócił do domu. Na dole zastał Stacey i Bobby'ego, który wciąż był w ciężkim szoku, ale przynajmniej przestał już być trupio blady.

- Gdzie pozostali?

- Seana wezwano na komendę, bo Niles Goolighan zaczął szaleć w swojej celi i zaatakował strażnika - wyjaśnił Bobby. - Reszta jest u Maggie, ale Mary przeniesiono do jakichś ludzi, którzy nazywają się Malone. Nie wiadomo, co wydarzy się dalej, więc nie chcą trzymać jej w domu, gdzie są małe dzieci. A Jessica odpoczywa u siebie na górze.

- Nie odpoczywa, tylko zadrecza się, obwiniając się o wszystko - skorygowała Stacey.

- Dzięki za informacje.

Jessica krążyła nerwowo po swoim pokoju, a gdy Bryan wszedł, znieruchomiała i popatrzyła na niego tak, jakby wstrzymała oddech.

Czekała.

- Cześć - powiedział cicho.

- O Boże, Bryan!

Podbiegła, chwycił ją w objęcia, przytulił się.

- Przez te wszystkie lata mnie okłamywał... Gareth pracował dla mnie, jeszcze zanim przyjechałam tutaj. Poznaliśmy się, kiedy jakichś dwóch chuliganów napadło w sklepie spożywczym właściciela.

Unieszkodliwiłam ich, a Gareth to widział, ale policjantom powiedział, że po prostu miałam szczęście, bo udało mi się zająć jednego z napastników od tyłu i rozbić mu na głowie butelkę z winem. Dopiero kilka miesięcy później przyznał się, że wie, kim jestem, ale wcale się mnie nie boi, tylko chce mi pomóc. I wspaniale pomagał, był przy mnie przez dziesięć lat! Ufałam mu bezgranicznie, zostawiałam Stacey pod jego opieką...

Bezradnie gładził ją po włosach.

- A jednak trzeba wierzyć w innych, chociaż czasami mylimy się co do nich. - Zawahał się. - Nie pozwól, żeby to doświadczenie cię zmieniło. Nie twierdzą, że masz przestać na siebie uważać, ale...

- Uniósł jej twarz do góry, by zająrzeć Jessice w oczy.

- Prawdziwa lojalność i wierność również istnieją, nie zapominaj o tym. Masz wspaniałych przyjaciół, na przykład Dużego Jima.

Podejrzywałem go przez chwilę, przyznaję. Na szczęście niesłusznie. Barry też pokazał się z jak najlepszej strony.

Uśmiechnęła się.

- Czyli w końcu zrozumiałeś? - Naraz posmutniała z powrotem, westchnęła. - Seana pilnie wezwano na komendę, podobno Niles Goolighan szaleje.

- Oczywiście wiemy, czyja to sprawa. Władca zamierzał zostawić po sobie jak najwięcej chaosu, no i świetnie mu się to udało.

- Zostawić? O czym ty mówisz?

- On tu nie zostanie, może nawet już go nie ma. Przybył, zniszczył, co mógł, a teraz chce, żebyśmy podążyli za nim. Nigdy nie zamierzał wydawać nam wojny tutaj, na nie swoim terenie. Nie mamy wyboru, musimy jechać za nim.

- Dokąd?

- Tam, gdzie to wszystko się zaczęło. Czasami nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło, że byłem człowiekiem, rycerzem walczącym o niepodległość kraju, zakochanym w nieślubnej córce króla.

Jessico, nasz wróg chce ponownie przeżyć tamten dzień. Musimy wrócić do Szkocji.

Odsunęła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, lecz nic nie powiedziała.

- Ta walka będzie inna niż poprzednio. Ale...

- dodał powoli - ale siły będą bardziej wyrównane, niż sądziłem przez te wszystkie lata.

- O?

- Ponieważ wygląda na to, że faktycznie istnieją również dobre wampiry.

Z uśmiechem przysunęła się z powrotem i wtuliła w niego.

- Musisz odpocząć - powiedział.

- Nie mamy na to czasu.

- Owszem, mamy.

- Skoro tak mówisz...-Podniosła na niego wzrok.

- Trochę wysiłku fizycznego pomaga zasnąć.

Nie potrzebował wyraźniejszej zachęty, w końcu nie urodził się poprzedniego dnia. Pochylił głowę i pocałował Jessicę z niewymowną czułością. A potem kochali się powoli i słodko, celebrując każdą chwilę, delektując się każdym dotykiem, spojrzeniem, szeptem i dopiero na sam koniec poddali się szalonej namiętności.

Kiedy Jessica zasnęła, Bryan cicho wyslizgnął się z jej pokoju i zszedł na dół. Stacey i Bobby siedzieli na jednej z kanap, przytuleni do siebie.

- Jak się czuje Jessica? - spytała Stacey.

- Zasnęła.

Bobby patrzył na niego dziwnym wzrokiem.

- Stacey próbowała mi to wszystko wytłumaczyć, ale...

- Choćby ci tłumaczyła przez całe życie albo nawet i przez kilka, to jeszcze i tak nie wszystko byś zrozumiał.

- Pewnie nie. Teraz wszyscy muszą odpocząć, ale potem trzeba będzie usiąść i zaplanować, co dalej. Myślę... - Bobby spojrzał Bryanowi prosto w oczy - że będziemy potrzebowali każdej pomocy, jaką da się uzyskać - rzekł z naciskiem na „my”.

- Proponuję odbyć walną naradę - wtrąciła Stacey. - Tutaj. Dziś w nocy. Wszystko przygotuję.

- Ja też przyjdę i już więcej was nie zawiodę - obiecał solennie Bobby.

- Nikogo nie zawiodłeś. I następnym razem będziesz już przygotowany. Ale dziś w nocy nic się tu nie wydarzy, jestem tego niemal pewna.

- Nie zawiodę ponownie - powtórzył. Wzięła go za rękę.

- Żadne z nas nie zawiedzie - zadeklarowała i przeniosła wzrok na Bryana. - Jesteśmy oboje do dyspozycji.

- Chętnie skorzystam z waszej pomocy, chociaż w dość wąskim zakresie. Nie dlatego, żebym wam nie ufał. Czy wam się to podoba, czy nie, jesteście tylko ludźmi, więc pewnych rzeczy nie możecie zrobić.

Miny im zrzędy. Bobby westchnął.

- Jasne. Za to na opiekunki do dzieci nadajemy się świetnie.

Bryan znalazł Seana przy wejściu do długiego korytarza mieszczącego cele.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? - spytał Sean.

- Intuicja. Dasz radę mnie tam wprowadzić?

- Normalnie musiałbym wykonać dużo papierkowej roboty w tym celu i uzyskać formalną zgodę, ale dzisiaj... Dzisiaj nie będziemy się w to bawić. Chodźmy.

Kiedy szli, Bryan zwięźle przedstawił policjantowi swoją koncepcję na temat planu Władcy oraz szykowanej przez niego ostatecznej rozgrywki. Sean zgodził się od razu, że brzmi to bardzo prawdopodobnie.

Doszli do celi, Bryan zatrzymał się wcześniej, pozostając poza zasięgiem wzroku Goolighana. Chłopak na widok policjanta uśmiechnął się szeroko. Był cały umazany krwią. Swoją? Strażnika?

- Hej, mała świnko, chodź no tu - zaśpiewał przez kraty. - Ja mam władzę, a ty umrzesz.

- Nie masz władzy, jesteś świrem i już ci tak zostanie.

- Nie. On dotrzymał obietnicy i przyszedł do mnie.

- Kto niby? - spytał z udawaną obojętnością Sean.

- Księżę Ciemności - odparł chłopak z wyraźnym zachwytem.

- To nie jest żaden Księżę Ciemności, lecz taki sam świr jak ty, tylko bardziej doświadczony i nie aż tak głupi.

- Nie jestem głupi, otrzymam wielką władzę, bo jestem jego sprzymierzeńcem.

- Niles, nawet jeśli zaprosiłeś go tutaj, nie zmienia to faktu, że nadal jesteś zwykłym świrem, nikiem więcej. A tak przy okazji, to Cal zaczął sypać, aż miło. Wiemy wszystko o tej witrynie internetowej i o tym, w jaki sposób on wydaje wam rozkazy.

Ale Goolighan nie słuchał, zaczął się śmiać dziwnym szczekającym śmiechem hieny.

- Będę tam, będę na wielkiej bitwie. Chodź, świnió, zarżnę cię. A potem umrę i wrócę na wielką bitwę.

- I będziesz na niej największym świrem, w to nie wątpię. Ta cała bitwa to gdzie będzie?

- Na co ci to? I tak będziesz już trupem. Chodź, świnió. Chodź, wiem, że się nie oprzesz. Wejdź i spróbuj mnie zabić.

- Masz rację, nie oprę się, bo już od dawna mnie ręce świerzbią. Ale najpierw powiedz mi, gdzie będzie bitwa.

Niles zaczął się śmiać, jakby nigdy w życiu nie usłyszał nic weselszego.

- Będzie chłodno, będzie mgła - zaintonował.

- On będzie czekał przy skalistym wzgórzu, tak?

- Nieźle kombinujesz, mała świnko, całkiem, nieźle. On chce dostać tę sukę. Chce ją dostać, chce ją zabić. Myślałem, że chce ją pieprzyć, ale ona jest taka sama, jak wszystkie inne suki, napaliła się na innego, na jakiegoś zasranego szkockiego górala. Tak, mój chłopcze. - Ostatnie zdanie rzekł z całkiem udanym szkockim akcentem, a potem znowu wybuchnął śmiechem. - Zrobi sobie twierdzę z ruin zamku MacDonnough, o tak! Będzie rozkazywał górcom i dolinom, o tak! Zabije wrogów, którzy obrócili jego życie i śmierć w piekło.

- To świetnie. Dzięki za informacje.

Sean przekręcił klucz w zamku, wszedł do środka, zza jego pleców błyskawicznie wysunął się Bryan. Niles rozpoznał faceta z parkingu, przez którego trafił za kratki, skoczył i nadział się prosto na zaostrzony kołek. Bryan nawet nie musiał się zamachnąć.

- Będę miał dużo do wyjaśniania - rzekł Sean, kiedy było już po wszystkim. - Ale już robiłem takie rzeczy i będę robił nadal, gdy zajdzie potrzeba. - Spojrzał na leżącego na podłodze Nilesa. - Spoczywaj w pokoju, biedny świrze.

- Nie można było zrobić nic innego - rzekł Bryan.

- Wiem. Ale szkoda, kiedy ludzie się tak marnują. - Westchnął. - Chodźmy.

Tym razem zgromadzili się w domu Jessiki. Stacey i Bobby pojechali do Canady pilnować dzieci. Sean właśnie kończył opowiadać, co się stało z Nilesem Goolighanem.

- A jak wyjaśnisz śmierć aresztowanego? - spytała Jessica.

- Mam trudniejsze rzeczy do wyjaśniania - przypomniał jej. - To akurat jest proste. Strażnicy widzieli, jak Niles szaleje, więc każdy uwierzył, kiedy powiedziałem, że rzucił się również na mnie i miałem cholerne szczęście, że profesor McAllistair miał przy sobie zaostrzony kołek.

- Kołek? A jak w takim razie wytłumaczysz fakt, że Bryan nosi przy sobie coś takiego? - zdumiała się.

- Och, bardzo łatwo. To rekwizyt używany podczas wykładów.

- W Nowym Orleanie podobne wyjaśnienia przechodzą spokojnie - zapewniła Maggie. - Zawsze tak jest.

- Odbyłem też dzisiaj inną interesującą konwersację - ciągnął Sean. - Z niejakim Florencu.

- Florencu? - powtórzyła Jessica. - Chodzi o tego rumuńskiego oficera, który prowadził dochodzenie w Transylwanii?

- Tak. Coś mi przyszło do głowy, więc poprosiłem, żeby to dla mnie sprawdził. Skontaktował się z kilkoma uczestnikami tamtego balu i zadał im jedno pytanie, a potem oddzwonił i potwierdził moje przypuszczenie. Informacja o wampirycznym seksparcie pojawiła się na witrynie poświęconej Władcy dokładnie dwadzieścia cztery godziny wcześniej. To samo musiało mieć miejsce przed tutejszym balem na plantacji. Teraz będziemy już ostrzeżeni zawczasu.

- W takim razie będziemy wiedzieć z wyprzedzeniem, kiedy on zastawi pułapkę w Szkocji - stwierdziła Jade.

- Ja już wam mogę powiedzieć, kiedy - oświadczył Bryan.

Wszystkie oczy skierowały się na niego.

- Niedługo jest Czarcia Pełnia, bardzo rzadkie zjawisko astronomiczne, przypada najwyżej raz na sto lat. Księżyc robi się zupełnie czerwony.

- Widziałam to kiedyś - wyszeptała Maggie.

- Ja też - wycedziła Jessica. - Czyli wiemy już, kiedy i gdzie. Czarcia Pełnia, zamek MacDonnough. To wcale nie było aż tak dobrze ufortyfikowane miejsce ani duże. Pamiętam drewnianą palisadę i zabudowania z drewna. Sam zamek wzniesiono z kamienia, ale...

Jade DeVeau podeszła do niej z plikiem kartek.

- W piętnastym wieku klan stał się bogatszy, zamek otoczono kamiennym murem. Został opuszczony podczas powstań jakobickich, przejęty przez Anglików i zapomniany. Teraz to ruina.

Tara pokazała wydruki ze strony internetowej.

- Tak wyglądała oryginalna kaplica. Pod nią znajdują się katakumby, korytarze biegną pod całym zamkiem. Jest też wielka podziemna krypta...

- Zawahała się. - W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w okolicy nastąpił szereg tajemniczych zniknięć, więc podejrzewam, że Władca właśnie tam urządził sobie kryjówkę, gdy zaczął odzyskiwać siły. Zapewne też stopniowo gromadził tam armię, dbając o to, żeby były w niej również doświadczony wampiry, a nie tylko młode, które nie potrafią się bronić. - Spojrzała na Bryana. - Musisz być ostrożny. Zapewne dysponujesz

nadludzką mocą, pewnie też twoje rany zasklepią się bardzo szybko, lecz każdy ma swoje słabsze strony. Moim zdaniem nie powinieneś tam jechać.

- Muszę - stwierdził beznamiętnie. - Muszę jechać i pojedę. Najlepiej sam.

Tara westchnęła.

- Wiedziałam, że on to powie.

- Sam? Nie ma mowy! - zaprotestowała gwałtownie Jessica.

- Bryanie, z pewnością twoje możliwości są imponujące, lecz tam rzeczywiście może czekać cała armia - odezwał się Lucien. - Przynajmniej część z nas powinna ci towarzyszyć.

- Lucienie, to sprawa moja i Bryana, powinniśmy stawić Władcy czoła tylko we dwoje - przekonywała Jessica.

Bryan wykonał przeczący gest dłonią.

- Szczerze powiedziawszy, nie chcę, żebyś ze mną jechała. Muszę wreszcie go zabić.

- Musimy - skorygowała.

- Czy nie rozumiesz, że jemu chodzi właśnie o to, żeby ściągnąć tam nas oboje? Jeśli pojedziesz, postąpisz zgodnie z jego planem.

Wszyscy odwrócili głowy, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Kto to może być o tej porze? - zdziwił się Sean, marszcząc brwi.

- Może ja otworzę? - zaofiarował się Ragnor.

- Dziękuję, ale nie trzeba - oświadczyła Jessica. - Ja otworzę.

Bryan bez słowa podążył za nią. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał stojącą na werandzie ogromnie zdenerwowaną kobietę, którą już gdzieś kiedyś widział. Ale gdzie?

- Nie wrócił na noc, ale wiem, że nie uciekł z domu - mówiła, ledwie powstrzymując szloch, więc Jessica uspokajającym gestem położyła dłoń na jej ramieniu. - To nie jest żądanie okupu. Nie wiem, co to znaczy, na policji nic mi nie pomogli, a tu jest pani nazwisko... No to przyszedłam. Boże, co ja mam zrobić?

Bryan przypomniał sobie, skąd zna tę kobietę. Myra Peterson, matka Jacoba, który miał się za wampira i od którego dowiedział się o zbiórce na cmentarzu.

Kobieta podała Jessice kawałek papieru, oddarty od zwykłej białej kartki, widniało na nim kilka słów wypisanych odręcznie.

- Pani Peterson, odnajdziemy pani syna - obiecała Jessica.

- Naprawdę możecie to państwo zrobić? - spytała, rozpaczliwie chwytając się nadziei. - Myśli pani, że on żyje?

Jessica skinęła głową.

- Jestem tego pewna. Odnajdę Jacoba i przyprowadzę go do domu. A teraz proszę wracać do siebie, zadzwonić po jakąś serdeczną przyjaciółkę, napić się wina i zdać się na mnie.

Dziękuję. Na policji nawet nie chcieli przyjąć zgłoszenia o zaginięciu, podobno na to jeszcze za wcześnie, bo nastolatki często znikają nawet na parę dni, a Jacoba nie ma zaledwie dobę. Ja to wszystko rozumiem, ale... ale ta kartka dziwnie mnie przerażyła, chociaż nie wiem, o co chodzi.

Bryan uświadomił sobie, że ktoś za nim stoi, obejrzał się.

- Ja się tym zajmę - rzekł cicho Sean. - I tak nie mogę teraz opuścić Nowego Orleanu i jechać z wami do Szkocji, więc dalsza część narady może odbyć się beze mnie. - Wysunął się do przodu. - Porucznik Canady,

witam panią. Odwiozę panią do domu, wszystko mi pani szczegółowo opowie, sporządzą raport.

Kiedy tamci dwoje oddalili się, Bryan podszedł bliżej do Jessiki.

- Co to za wiadomość? - spytał.

Bez słowa podała mu kartkę. U góry napisano długopisem: Do Jessiki Frazer. Poniżej znajdowały się tylko trzy słowa jedno pod drugim i te zostały napisane krwią. Środkowe słowo było podkreślone.

Ioin i

Igrainia.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kraj już od dawna nie znał wojny, więc wyglądał inaczej niż wtedy, gdy Bryan widział go po raz ostatni.

Stał na szczycie skalistego wzgórza, przez dobrych kilka minut po prostu chłonąc w niemym zachwycie czyste piękno surowego krajobrazu. Na zboczach były malownicze zagrody, pola w dolinach mieniły się łagodnymi barwami, owce i krowy pasły się na zielonych łąkach, niezliczone polne kwiaty kołysały się na wietrze. Wciąż było widać pozostałości kamiennych murów, czasem pamiętających jeszcze czasy rzymskie.

Dzień powoli zmierzał ku końcowi, niedługo przyjdzie noc, a wraz z nią Czarcia Pełnia oraz zwołany przez wroga kolejny bal.

Pierwszy dowiedział się Florencu, natychmiast skontaktował się z Seanem, zaś Sean powiadomił Jessicę i Bryana, ponadto ostrzegł lokalną policję, że w okolicach ruin zamku MacDonnough mogą pojawić się poważne kłopoty. Oczywiście pomoc funkcjonariuszy nie była im potrzebna do rozprawienia się z Władcą, lecz do ratowania potencjalnych ofiar, które przybędą na imprezę, nieświadome śmiertelnego zagrożenia.

Bryan odetchnął głęboko, wciągając w płuca czyste powietrze i rozejrzał się po raz ostatni, chłonąc pastelowe barwy wzgórz, pól i łąk. Już niedługo kolory się zmienią, wszystko zaleje krwawa poświata i znów będzie tak, jakby ta ziemia spływała krwią...

- I co myślisz? - spytał stojący obok niego Lucien.

- Niewiele się tu zmieniło, ten widok nadal robi ogromne wrażenie. - Wskazał. - Tam zatrzymał się Edward I, czekając na powrót zwiadowców, którzy przywieźli mu pojmaną Igrainię. Droga po prawej prowadzi do zamku MacDonnough.

Ragnor i Brent, którzy poszli rozejrzeć się po okolicy, pojawili się właśnie i usłyszeli ostatnie słowa.

- Wszystko wygląda tak, jak mówiłeś - rzekł Brent. - Znakomite miejsce na zastawienie pułapki, po jednej stronie wzgórza, po drugiej morze.

Bryan bez słowa skinął głową i spojrzał w kierunku Jessiki, która stała w pewnym oddaleniu, patrząc na dawne pole bitwy. O czym myślała? To, co tu zaszło, miało miejsce setki lat temu, a przecież jemu wystarczyło zamknąć oczy, by usłyszeć szczęk stali... Czy wspominała tamte chwile udreki, kiedy się nią zabawiano, kiedy płomienie stosu zaczęły ją parzyć, kiedy zęby wampira wgryzły się w jej szyję, zmieniając ją na zawsze w coś mniej niż człowieka?

- Pora iść, do zachodu słońca zostało niewiele czasu - rzekł Lucien. - Musimy się przygotować.

Oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, że wszystkie ich przygotowania mogą niewiele zmienić, jeśli wróg rzeczywiście zgromadził liczną armię. Przybyli do Szkocji tylko w sześcioro - Jessica z Bryanem, Lucien, Ragnor, Brent oraz pewien młody wampir, którego początkowo nie chcieli brać ze sobą, gdyż w ich odczuciu był jeszcze zbyt niedoświadczony. Sean jednak zdecydowanie poparł jego kandydaturę, twierdząc, że policjant zawsze się przyda, więc ostatecznie Rick Boudreaux, podobnie jak oni gotów stawić czoła wszelkiemu złu, dołączył

do ich grupy. Jade DeVeau koniecznie chciała jechać z nimi, lecz po gorącej dyskusji z Lucieniem ostatecznie pozostała w Nowym Orleanie. Pozostałe żony, rzecz jasna, w ogóle nie były brane pod uwagę, gdyż w podobnym starciu sił nie miały najmniejszych szans.

- Bryan, idziesz?

- Tak, za chwileczkę.

Ruszył w stronę Jessiki. Wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy, tej nocy nie wkładała peruki, nie udawała dominy, szła jako krucha jasnowłosa dziewczyna, licząc na to, że to właśnie ona zostanie wybrana, by Władca mógł odegrać swój ulubiony spektakl. Pomimo wielu wysiłków Bryan nie zdołał wybić jej z głowy tego pomysłu, więc pozostało mu tylko być czujniejszym od jastrzębia i strzec jej niczym oka w głowie.

Miała na sobie długą białą pelerynę obszytą futerkiem, wyglądała jak wcielenie niewinności. On sam włożył swój podniszczony kapelusz z szerokim rondem oraz długi skórzany płaszcz, nie dbając o to, czy zostanie rozpoznany.

- Tyle czasu upłynęło... - rzekła cicho. Położył dłonie na jej ramionach, obrócił ją ku sobie.

- Dalej uważam, że nie powinnaś tam iść. Uśmiechnęła się.

- Muszę. To właśnie w tym miejscu nauczyłam się, że trzeba być silnym, i to do samego końca.

- Dotknęła dłonią jego policzka. - Ty byłeś i jesteś rycerzem, zawsze gotowym walczyć za innych i oddać życie. Ale musisz także wierzyć we mnie. Tutaj odebrano mi wszystko, co miałam i kim byłam. Musisz mi pozwolić, żebym walczyła u twego boku.

- Ale nie musi mi się to podobać. Za nimi ktoś odchrząknął dyskretnie.

- No, dzieciaki, niedługo zacznie się zabawa - odezwał się Brent, celowo starając się mówić lekkim tonem. - Pora się zbierać.

Jessica wysunęła się z objęć Bryana.

- Tylko pamiętaj, że wchodzimy po kolei - przypomniała mu, ponieważ obawiała się, że nie będzie odstępował jej ani na krok. - Nie chcemy przecież od razu na samym początku wzbudzać podejrzeń.

Nieopodal czekały ich konie, ponieważ uznali, że w ten sposób będzie im wygodniej i szybciej poruszać się w górskim terenie. Bryan patrzył, jak ona z gracją dosiada swego wierzchowca, jak prostuje się dumnie. Tak, na zawsze pozostała królewską córką.

I na zawsze pozostała królową jego serca. A on tym razem jej nie zawiedzie.

Jessica szła przez tłum gości, myśląc o tym, że w Transylwanii ludzie przynajmniej mogli uciec do lasu i ukryć się wśród drzew i zarośli, tu zaś po jednej stronie mieli nagie wzgórza, po drugiej morze, a z zamku prowadziła tylko jedna droga. Niedobrze.

- Cześć, mała.

Ledwie zdążyła usiąść przy barze ustawionym wewnątrz ruin zamku, gdy podszedł do niej przystojny brunet z niesamowicie niebieskimi oczami. Mówił z irlandzkim akcentem. I oczywiście był wampirem.

Posłała mu uśmiech.

- Cześć.

- Jesteś może Amerykanką? Uświadomiła sobie, że nie rozpoznał w niej istoty tego samego rodzaju, chociaż powinien był, bo widziała po jego

oczach, że wcale nie jest młody. Jednak wiele wampirów tak dalece skupiało się na uganianiu za hedonistycznymi przyjemnościami, że w ogóle nie przychodziło im na myśl, by się czegokolwiek uczyć.

- Tak.

- Wiesz, na balu jest specjalny przywilej dla najpiękniejszej dziewczyny.

- Pochlebiasz mi.

- Nie, mówię prawdę. Najchętniej zatrzymałbym cię tylko dla siebie.

- Czemu więc tego nie zrobisz?

Oparł się o bar, nie spuszczał z niej oczu. Nie odpowiedział na pytanie, tylko zaproponował:

- Napij się czegoś?

- Chętnie.

- Dwie Krwawe Mary - zawołał do barmana. Jessica zauważyła, że tej nocy barman nie był człowiekiem, lecz wampirem.

- Bruce Mayo - przedstawił się Irlandczyk, podając jej rękę.

- Jesse.

Podano im koktajle, Jessica pociągnęła łyk ze swojej szklaneczki.

Normalna Krwawa Mary.

- Wiesz, że w tym jest prawdziwa krew? - spytał Bruce, przyglądając jej się z nieco prowokacyjnym uśmiechem.

Udała, że przebiegł ją dreszcz, szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę?

Skinął głową, a potem lekko wzruszył ramionami.

- Tylko krowia, ale sama idea się liczy, prawda? - Wziął ją za rękę. - Chodź, pokażę ci wszystko. Najciekawsze rzeczy są na dole.

Poprowadził ją krętymi kamiennymi schodami, które wiodły do katakumb. Jessica dokładnie przestudiowała plany zamku wydrukowane z Internetu, dzięki czemu знаła na pamięć każdy zakręt, każde przejście, każdy korytarz.

- Czy boisz się umarłych? - spytał Bruce.

- Nie. Raczej mi smutno, gdy o nich pomyślę.

- Są wszędzie dookoła nas. - Wskazał na spróchniałe trumny, wsunięte w nisze w ścianach.

Wiedziała, że w rzeczywistości mówił o innych umarłych, że miał na myśli wampiry.

- Jesteśmy na miejscu. Zaczekaj tutaj. Odśwież się, jeśli chcesz, tam wisi lustro. Niedługo będziesz miała towarzystwo, obiecuję.

Oczywiście komnata wyglądała tak samo jak za każdym razem. Łoże na podwyższeniu, ozdobna toaletka. Jessica usiała przy niej i zaczęła odgrywać swoją rolę, rozczesując włosy, czekając...

Czuła, jak pojawia się cień, jak zaczyna gęstnieć, jak czarnoczerwona ciemność wydziela zgniłe miazmaty, lecz nie mogła nic zrobić, mogła tylko dalej siedzieć przed lustrem i czesać włosy.

Bryan wszedł na teren zamku bez zwracania na siebie uwagi i wmieszał się w tłum. Mijając grupki rozchichotanych dziewcząt, dotykał róna kapelusza w geście pozdrowienia. Znalazł wolne miejsce przy barze, zamówił piwo, od razu rozpoznał w barmanie wampira. Rozejrzał się dookoła, Jessiki nigdzie nie było widać, zapewne zgodnie ze swoim planem została wybrana. Wcale mu się nie podobało, że stało się to tak szybko, lecz znał na pamięć plan ruin, więc gdy tylko pokażą się pozostali, natychmiast ruszy za nią.

A nawet gdyby się nie pokazali.

Nie musiał jednak długo czekać. Rick i Brent przybyli razem, odgrywając role amerykańskich turystów, spragnionych dobrej zabawy. Potem zjawili się Lucien i Ragnor, przebrani tak, by udawać tych, którymi naprawdę byli, czyli za wampiry. Lucien podszedł do baru, usiadł na stołku obok Bryana, skinęli sobie sztywno głowami jak dwaj obcy.

Chwilę potem Bryan wstał. Na zamku było już tyle osób, że mógł niepostrzeżenie przemknąć się do dawnej kaplicy, a potem pośpieszyć ku prowadzącym na dół schodom. U ich szczytu stał ciemnowłosy mężczyzna.

- Tu nie ma wstępu - warknął.

- Nie słyszałem, co powiedziałaś. - Bryan wszedł na pierwszy stopień.

- Żebyś tu nie włąził, psia twoja mać. Aż mam ochotę... A właściwie czemu nie?

Zarechotał, obnażając poźółkłe kły. Bryan bez słowa zabił go jednym szybkim ciosem.

- Stary, a głupi - mruknął.

Łatwo poszło, aż za łatwo. Zbiegł na dół i podążył długimi korytarzami katakumb, a gdy usłyszał muzykę, jeszcze przyspieszył kroku. Wreszcie ujrzał światło sączące się z krypty obróconej w komnatę, a zaraz potem Jessicę w zwiewnej białej szacie.

Siedziała przy toalecie i czesała włosy, za nią stał wysoki, potężny mężczyzna w czarnej pelerynie i gładził jej nagie ramiona, ona zaś patrzyła na niego w lustrze szeroko otwartymi oczami bezbronnej łani, sparaliżowanej w obliczu niebezpieczeństwa.

Władca podniósł wzrok na Bryana i wybuchnął śmiechem.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić te wszystkie rzeczy, które z nią zrobię, zanim obetnę jej głowę? - spytał. - Widzisz, liczyłem na to, że jako wielki rycerz przybiegniesz jej na ratunek. Patrz więc teraz, bo ona już jest moja. Patrz... jeśli zdołasz.

Oczywiście te słowa miały rozwścieczyć Bryana do białości, a przez to stępić jego czujność. I owszem, rozwścieczyły go, ale nie spowodowały, że stał się głuchy i nie słyszał, co dzieje się za jego plecami.

Odwrócił się, w mgnieniu oka wyciągając dwa krótkie obosieczne miecze, idealnie naostrzone. Pierwsze dwa wampiry, które pojawiły się za nim, zostały rozcięte na pół. Przybywały jednak następne, wyskakując z trumien, w których się ukryły, rozdzierając całuny, otrząsając się z prochu. Z ich gardeł wyrywał się bitewny okrzyk. Bryan nawet nie próbował ich liczyć, chociaż widział, że dwa atakują go z lewej, jeden z prawej, a jeden skrada się po suficie, sunąc niczym ogromny pajak.

Uskoczył przed ostrzem jakiegoś szlachcica z czasów Karola I, jednocześnie ucinając przy tym głowę wampirowi na suficie. Zdołał dopaść muru, oparł się o niego plecami, co chroniło go przed atakiem od tyłu i zaczął odpierać ataki hordy, którą miał przed sobą. Na początku atakowali pojedynczo, gdyż każdym powodowała pycha, każdy wierzył w swoje możliwości i chciał się wykazać, nie dzieląc się zwycięstwem z nikim innym. Zachowywali się jak zarozumiali smarkacze.

Przed Bryanem rosła ilość prochu, w przypadku młodszych wampirów zostawały też kawałki kości, kawałek ciała, strzępki ubrania. Cały czas jednak napływali następni, rzeczywiście Władca zgromadził w tym miejscu całą armię...

Zerknął w stronę wroga, który wciąż dotykał jego ukochanej. Oczy Władcy stały się zimne, jego mięśnie stężały. Zaraz ją stąd porwie, uświadomił sobie Bryan. Zrozumiał też, że ona nie jest w stanie się oprzeć.

- Igrainia! - krzyknął i skoczył ku niej, nie dbając już o zagrożenie ze strony tych, którzy znajdowali się za nim.

Bał się tylko jednego. Przyszłości bez swojej ukochanej. Znowu.

Chciała krzyknąć, ostrzegając go, lecz nie zdołała tego zrobić, z jej ust nie wydostał się żaden dźwięk. Na szczęście nie miało to znaczenia, gdyż okazał się czujny. Wyczuła jego ruch, tak samo jak wcześniej wyczuła jego obecność, usłyszała szcęk mieczy. Wiedziała, że on jest jak błyskawica, szybszy niż wiatr, niż dźwięk, niż samo światło, że jest obdarzony ponadludzkimi zdolnościami, że wampiry padają z jego ręki, że walka nadal trwa.

Poczuła, jak szpony Władcy zaciskają się na jej ramieniu niczym imadło, dokładnie tak samo jak przed wiekami. Podniosła wzrok, ujrzała twarz, na której była wypisana żądza władzy, przemocy i bogactwa. Miał oczy zimne jak lód, okrutne oczy węża, chociaż żaden wąż nie wyrządził tyle zła.

Podniósł ją bez wysiłku, zaś ona nie miała przy sobie żadnej broni, której mogłaby przeciwko niemu użyć. Z wyjątkiem...

Z wyjątkiem tej broni, w którą sam ją wyposażył.

Nie wyczuwała już Bryana, za dużo przeciwników go oblegało - zupełnie tak samo jak przed wiekami.

- Pójdź, moja droga. Opuśćmy to miejsce. Mam ochotę bez przeszkód rozkoszować się ostatnimi chwilami twojego tak zwanego życia oraz twoją ostateczną śmiercią. - Uśmiechnął się. – Ponownie waleczny

rycerz Ioin, pomocnik przeklętego, zdrazieckiego Roberta Bruce'a, który śmiał mienić się królem, zostanie pokonany, rozsieczony na strzępy przez przeciwników, gdyż wobec takiej ich liczby wszelka siła jest niczym.

Użyj swojej broni, krzyknęło coś w jej głowie. Teraz!

Obróciła głowę i wbiła kły w jego dłoń, najgłębiej, jak tylko zdołała. Poczowała w ustach ohydny smak trucizny, lecz nie dbała o to.

Władca zawył z bólu, a wtedy wszystko na moment zamarło.

Potem z jego ust wyrwał się ryk wściekłości, lecz było za późno, gdyż ona już zdołała się oswobodzić. Kopnęła go, a ponieważ przez lata ćwiczyła taekwondo, ten kopniak posłał go aż pod ścianę. Odwróciła się, gotowa dołączyć do Bryana, lecz nie mogła go dostrzec, widziała tylko tłoczące się wampiry, rojące się jak muchy przy... zwłokach?

- Bryan! - krzyknęła, a zaraz potem: - Ioin!

Na ziemi leżało już tyle broni, że mogła wybrać taką, która odpowiadała jej najbardziej. Chwyciła miecz i skoczyła ku napastnikom, zamaszystym cięciem powalając wielu z nich niczym kosiarz tnący zboże. Kilka rzędów padło pod jej ciosami, nim wreszcie uświadomili sobie, że pojawiło się nowe zagrożenie. Część z nich obróciła się ku niej, lecz nikt nie podniósł broni, i to zaalarmowało Jessicę.

Odwróciła się, za późno jednak.

Stalowe palce niemiłosiernie wbiły się w jej ramię i znowu ujrzała płonące czystym ogniem oczy Władcy.

- Zaczęło się - rzekł cicho Ragnor.

Lucien wstał, wyciągnął miecz i w pierwszej kolejności zabił barmana, który właśnie sięgał po broń. Jednocześnie Ragnor odwrócił się, wyciągając spod peleryny topór oraz swój ciężki miecz wikinga i jednym

gładkim cięciem pozbawił głów trzy wampiry. Lucien wskoczył na bar, szykując się do walki swojego życia. Element zaskoczenia został już wykorzystany, teraz pozostała tylko prawdziwa bitwa.

Ludzie zaczęli krzyczeć, w panice rzucili się do ucieczki. Lucien widział, jak Rick z doskonałym spokojem przeładowuje swój rewolwer. Zdażył już oddać kilka strzałów za pomocą zaostrzonych drewnianych nabożów, a cel miał wyśmienity, trzeba było mu przyznać.

Jakiś wampir urwał nogę od jednego ze stołków barowych i zaatakował Brenta, próbując go przebić. Brent chwycił za stalową rurę i posłał wampira prosto w ogień, który płonął w wielkim, na poły zrujnowanym kominku.

- Wybacz, nie jestem jednym z was - skomentował.

- Kryj się! - krzyknął do niego Rick.

Brent przykucnął, srebrna kula śmignęła ponad nim i trafiła w ścianę. Zaskoczony Brent wyprostował się i ujrzał, jak wampir, który próbował go zastrzelić za pomocą srebrnej kuli, ginie od celnie rzuconego topora.

- Dzięki! - zawołał.

- Nie ma sprawy - odkrzyknął Ragnor.

- Brent, Rick! - zawołał Lucien. - Kiedy już skończycie tutaj, sprawdźcie, czy żaden z nich nie podążył za którąś z ofiar.

- Załatwione! - odkrzyknął Brent.

- Pospiesz się! - To z kolei było do Ragnora. - Mam złe przeczucia co do tego, co się dzieje tam na dole!

Ragnor rozejrzył się i ujrzał, jak uciekają ostatni z gości. Z prawdziwych gości.

- Chyba już tu skończyliśmy - odparł.

- To biegnijmy na dół - zakomenderował Lucien.

Było tak samo, jak poprzednio, lecz tym razem widział, że ona wciąż żyje i walczy, a to oznaczało, że on również ma powód, by żyć dalej.

Ruszył przed siebie, kierując się w jej stronę, zaś jego zmysły były wyostrzone do tego stopnia, że zdawał się przewidywać ruch każdego z przeciwników. Robił uniki w ostatnim momencie, uskakiwał, a potem atakował z tak błyskawiczną szybkością, że żaden z wampirów nie zdołał uchylić się od jego ciosu. Trzeba było każdego albo rozsiek na pół, albo uciąć mu głowę, albo przeszyć mu mieczem serce lub mózg. Oczywiście niektórzy przeżyją, lecz jeśli zostaną wystarczająco mocno poranieni, będzie można dobić ich później.

Ramiona zaczynały mu mdleć, mięśnie paliły żywym ogniem, lecz nie zwracał na to uwagi. Nagle usłyszał jej krzyk.

- Przeklęty łotr! - wykrzyknął i skoczył naprzód, zdwajając wysiłki.

Przez chwilę czuł, że zamierzają rzucić się na niego całą ławą, lecz w tym momencie pojawił się Ragnor, używający jednocześnie miecza i topora oraz Lucien, który tak samo jak Bryan walczył za pomocą dwóch mieczy.

- Idź! - krzyknął Lucien. - Ratu ją!

Bryan przedarł się przez krąg atakujących i pozwolił, by prowadził go instynkt. Tunel wiodący na południe... Odwrócił się i pobiegł, co sił w nogach.

Jessica nie miała pojęcia, jak długo Władca ciągnął ją - opierającą się ze wszystkich sił - przez katakumby, lecz nagle znaleźli się na powierzchni, a nad nimi świecił olbrzymi czerwony księżyc. Czarcia Pełnia.

Cisnął ją na ziemię. Kiedy się podniosła, zobaczyła, że stoi dokładnie w tym samym miejscu, co przed wiekami. Ujrzała wykrzywione nienawiścią rysy nieludzkiej istoty, która była jej wrogiem, rysy oblane szkarłatnym światłem, jakby zanurzone we krwi.

Straciła gdzieś miecz, więc nie miała już nic, za pomocą czego mogłaby się bronić. Ale kto powiedział, że nie mogła myśleć?

Wróg wyciągnął własny miecz, który zaśnił na czerwono. Zmieniła się w mgłę, miecz ze świstem przeciął powietrze. Zmaterializowała się za plecami Władcy.

- Sprytna jesteś. Szkoda, że twój ojciec był zwykłym zdrajcą - rzucił szyderczo.

- Mój ojciec był wielkim królem, kochanym przez swój lud.

- Twój ojciec pozwolił, żebyś zginęła. Nic dziwnego, byłaś tylko dzieckiem z nieprawego łoża, małym bękartem.

- Mój ojciec dawno umarł. Historia uznała jego zasługi.

Władca stał nieruchomo, potem uśmiechnął się.

- Nie masz przy sobie nic, żadnej broni. Ile razy zdołasz zmienić postać, nim wreszcie opadniesz z sił? W końcu cię dopadnę. Będę ciął twoje ciało kawałek po kawałku, a kiedy już nasycę się twoim cierpieniem, wzniosę stos, na którym spłoniesz. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że obrócisz się przeciwko niemu.

- Co?!

- Stał się Wojownikiem. - Władca splunął z furii. - Wojownicy zabijają wampiry. Jesteś wampirem, głupia dziewczko. Myślisz, że on kiedykolwiek zdoła o tym zapomnieć? Teraz sam sobie tak wmawia, bo

cieszysz się, że znowu może cię mieć, ale nie łudź się, że cię z powrotem pokocha. Wykorzystał cię, żeby zbliżyć się do mnie, lecz któregoś dnia, gdy będziesz jęczeć z rozkoszy w jego ramionach jak ladacznica, którą zresztą jesteś, on przebije cię kołkiem. Nie możesz zmienić tego, czym jesteś, dlatego dołącz do mnie, bo inaczej nie przeżyjesz.

Uśmiechnęła się, zaskoczona faktem, że już prawie wcale się go nie boi.

- Jesteś obłąkany, zawsze byłeś. Sądzisz, że to ty mnie stworzyłeś taką, jaką jestem, ale się mylisz. Zmieniłeś to, czym jestem, ale nie mnie samą, ja pozostałam sobą, nie zdołałeś mnie tknąć. I prędzej umrę jeszcze tysiąc razy niż obrócę się przeciw niemu. Rozumiesz?

Patrzyła, jak jego twarz zmienia się, jak kurczy się w ohydny spazmie, wyglądając, jakby składały się na nią tylko pękające z furii żyły, czerwone i czarne. Rzucił się na nią, odskoczyła w bok. Zamachnął się mieczem, stała się mgłą. Zamierzała uciec i znaleźć jakąś broń, lecz on sięgnął ręką do środka mgły i oto Jessica znów była kobietą, trzymaną w żelaznym uścisku.

- Nie zdołasz umrzeć jeszcze tysiąc razy, bo masz już tylko jedno życie, które możesz za niego oddać. I oddasz je teraz.

Bryan wyskoczył z tunelu, zobaczył czerwoną księżycową poświatę i od razu zorientował się, gdzie jest - dokładnie w tym samym miejscu, w którym Władca przed wiekami znęcał się nad Igrainią.

Ujrzał swego wroga, otoczonego srebrzystą mgłą, na jego oczach mgła zmieniła się w Jessicę. Igrainię. Cała w bieli, ze złocistymi włosami, wyglądała jak anioł. Walczyła ze wszystkich sił, próbując wydrzeć się

napastnikowi, jak zawsze dumna i nieugięta, jak zawsze budząca zachwyt i miłość Bryana.

Wydał bojowy okrzyk, od którego chyba musiały zdrzeć same fundamenty niebios. Władca obrócił się ku niemu i z całej siły cisnął Jessicą o ziemię, jakby chciał pogruchotać jej kości.

- Znowu się spotykamy, ty i ja. Ale tym razem to będzie ostateczna bitwa. - On również wyciągnął dwa miecze.

- Tak, ostateczna - zgodził się Bryan. Okrążyli się nawzajem, czujni, spięci.

- Ale czy aby na pewno będziesz walczył? - prowokował Władca. - Pomyśl o tych dziesiątkach wampirów, które powołałem do życia i których nie zdołałeś zabić, pomyśl o moich sługach. My tu będziemy walczyć, podczas gdy te niewinne owieczki, które przybyły na zamek, by popróbować czegoś zabronionego, uciekają w panice, śmiertelnie przerażone. Jak myślisz, ile z nich zginie, gdy ty tutaj będziesz ze mną walczył, zamiast starać się je uratować?

W tym momencie Władca skoczył, wymierzając cios. Bryan odparował i odpowiedział atakiem. Miecze świsnęły w powietrzu, szczęknęły o siebie. Cios za ciosem, cios za ciosem, atak, obrona. Odskoczyli od siebie, gdy rozległo się mrozące krew w żyłach wycie. Władca na moment ściągnął brwi, na co Bryan omal się nie uśmiechnął.

- Wilkołak - wyjaśnił niedbałym tonem. - Śmiertelny wróg wampirów. Rozdziera je na strzępy.

Władca skoczył ku niemu, Bryan wykonał zwinny unik i zdołał wytrącić mu jeden z mieczy. Władca rzucił się do tyłu, a chociaż poruszał

się niewiarygodnie szybko, Bryan zdążył ciąć go przez ramię. Wampir chwycił się za zraniony bark, z jego gardła wydobył się wściekły charkot.

- Zadajesz się ze śmierdzącymi wilkołakami? Co z ciebie za Wojownik, skoro upadłeś tak nisko? Niedługo zaczniesz tarzać się w gnoju.

- Czasy się zmieniły, należy pozbyć się uprzedzeń - odparował Bryan.

Władca zaryczał z furją, zamarkował cios, w rzeczywistości zamierzając chwycić z ziemi drugi miecz. Podstęp się udał i po chwili to Bryan odniósł ranę. Przecięte ramię zapiekło go żywym ogniem, przeszył je straszliwy ból.

- No chodź, chodź, Wojowniku - naigrawał się Władca. - Chodź, żebym mógł z tobą skończyć. Posiekam cię na kawałki, żebyś się powoli wykrwawił, będę cię torturował, a na koniec zmuszę, żebyś patrzył, jak ona płonie na stosie. A potem wreszcie cię zabiję.

Bryan zauważył kątem oka jakiś ruch, to Jessica podnosiła się z ziemi, a ten widok dodał mu sił. Skoczył ku wrogowi, atakując ze wzmożoną furją i znowu jeden z mieczy poszybował do góry, lecz tym razem nie upadł na trawę. Jessica chwyciła go w powietrzu i przez moment trwała tak z bronią w ręku i rozwianymi włosami niczym bogini sprawiedliwości.

- Zgubiłeś coś? - zakpiła, patrząc za zaskoczonego Władcę.

Zaryczał i rzucił się na nią, lecz zręcznie odparowała jego cios, odskoczyła na bezpieczną odległość. Odwrócił się do Bryana, ten wykorzystał okazję i ciął go przez pierś. Nie zabił wampira, lecz zdołał go osłabić. Władca odsunął się, bacznie obserwując oboje, po czym wydał z

siebie przeraźliwy krzyk, jakby w ten sposób chciał porazić przeciwników i zmusić ich do poddania się.

Bryan tylko się uśmiechnął.

- To ja powinienem cię torturować. To ja powinienem cię wykrwawić w odwecie za całe cierpienie, jakie spowodowałeś. Ale znacznie ważniejsze jest to, żebyś wreszcie zginął. Chociaż nie ukrywam, że chętnie obdarłbym cię ze skóry, poćwiartował i upiekł na wolnym ogniu.

- Łotrze! - ryknął rozjuszony Władca, rzucając się na niego. -

Umrzesz w męczarniach!

Bryan odczekał do ostatniego momentu, ustąpił na bok i zamachnął się mieczem. Coś poszybowało w powietrzu. Głowa Władcy.

Zatoczyła łuk, przez chwilę jeszcze żywa, z ust wydobyło się upiorne wycie. Potem rozsypała się w proch, podobnie jak ciało leżące u stóp Bryana.

Stał przez chwilę w oszołomieniu. Udało się. Pokonali wroga. To już koniec.

Usłyszał, jak ona go woła, zaraz potem rzuciła mu się w ramiona, a on zanurzył twarz w jej włosach.

- Igrainia.

Po raz ostatni nazwał ją tym imieniem.

EPILOG

W powietrzu snuł się jazz, tłum na ulicy zachowywał się dość hałaśliwie, lecz Bryan ignorował tę drobną niedogodność, gdyż wiedział, że Jessica cieszyła się z tego, że jej ukochane miasto znowu tętni życiem. Po raz pierwszy w życiu czuł się kompletnie odprężony.

No i co z tego, że wilkołak kupował im wszystkim piwo? I co z tego, że połowa jego nowych przyjaciół była wampirami?

Jessica uśmiechnęła się do grających muzyków, Duży Jim i Barry Larson uśmiechnęli się również, z tego drugiego emanowała pewność siebie.

W Szkocji nikt nie zginął, co Bryan uznał za cud, zaś jego przyjaciele za kawał dobrej roboty. Szkocka policja przybyła w nocy na miejsce zdarzeń i poodnajdywała przerażonych ludzi, w większości nastolatków, a ich stan oraz treść zeznań przypisała wpływowi narkotyków. Bryan wiedział, że część z niedoszłych ofiar będzie zawsze pamiętała, co się wydarzyło, jedni wyciągną z tego lekcję, a inni spędzą resztę życia, chodząc na psychoterapię lub do psychiatry - ale przynajmniej będą żyli.

Jacob Peterson wrócił do domu, kompletnie wyleczony z fascynacji wampirami. Jego krótkiemu zniknięciu nikt się nie dziwił, więc z tym nie było problemu, znacznie trudniej przedstawiał się przypadek Mary. Wspólnymi siłami wymyślili wiarygodną historię, z którą Mary zgłosiła się na policję. Twierdziła, że nic nie pamięta i nie wie, co się z nią działo, a uświadomiła sobie, kim jest, kiedy zobaczyła swoje zdjęcie w telewizji.

W całym lokalu jedyną pochmurną osobą był Sean, który siedział między żoną a Jessicą.

- Czym się martwisz? - spytała Maggie.

- Straciliśmy dwóch naprawdę świetnych policjantów - odparł ze smutkiem. - Tego nie da się w żaden sposób odwrócić.

- To nie twoja wina - zaproponowała Jessica. - Nawet nie próbuj tak myśleć.

Brent wrócił z tacą do stolika.

- Sama zaprojektujesz sobie suknię ślubną? - zainteresowała się Maggie, przyglądając się przyjaciółce.

Jessica zakrztusiła się piwem.

- Wiesz, nikt mnie nie poprosił o rękę. Bryan poczuł na sobie wzrok Maggie, a wtedy kąciki jego ust uniosły się leciutko. Spojrzał na Jessicę.

- Jak myślisz? - spytał cicho. - Czy w dzisiejszych czasach wampir i Wojownik mogą być ze sobą szczęśliwi?

Patrzyła na niego w powagę.

- Nie wiem. A ty co myślisz? Wstał, ujął jej dłoń.

- Ja też nie wiem. Ale przecież wszyscy ciągle się uczymy, prawda? - Pociągnął ją ku sobie, wpadła prosto w jego ramiona. - Za to wiem, że będę cię kochał przez całą wieczność - wyszeptał.

Pocałowała go w usta.

Jazz miękko snuł się dalej.

W końcu byli w Nowym Orleanie.